CZY LUDZIE ŁUKASZENKI ZACZNĄ STRZELAĆ?

RAPORT Z FRONTU GRANICZNEGO

JAN ŚPIEWAK: JESTEM ZA WYSOKIMI PODATKAMI

CZY PAPIEŻ WSPIERA DZIELNYCH BISKUPÓW?

PRZEMYSŁAW CZARNEK: OTO MÓJ PLAN ZMIAN W EDUKACJI

SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

Nr 42 (464) 2021
18–24 października 2021
CENA: 6,90 zł (w tym 8% VAT)

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

TYLKO U NAS

MOCNY WYWIAD Z PREMIEREM JAROSŁAWEM KACZYŃSKIM

SZANTAŻOM NIE ULEGNIEMY

CO DALEJ Z OBRONĄ GRANICY?
JAK ROZWIĄZAĆ KONFLIKT Z UNIĄ?
KOMU POMÓGŁ POWRÓT TUSKA?
CZY BĘDĄ WCZEŚNIEJSZE WYBORY?

KOLEJNE 100 TON ZŁOTA JUŻ W 2022 R.

NBP dba o bezpieczeństwo finansowe Polaków. W zasobach banku jest ponad 230 ton złota. To gwarancja wiarygodności i bezpieczeństwa finansowego naszego kraju. Prezes NBP zapowiada zakup 100 ton złota już w przyszłym roku.

Zwiększenie zasobów złota to realizacja naszego konstytucyjnego, ustawowego i po prostu patriotycznego zobowiązania. W ten sposób budujemy siłę gospodarczą państwa polskiego oraz tworzymy rezerwy, które będą strzegły jego bezpieczeństwa finansowego.

NARODOWY BANK POLSKI

Prof. Adam Glapiński
Prezes Narodowego Banku Polskiego

Dbamy o wartość polskiego pieniądza

eprasa.pl 31955fcd36

Tego się nie tańczy

Polityczny wiec Donalda Tuska w Warszawie miał pokazać, że z polityką PiS nie zgadzają się bardzo różne środowiska. Pod fałszywym pretekstem, bo o polexicie nie ma mowy, lider PO zaprosił więc na scenę osoby starsze i młodsze, mniej lub bardziej dla Polski zasłużone, także celebrytów. Po to, by się o tym mówiło. I się mówi. Co prawda mniej o wystąpieniach partyjnych przywódców, a całkiem sporo o udziale w tym wiecu pani Wandy Traczyk-Stawskiej oraz pani Anny Przedpełskiej-Trzeciakowskiej.

Po pierwsze. Zabieg był dosyć czytelny, autorytet Powstańców Warszawy jest tak duży, że Tusk był pewien, iż ich obecność na manifestacji da jej uczestnikom coś na kształt immunitetu. Gdy bohaterowie mówią, sala ma milczeć. Jestem przekonany, że gdyby mówiono o Warszawie '44, tak by właśnie było. Gdy zeszło na bieżącą politykę, poczułem się niemile zaszantażowany.

Po drugie. To prawda, panie są bohaterkami sprzed 80 lat i nikt nie ma prawa tego kwestionować, za to należy je szanować. Ale dzisiaj, wchodząc na scenę na zaproszenie Tuska, to one muszą uszanować zasady gry, w którą postanowiły zagrać. Być może przewodniczący nie uprzedził ich, a powinien, że może być na ich akcję reakcja, że będzie kontrmanifestacja, że może być głośno. Platforma jest akurat ostatnią formacją, która mogłaby narzekać, że ktoś próbuje zakłócać jej wiec.

Po trzecie. Nie odbieram paniom prawa do poglądów politycznych, a nawet się cieszę, że je artykułują. To musi imponować, że Powstańcy, których jest z nami coraz mniej, są aktywni na bardzo różnych polach. Wydaje mi się, że tak są po prostu wychowani, że nie można się nie angażować. To ta ich nieobojętność kiedyś zaowocowała decyzją o podjęciu walki. Wtedy też się różnili, też się spierali, też dzieliła ich polityka, jednak wobec wielkiego wyzwania potrafili się zjednoczyć i stanęli po stronie Warszawy, a nie Berlina.

Po czwarte. Wcale nie chodzi o to, że dziś mówią coś, co nie jest w smak partii rządzącej. To działa w każdą stronę, zaczynasz robić politykę, licz się z tym, że będziesz oceniany jak polityk. Poprzednie zasługi nie mają tu zastosowania, jak nie ma żadnego połączenia okrutnych czasów wojny, metodycznego uśmiercania i burzenia stolicy z dniem dzisiejszym.

Po piąte. Mam ogromny kłopot z towarzystwem, z którym bohaterki postanowiły dzielić scenę. Było tam paru partyjnych liderów, ale też agent SB i komunista. To te środowiska przez długie lata szkalowały powstańczą odwagę, to oni sączyli narrację o bezsensie walki o stolicę. Jak można dzisiaj tworzyć z nimi jakąkolwiek wspólnotę? Nie rozumiem tego i myślę, że wiele osób także nie.

Po szóste. Takie akcje powodują, niestety, że szacunek dla Powstańców może maleć. I wcale nie jest to zarzut wobec pań Traczyk-Stawskiej i Przedpełskiej-Trzeciakowskiej. To całkowita wina Donalda Tuska, który zamiast je chronić, traktować jak dobro narodowe, wystawił na front swojej walki, potraktował jak żywe tarcze. Czy mamy teraz licytować się na Powstańców? Jestem pewien, że polityczni przeciwnicy Tuska bez trudu znaleźliby uczestników zrywu z 1944 r., którzy powiedzieliby szefowi PO kilka przykrych słów. Ale to droga donikąd.

W czwartym odcinku serialu „Dom" jest taka scena, gdy pijany facet na dancingu próbuje porwać na parkiet kobietę, gdy orkiestra zaczyna grać „Czerwone maki na Monte Cassino". Ktoś z gości krzyczy wówczas: „Tego się nie tańczy!". Tak, są pewne rzeczy, których się po prostu nie robi, nie dotyka, nie wciąga w bieżącą przepychankę. Traktuje się je jako rzeczy wspólne, niemal święte. Rozumie to każdy, kto ma Polskę w sercu.

Marcin Wikło

Reklama | 19/1021/F

eprasa.pl 31955fcd36

SIECI spis treści

42 *Niemcy tanio się wykupiły ze swoich zbrodni* *rozmowa Aleksandry Rybińskiej*

56 Gazowy szantaż *Konrad Kołodziejski*

71 Na własny rachunek *Jolanta Gajda-Zadworna*

NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE** Nieoficjalny przegląd tygodnia
8 **PALENIE KOSZULEK** Krzysztof Feusette
9 **„BABCIA KASIA" W AKCJI** Dorota Łosiewicz
10 **ŚWIATOWE ŻYCIE** redaguje Konrad Kołodziejski
12 **NIE DAJMY SIĘ WYSIUDAĆ Z UNII!** Jan Pietrzak
12 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU** Dominik Zdort
13 **POWRÓT DO ZASAD** Bronisław Wildstein
14 **WALIZKA NATALII KACZMAREK** Michał Korsun
17 **MĄDRZE POMAGAĆ** Marta Kaczyńska-Zielińska

TEMAT TYGODNIA

18 **ŻOŁNIERZ CO STO METRÓW** Marek Pyza
22 **ZIMNA WOJNA** Wojciech Biedroń

KRAJ

32 **NONSENS POLEXITOWEJ RETORYKI** Jan Rokita
35 **TAJNY PLAN TUSKA** Stanisław Janecki
38 **Z PROF. PRZEMYSŁAWEM CZARNKIEM** rozmawia Marcin Wikło
42 **Z KARLEM HEINZEM ROTHEM** rozmawia Aleksandra Rybińska
45 **„WESELE" SMARZOWSKIEGO, CZYLI EKRANIZACJA GROSSA I GRABOWSKIEGO** Jakub Augustyn Maciejewski
48 **Z AGNIESZKĄ KAMIŃSKĄ** rozmawia Jacek Karnowski
52 **Z JANEM ŚPIEWAKIEM** rozmawia Dorota Łosiewicz

ŚWIAT

56 **GAZOWY SZANTAŻ** Konrad Kołodziejski
60 **TRIUMF PRAWICY, KLĘSKA LEWICY** Grzegorz Górny
64 **CO WOLNO BISKUPOWI** Goran Andrijanić
66 **SOLIDARNI Z ARMENIĄ** Iwona Flisikowska

OPINIE

68 **Z PĘTLĄ (DECYZYJNĄ) NA SZYI** Romuald Szeremietiew

SIECI KULTURY

71 **NA WŁASNY RACHUNEK** Jolanta Gajda-Zadworna
73 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM** Piotr Zaremba
74 **POSĘPNE POSTĘPY POSTĘPU** Robert Tekieli
75 **WOJNA CYWILIZACJI** Robert Tekieli
76 **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY** Wojciech Stanisławski

GOSPODARKA

78 **NA DOBRYM KURSIE ZMIAN** relacja z gali „Polskiego Kompasu"
88 **O PRZYSZŁOŚCI POLSKI I EUROPY W CHORZOWIE** Arkady Saulski

NAUKA

94 **PRZEPIS NA NOBLA** Przemysław Barszcz

PODRÓŻE

96 **MOJE SZLAKI: OLGA BORYS** Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

97 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM** Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

98 **KANZLERIN ZELIG** Hanna Karp
100 **OGNIEM NA WPROST** Andrzej Rafał Potocki
101 **NIE MAM KOMPLEKSÓW – BYŁEM W UE, ZANIM TO BYŁO MODNE** Samuel Pereira
102 **OBRONA POLSKOŚCI** Alina Czerniakowska
103 **ŹLI I BRZYDCY** Wiktor Świetlik
103 **LIS I DZIECKO** Tomasz Łysiak
104 **MĘSTWO I PRAGMATYZM** Lech Makowiecki
104 **ŚNIADANIE U FORSYTHA** Piotr Cywiński
105 **INSTRUMENTACJE JESIENI** Leszek Długosz
106 **DWIE TWARZE UNII** Andrzej Zybertowicz

Reklama | 6/1021/F

eprasa.pl 31955fcd36

ALIOR BANK

POŻYCZKA STABILNA

GWARANCJA STAŁEJ RATY

- pożyczka do 70 tys. zł
- okres spłaty do 5 lat

www.aliorbank.pl

RRSO 10,85%

Rzeczywista Roczna Stopa Oprocentowania (RRSO) Pożyczki Stabilnej wynosi 10,85%; całkowita kwota pożyczki (bez kredytowanych kosztów): 10 838 zł; całkowita kwota do zapłaty: 13 440,89 zł; oprocentowanie stałe: 7%; całkowity koszt pożyczki: 2602,89 zł, w tym prowizja: 758,66 zł (7%), odsetki: 1844,23 zł; 51 miesięcznych rat, w tym 50 równych rat w wysokości 263,55 zł, ostatnia rata: 263,39 zł. Kalkulacja została dokonana na 15.09.2021 r. na reprezentatywnym przykładzie. Maksymalna kwota pożyczki wraz z kredytowanymi kosztami wynosi 70 000 zł. Okres kredytowania: od 3 miesięcy do 5 lat. Ostateczne warunki kredytowania zależą od zdolności kredytowej klienta, kwoty pożyczki, daty wypłaty pożyczki oraz daty płatności pierwszej raty. Szczegóły oferty oraz Taryfa opłat i prowizji dla Klientów Indywidualnych w placówkach Alior Banku SA i na www.aliorbank.pl.

eprasa.pl 31955fcd36

Sygnalista nadaje

„Gazeta Wyborcza" skarży się, że narodowcy ***Roberta Bąkiewicza*** skutecznie zakłócili wiec Donalda Tuska: „Wielu ludzi, którzy przyszli na demonstrację, nie słyszało przemówień Donalda Tuska i zaproszonych przez niego gości. Ci, którzy byli bliżej grupy Bąkiewicza, musieli się odsuwać, bo hałas był nie do wytrzymania". Chcecie ciszy na wiecach? Powstrzymajcie swoich bojowców, którzy od lat zakłócają spotkania prezydenta i premiera. Chyba jeszcze nad nimi panujecie?

„GW" alarmuje, że „nastawiony na cały regulator sprzęt nagłaśniający, którego Bąkiewicz użył do zagłuszania opozycyjnej demonstracji »Zostajemy w Europie«, został sfinansowany z nadzorowanego przez rząd Funduszu Patriotycznego. Ma służyć do »godnego uczczenia i profesjonalnego nagłaśniania ważnych wydarzeń patriotycznych«". Skoro Soros może finansować bojówki atakujące państwo polskie, to państwo polskie może finansować polskich narodowców.

Zwołując wiec przeciwko rzekomemu polexitowi, Donald Tusk wydał bitwę i przegrał. Występująca na scenie grupa rekonstrukcyjna III RP, z Jerzym Owsiakiem na czele, wyglądała w tych październikowych ciemnościach po prostu żałośnie. Frekwencja więcej niż mizerna, przemówienie Tuska banalne, podszyte kłamstwem o rzekomo zagrożonym członkostwie w Unii Europejskiej. Kto wie, czy ten dzień nie był początkiem końca lidera PO. Dziś nie ma już pewności, że dotrwa do wyborów.

Nadleśnictwo Stuposiany opublikowało zdjęcia z obozowiska „ekologów" z Kolektywu Wilczyce. Skąd cudzysłów? „Całe piękno lasu blednie, gdy napotkamy w nim na przykład: stary materac, worek z puszkami po piwie, wiadra po substancjach chemicznych, panele fotowoltaiczne, pudełka plastikowe, stosy śmieci, słoiki, garnuszki, sznurki, puste kartony, opakowania po żywności, skrzynki, banery, koszyczki, karimaty, arkusze blachy falistej, wiadra, beczki" – czytamy na profilu nadleśnictwa. Cóż, widocznie w domu zawsze sprząta mamusia albo gosposia.

Tusk przedstawił się zebranym na placu Zamkowym w następujący sposób: „Jestem Polakiem, którego siedem lat temu państwa Europy wybrały na szefa Rady Europejskiej. Wybrały ze względu na szacunek dla Polski, dla naszej pięknej i trudnej drogi do niepodległości, do Europy. Wybrały ze względu na szacunek dla was". To więcej niż nieprawda. Prawdę napisał już lata temu „Der Spiegel", określając Tuska mianem „łatwego w hodowli" dla kanclerz Merkel.

Wspomniany ***Owsiak*** mówił do Tuska – i o Tusku – w taki sposób: „Spotkałem się z nim w Unii Europejskiej, kiedy po prostu licytowaliśmy. To była zabawa na rzecz WOŚP. Uciekam od polityki, ale szacunek dla pana, że wtedy była licytacja, że mogłem obejrzeć ten cholernie zbiurokratyzowany budynek, straszny, niesamowity. Tam nawet toaleta tak mała, że nie można było usiąść. Pan tam wytrzymał". Tak, to wytrzymał. Inne wątki wypadły znacznie gorzej.

Na tuskowym „wiecu podległości" nie zabrakło wezwań do przemocy. Niestety w tę okropną grę wciągnięto także małe dzieci. W mediach społecznościowych pojawiło się nagranie, na którym widać dwie dziewczynki trzymające plakat z hasłem „Kaczora do wora". Ciekawe, czy rodzice wiedzą, że to odwołanie się do mordu na ks. Jerzym Popiełuszce? Stawiamy, że wiedzą. W sumie mamy klamrę: na błękitnym marszu w 2006 r. prezentowano szubienice, na których wisiał śp. Lech Kaczyński. Gdzie Tusk, tam nienawiść.

eprasa.pl 31955fcd36

Przy okazji wiecu Tuska pokajał się Roman Giertych, który nawoływanie do niewchodzenia do Unii określił mianem swojego „największego politycznego błędu". Dlaczego zmienił zdanie? „Doszło do tego również w wyniku rozmów, które miałem wówczas z wieloma ludźmi, przypomnę śp. byłego premiera Polski pana Józefa Oleksego. [...] Spędzaliśmy dużo czasu, rozmawialiśmy, bardzo się chyba polubiliśmy. Druga osoba, która wówczas była moim rozmówcą, chociaż rzadszym, to był premier Miller, z którym rozmawiałem najczęściej na sali sejmowej". Czy był kiedyś jakiś Giertych, który naprawdę był prawdziwy?

Opozycja przekonuje, że wiec na placu Zamkowym zgromadził 100 tys. osób, padły nawet głosy o „największej manifestacji w historii III RP". Tymczasem, jak ustalił portal wPolityce.pl, wiec Tuska zgromadził zaledwie 25 tys. osób. Nie przeszkodziło to agencji Reuters ogłosić: „Ponad 100 tys. Polaków zademonstrowało w Warszawie poparcie dla członkostwa w Unii Europejskiej po orzeczeniu sądu o niezgodności części prawa unijnego z konstytucją". Ach, to anglosaskie umiłowanie prawd i standardów! Tak, od dawna wiemy, że nie obowiązują one w stosunku do Europy Środkowo-Wschodniej.

Małgorzata Kidawa-Błońska przekonuje, że w Polsce nie ma Trybunału Konstytucyjnego. „Dlatego, że sędziowie Trybunału nie są powołani zgodnie z polską konstytucją i z tego wziął się cały problem. Bo polska konstytucja jest dokumentem, prawem najważniejszym dla nas, dla Polaków, i Unia Europejska nie podważa zapisów polskiej konstytucji". No nie podważa, i kropka. Co jednak, jeśli podważa? „My nie możemy oceniać wyroków Trybunału Sprawiedliwości UE" – mówi Kidawa-Błońska. Może pani poseł powinna wybrać karierę w Europie? Berlin miałby jeszcze łatwiej niż z Tuskiem.

Tusk opowiedział się przeciwko budowie nowej bariery na granicy z Białorusią. Twierdzi, że to będzie przekręt. Jak przystało na arcycynika, zapewnił jednocześnie o poparciu dla szczelnej granicy: „Dzisiaj problem PiS i jego propozycji polega na tym, że dostali do rąk już wszystkie możliwe instrumenty, z przedłużanym stanem wyjątkowym włącznie, a przez granice przecieka coraz więcej ludzi. Jeżeli kogoś potrafią zatrzymać, to są to kobiety i dzieci". Typowy Tusk: greps zamiast prawdy. I jeszcze przechwałka: „Ja bym wiedział, jak to zrobić, mam trochę doświadczenia w budowaniu w Polsce różnych bardzo czasami skomplikowanych infrastruktur". Tak, ma doświadczenie, ale w likwidowaniu i zwijaniu państwa.

11 lat temu ***Andrzej Halicki***, wówczas rzecznik prasowy klubu PO, udzielił wywiadu, w którym stwierdził, że po dymisji w związku z aferą hazardową Grzegorz Schetyna miał prawo poczuć się zdradzony. Halicki mówił też o „upokarzaniu ludzi" i partyjnych lizusach. Teraz sprawa wróciła. Jak informuje portal Interia.pl, słowa sprzed ponad dekady bardzo dotknęły Tuska, który pamięta je po dziś dzień. Dlatego też szef Platformy zamierza odegrać się na Halickim i zabrać mu funkcję lidera na Mazowszu. Opowiastki o jego mściwości nie są jednak przesadzone.

Szymon Hołownia wypowiedział się w sprawie Turowa. „Ja jestem legalistą [...] więc jak sąd mi zasądzi jakiś wyrok, to go wykonuję. A potem mogę z nim dyskutować. Tak jestem wychowany". Co proponuje? „Teraz trzeba jak najszybciej, nawet idąc na pewne ustępstwa, dogadać się z Czechami, odwołać się do arbitrażu międzynarodowego. Jeżeli oni chcą, żebyśmy robili międzynarodowe komisje, to je róbmy". Gdyby zażądali korytarza, też pewnie by się zgodził.

W Warszawie gościł Reinhard Bütikofer, europoseł Zielonych. Miał spotkanie z polskimi dziennikarzami. Jeden z nich zaczął perorować to, co zwykle słyszą zagraniczni goście: że w Polsce jest zamordyzm, że źle go potraktowano w TVP, że zagranica musi działać, bo orbanizacja postępuje. A pan europoseł odpowiedział mu tak: „Polsce nie grozi żadna orbanizacja, jest wolność słowa, jest pluralizm, pan histeryzuje". I dodał: „Niemcy sami są sobie winni, że relacje z Polską wyglądają tak, jak wyglądają, a poza tym Polska powinna odgrywać ważną rolę w polityce niemieckiej, bo oś Berlin–Paryż już nie działa". Prawdziwy nonkonformista. Mądry człowiek.

Marszałek województwa mazowieckiego ***Adam Struzik*** przeprosił w mediach społecznościowych prezesa PiS za opublikowanie w 2019 r. na Twitterze jego wizerunku upodobnionego do wizerunku Adolfa Hitlera. „Ubolewam, że w wyniku mojego bezprawnego działania bezpodstawnie naruszyłem dobre imię, wizerunek i godność Jarosława Kaczyńskiego" – głosi oświadczenie. Pedagogicznie to ważny moment, ale przydałaby się także jakaś głębsza refleksja. Ale tak, to byłyby już zbyt wysokie wymagania.

Fot. Andrzej Skwarczyński, Andrzej Wiktor x3, Julita Szewczyk x2

eprasa.pl 31955fcd36

Palenie koszulek

KRZYSZTOF FEUSETTE

Ostatni raz do Warszawy pojechałem, od razu zaznaczam, żeby potem nie było, że człowiek już nie chce o demokrację walczyć. Nie za taką cenę. To był normalny dzień, nagle kobita wpada do domu, oczy jej płoną, jak wozy TVN i krzyczy: „Wyp...alać! Pakować się, ale to już! Co wy, internetu nie macie?! Jedziemy do Warszawy! Donald wzywa!". Usłyszałem, że „wyzywa", to się pytam: „Znowu? Mało to razy nas obrażał?". Popatrzyła na mnie jak Spurek na dziecko pijące mleko. „Nie wyzywa, jełopie pisowski, tylko wzywa! Na ratunek!". „A kto atakuje?" – drążę, żeby wiedzieć, jak się ubrać. „Polska! Unię całą europejską!" – wrzeszczy i widzę, że jest zdeterminowana. A ona nosa do intuicji ma i jak mówi, że pan Tusk to jest nasza ostatnia nadzieja, to ja jej wierzę. Chociaż na Kijowskim żeśmy się sparzyli. I to finansowo.

No, nic, jak Europa wzywa, to trzeba walić się dechą, jak pan Komorowski przykazał. Ale młody, jak tylko usłyszał, że Hołowni jednak nie będzie, dostał rozstroju żołądka, bo on śledzi pana Szymka w internecie od najmłodszych lat. Nawet kiedyś, jak go rodzina spytała, kim by chciał zostać, to powiedział, że prezenterem albo prezydentem. Starsza z kolei, bo my mamy dwie udręki, bardzo chciała tego Szłapkę poznać. Nie to, żeby interesowała się polityką, ale to jest, wypisz, wymaluj, jej dawny chłopak, którego rzuciła, bo nie chodził na marsze. A Szłapka chodzi. Ale jak jej Facebooka na sześć godzin zamknęli, to wpadła w takie towarzyskie zaległości, że za chińskiego boga jechać nie mogła. „Skoro tak, to mamy wolne miejsca w aucie" – mówi mi kobita. „Idź, uświadom sąsiadów, o co toczy się walka, bo tu nie ma miejsca na puste miejsca". Pukam do sąsiada, mówię, o co chodzi, że żona zaproszenie dostała czy tam wezwanie, by jechać ratować polską konstytucję, tfu, to znaczy demokrację i tak dalej, wszystko to, co ona przez sen gada, a ten się prawie posikał ze śmiechu. Potem jego żona przyszła i dzieci, i koledzy dzieci, wszyscy to samo.

Pojechaliśmy w połowie na pusto, więc generalnie w milczeniu. Wjeżdżamy do Warszawy, pytam się kobity, gdzie to konkretnie ma być, a ona, że pewnie na placu Unii, bo to by najbardziej pasowało. No, ale sprawdziła, że tam nie o Europejską chodzi, tylko jakąś lubelską. To chyba wódkę, no, ale co ja tam wiem. „A może w alei Niepodległości?" – pytam. „Albo na placu Konstytucji, bo tam żeśmy się ostatnio spotykali". Okazało się, że plac, owszem, ale Zamkowy. Jego też kojarzymy, bo tam żeśmy konstytucji bronili, nawet król Zygmunt miał koszulkę założoną. No, ale teraz żeśmy koszulek już nie brali. Prawdę mówiąc, stara spaliła za działką, żeby śladów nie było, że myśmy w ogóle kiedykolwiek uważali, iż konstytucja to jest jakaś świętość i najwyższe prawo. No, chyba że europejska, rozumiana jako zbiór zasad, których nie określają traktaty. Albo niemiecka czy francuska, gdzie demokracja jest na wyższym poziomie, bo tam konstytucja jest ponad prawem unijnym.

Dojeżdżamy na Zamkowy, nagle baba mi krzyczy do ucha, że stać, zawracać, bo jednak na placu Konstytucji. Rafał Trzaskowski na Twitterze zawiadamia, że impreza przeniesiona z przyczyn niezależnych. W sumie, zero zdziwienia, w końcu jesteśmy w stolicy. Sprawdzamy na Onecie, też to mają, więc walimy na plac Konstytucji. Ludzi brak. Stara znowu sprawdza, jednak na Zamkowym, ale teraz to już bankowo, bo tamto to był fake news, jakim chciano wprowadzić w błąd obrońców konstytucji, tfu, demokracji. No, więc jedziemy na Bankowy, tak mnie tym „bankowo" zmyliła. Stamtąd na piechotę na Zamkowy. Myślałem, że nie dojdzie. Doszła, jak jej przypomniałem, o co toczy się walka.

5 tys. luda na jednym placu, tak pan Arłukowicz ze sceny rzucił. Moja prawie zemdlała, że tak mało, na szczęście szybko się okazało, że policzył tylko tych, co przyszli z własnej woli. Policja mówi, że było 25 tys., ale organizatorzy (czyli nie Tusk, bo on tylko rzucił hasło, miejsce, termin, godzinę i cel zbiórki) – że było od 80 do 100 tys. Tyle że cały plac Zamkowy to jest nieco ponad 10 tys. metrów kwadratowych, czyli według warszawskiego ratusza na jednym metrze kwadratowym stało od 8 do 10 osób. Tłumaczą, że ludzie byli też w bocznych uliczkach. No, to przepraszam, jak już wszystkich z uliczek liczą, to trzeba było bez kozery 500 tys. powiedzieć.

Szczęście w nieszczęściu, że żona zachwycona, bo i Lempartowej zdjęcie zdążyła zrobić tuż przed stratowaniem, i bluzgów się nasłuchała tyle, że do świąt wystarczy. Z Warszawianek Roku to widzieliśmy jeszcze panią Babcię Kasię. To znaczy, ludzie tak mówili, jak radiowóz przejeżdżał – że ona w środku siedzi, bo znowu komuś ręcznie tolerancję tłumaczyła. Ale najlepszy pokaz dał Jurek Owsiak, jak zaczął o toaletach w Brukseli opowiadać. Że potwornie wąskie i niewygodne, więc to zrozumiałe, że Donald musiał wrócić. Niewąska historia. No, ale nie za to Jurasowi płacą, żeby myślał szerzej niż drzwi do euroszaletu. Za to powinni tak czynić organizatorzy naszych kolejnych spędów, bo już dziś trzeba kombinować, jak następnym razem ściągnąć więcej kombatantów z unijną chorągiewką. Jedna powstanka w roli żywej tarczy na pewno nie wystarczy. No i przemówienie Tuska, oczywiście, świetne. Tym bardziej szkoda, że nie było słychać.

eprasa.pl 31955fcd36

WIEŻA BAB

„Babcia Kasia" w akcji

I może nawet Platforma mogłaby się od takich zadymiarzy odciąć, gdyby nie to, że ich potrzebuje, a ich działania legitymizuje

Niedzielny wieczór. Trwa manifestacja zorganizowana przez Donalda Tuska. Obok druga, z Robertem Bąkiewiczem w roli głównej. Na tę drugą próbuje się przedrzeć Katarzyna Augustynek, zwana „Babcią Kasią", aktywistka związana z grupą Homokomando. Po co tam idzie? Żeby rozkręcić zadymę. Nie pierwszy i nie ostatni raz.

Policja nie przepuszcza jej przez kordon, więc staje tuż za nimi i zaczyna lżyć policjantów, krzyczeć na nich, każe im odpiąć orła, zdjąć maskę, wylegitymować się, wyzywa, każe się policjantom wstydzić. Stojąca obok Urszula Karśnicka mówi, że to Katarzyna Augustynek powinna się wstydzić swojego zachowania, bo z racji wieku jej takowe nie przystoi. Zadowolona „Babcia Kasia" już ma swoją ofiarę. Zaczyna prowokować panią Urszulę, podtyka jej pod twarz tęczową flagę, zaczepia, zaczyna pyskówkę, ubliża jej. Po kilku minutach takiego zachowania pani Urszula nie wytrzymuje i odpycha flagę, która się łamie. „Babcia Kasia" wpada w furię, zaczyna bić kobietę flagą i wrzeszczeć. W obronie pani Urszuli ruszają mąż i policja.

Całą sytuację rejestruje kamera wPolsce.pl. Szczegóły zdarzenia pani Urszula relacjonuje mi później w studiu. Zaatakowana kobieta nie ma wątpliwości, że miała do czynienia z prowokacją. Nie pierwszy raz widziała takie zachowanie:

– Policja naprawdę stała spokojnie. Ona przyszła tak nie wiadomo po co, bo jej manifestacja odbywała się w zupełnie innym miejscu. Ewidentnie chciała zrobić jakąś zadymę. To było oczywiste, kiedy pojawiła się z flagą Homokomando – wiadomo było, że coś się zadzieje – opowiada Urszula Karśnicka. I dodaje, że na każdej manifestacji, w której brała udział, plan jej zakłócenia wygląda mniej więcej tak samo – pewna grupa pojawia się nagle, aby przeszkadzać. – To samo działo się nawet na marszach odbywających się 1 sierpnia. Nigdy nie mogło być tak, żeby uroczystość odbyła się spokojnie. Zawsze pojawiała się grupa tych samych osób, aby zakłócać wydarzenie. Chyba każdy to widzi, że mamy do czynienia z prowokatorami – nie ma wątpliwości kobieta.

Jednak w świat idzie przekaz o agresywnych narodowcach, mówi się o faszystach dybiących na „normalnych" ludzi. Tymczasem to na normalnych ludzi dybią członkowie Homokomanda, kodziarze, lotne brygady i cała reszta tzw. opozycji chodnikowej. A „Babcia Kasia" jest szczególnie groźna. Swoje możliwości pokazywała już podczas wcześniejszych demonstracji: na tzw. Strajku Kobiet czy demonstracji w obronie sędziego Tulei. Pod Sądem Najwyższym Katarzyna Augustynek miała kopać policjantów, szarpać za mundury i drapać.

Dlaczego starsza pani wywołuje uliczne burdy? Może dlatego, że nie ma nic lepszego do roboty. Jest bowiem babcią bez dzieci i wnuków. „Moi jedyni bliscy to przyjaciele i uliczni znajomi. Nie mam rodziny. Od 11 lat nie mam już nikogo, ostatni członek mojej rodziny zmarł w 2009 r. Mogę swobodnie protestować, nikogo nie obciążam swoimi działaniami, przed nikim się nie muszę tłumaczyć, nikogo nie muszę chronić. Odpowiadam tylko przed sobą i ponoszę tego konsekwencje" – wyznała Katarzyna Augustynek w lutowym wywiadzie dla „Wysokich Obcasów".

I może nawet Platforma Obywatelska mogłaby się od takich zadymiarzy odciąć, gdyby nie to, że ich potrzebuje, a ich działania legitymizuje. Agresywna i wulgarna Katarzyna Augustynek została nominowana przez Rafała Trzaskowskiego do tytułu Warszawianki Roku, co w wielu środowiskach odebrano jako zwykłą prowokację. Ale to nie wszystko. Niedawno na Twitterze mogliśmy zobaczyć zdjęcia czołowych ulicznych zadymiarzy na naradzie w siedzibie Platformy Obywatelskiej. Opublikował je Maciej Stańczyk, dodając komentarz: „Gdyby ktoś pytał, z kim powiązani są zadymiarze wchodzący na pomniki i zagłuszający uroczystości upamiętniające ofiary katastrofy smoleńskiej, to poniżej kilka zdjęć tych zadymiarzy z siedziby @Platforma_org". Każdy, kto chce, znajdzie zdjęcia bez problemu.

Jako podsumowanie nasuwa mi się cytat Rogera Scrutona, który powiedział: „Obecnie walka z mową nienawiści polega na przypisywaniu własnej nienawiści politycznym przeciwnikom". Nic dodać, nic ująć.

Dorota Łosiewicz

Coraz mniej Rosjan

Jak wynika z oficjalnych statystyk, w ciągu ostatnich 12 miesięcy doszło do nienotowanego dotąd w okresie pokoju gwałtownego spadku liczby ludności Rosji. Wyliczenia wskazują bowiem, że naturalna populacja Rosji, a więc liczba, która obejmuje zarejestrowane zgony i urodzenia, z wyłączeniem skutków migracji, zmniejszyła się pomiędzy październikiem 2020 a wrześniem 2021 aż o 997 tys. osób.

Poprzedni rekordowy spadek naturalnej populacji nastąpił pomiędzy lipcem 1999 a czerwcem 2000, kiedy liczba ludności Rosji spadła o 983 tys. osób. Było to jednak następstwo niespokojnej dekady lat 90. W wyniku wstrząsów po upadku ZSRR dramatycznie nawarstwiły się wówczas problemy społeczne, przede wszystkim ubóstwo i alkoholizm, co ostatecznie przyczyniło się do załamania liczby urodzeń.

W okresie rządów Władimira Putina gospodarka rosyjska, głównie wskutek wzrostu światowego popytu na surowce, powróciła na ścieżkę rozwoju. Dzięki miliardom dolarów spływającym co roku do federalnego budżetu udało się nie tylko w błyskawicznym czasie spłacić zaciągnięte wcześniej na Zachodzie długi, lecz również sfinansować świadczenia socjalne promujące dzietność. Jak zwracają uwagę komentatorzy, również rzekomy „konserwatywny zwrot" w polityce Putina miał do pewnego stopnia pragmatyczny cel, jakim było zahamowanie spadku urodzeń i promowanie, przynajmniej deklaratywnie, wartości rodzinnych.

Krótkotrwała stabilizacja gospodarcza pozwoliła na początku poprzedniej dekady wyhamować niekorzystne trendy demograficzne, przy czym niewykluczone, że w dużej mierze było to zasługą osiedlających się w Rosji imigrantów z poradzieckiej Azji Środkowej. Jednak po inwazji na Ukrainę oraz kolejnym osłabieniu gospodarczym populacja znowu zaczęła spadać. Nie zmieniła tego nawet aneksja Krymu, która w 2014 r. dodała do oficjalnych statystyk ludnościowych 2 mln nowych mieszkańców. W rezultacie liczba ludności Rosji, wynosząca dziś około 145 mln, jest niższa niż w momencie objęcia władzy przez Władimira Putina w 2000 r.

Na obecne kłopoty demograficzne Rosji wpłynęła też pandemia koronawirusa, która pochłonęła już – według oficjalnych danych – 220 tys. ofiar, przy czym dane nieoficjalne mówią o liczbie co najmniej trzykrotnie wyższej, co zresztą w obu przypadkach klasyfikuje Rosję wśród państw o najwyższej liczbie zgonów wywołanych koronawirusem. Do tego dochodzi jeszcze wynikające głównie z przyczyn ekonomicznych coraz szybsze wyludnianie rosyjskiej prowincji, zwłaszcza Syberii i Dalekiego Wschodu, co może doprowadzić w przyszłości do powstania demograficznej próżni na pograniczu z Chinami.

Kluczowe dla przyszłości Rosji byłoby więc przywrócenie gospodarczej stabilizacji. Siła militarna, na którą dziś stawia Kreml, nie zahamuje bowiem demograficznej zapaści. Wręcz przeciwnie.

Konrad Kołodziejski

Fot. Shutterstock

Dramatyczny raport

We Francji opublikowano raport niezależnej komisji do zbadania nadużyć seksualnych w Kościele. Tamtejsi hierarchowie, by nie zostać posądzonymi o stronniczość, poprosili o szefowanie komisji byłego wiceprzewodniczącego Rady Stanu Jeana-Marca Sauvé, który jest m.in. członkiem Wielkiej Loży Francji. Efektem prac owego gremium stało się opracowanie dokumentu, z którego wynika, że w latach 1950–2020 doszło do 216 tys. przypadków przestępstw seksualnych wobec nieletnich, których sprawcami było od 2,9 tys. do 3,2 tys. księży. Oznacza to, że ich odsetek wśród duchownych wynosił ok. 2,5 proc. Raport podaje, że aż 83,3 proc. pokrzywdzonych stanowili chłopcy – ofiary homoseksualistów w sutannach, a 16,7 proc. dziewczynki skrzywdzone przez heteroseksualistów. Dokument zadaje kłam twierdzeniom, jakoby dzieci najbardziej narażone na molestowanie były w kościołach i placówkach katolickich. Okazuje się, że tylko 4 proc. przypadków pedofilii we Francji popełnionych zostało przez duchownych.

Przewodniczący episkopatu bp Éric de Moulins-Beaufort, komentując raport, powiedział: „Jesteśmy oszołomieni, te głosy nami wstrząsają, te liczby nas dręczą. Pragnę prosić o przebaczenie, przebaczenie od każdego z was".

Z faktami przedstawionymi w dokumencie nie sposób dyskutować. Inaczej jest z interpretacjami i proponowanymi rozwiązaniami. Jean-Marc Sauvé uważa, że najlepszym sposobem na poradzenie sobie z problemem nadużyć seksualnych przez księży jest zniesienie celibatu kapłanów i tajemnicy spowiedzi. Zupełnie zignorowany przez komisję został natomiast związek między homoseksualizmem a pedofilią klerykalną, choć przedstawione statystyki wskazują na taką więź. Analogiczną prawidłowość, czyli miażdżącą nadreprezentację osób o skłonnościach homoseksualnych wśród sprawców czynów pedofilskich wśród duchownych odnotowano także w podobnych raportach w Australii, USA, Belgii i Niemczech. Ten wątek jest jednak przemilczany, choć bez prawidłowej diagnozy trudno o właściwą receptę.

Grzegorz Górny

Fot. Olgres8/Shutterstock.com

eprasa.pl 31955fcd36

Mołdawia

Maja Sandu gra va banque

Prezydent Mołdawii Maja Sandu (na zdj.) podjęła decyzję, której skutki mogą doprowadzić zarówno do kryzysu konstytucyjnego, jak i do zdestabilizowania sytuacji w kraju. Chodzi o osadzenie w areszcie domowym prokuratora generalnego Alexandra Stojanogla. Postawiono mu zarzuty „pasywnej korupcji" oraz bezczynności w walce ze skorumpowanymi politykami rządzącymi Mołdawią za czasów poprzedników Sandu, w tym nierozwiązanie sprawy kradzieży z systemu bankowego ponad 1 mld dol., za co nikt nie został do tej pory skazany. Jednak sam Stojanoglo ogłosił, że jest ofiarą spisku politycznego i zamachu na ostatnią, niekontrolowaną przez obóz polityczny Sandu instytucję publiczną, jaką jest prokuratura.

Jego zatrzymanie i tymczasowe odwołanie z funkcji wywołało w Mołdawii polityczną burzę, mobilizując zarówno polityków prorosyjskiej partii socjaldemokratycznej, w tym byłego prezydenta Igora Dodona, jak i liderów Gagauzów, autonomicznej tureckojęzycznej mniejszości, z której wywodzi się Stojanoglo. Irina Włach, otwarcie prorosyjska liderka autonomii Gagauzów, uważa, że odwołanie Stojanoglo to pierwszy krok do likwidacji specjalnego statusu mniejszości. W Komracie, stolicy autonomii, na wieść o zatrzymaniu Stojanoglo rozpoczęły się demonstracje, miejscowi aktywiści wystawili też posterunki na drogach. Niektórzy obserwatorzy sądzą nawet, że napięcie może się przerodzić w starcia, podobne do tych, jakie po upadku ZSRR doprowadziły do powstania separatystycznej „republiki" Naddniestrza.

Prorosyjska opozycja w Mołdawii twierdzi, że aresztowanie Stojanoglo miało powstrzymać go od ujawnienia informacji, które kompromitują obecnie rządzących. To dlatego – jak utrzymuje opozycja – zatrzymanie prokuratora generalnego nastąpiło na pół godziny przed rozpoczęciem konferencji prasowej, na której miał przedstawić wyniki dochodzeń prowadzonych przez jego podwładnych.

Na napięcie polityczne w Mołdawii nakłada się pogarszająca się sytuacja gospodarcza i niepewna przyszłość dostaw rosyjskiego gazu ziemnego w związku z długiem separatystycznego Naddniestrza, który wynosi 7 mld dol., ale Moskwa uważa, że odpowiedzialna za jego spłatę jest Mołdawia. Rząd w Kiszyniowie już wystąpił z apelem do ludności, aby ta „przeszła na inne niż gaz źródła energii", co wywołało tylko skokowy, 30-proc. wzrost cen węgla na lokalnym rynku. Komentatorzy podkreślają determinację Sandu, aby wyplenić korupcję, nawet jeśli walka z tym zjawiskiem nie odbywa się całkiem zgodnie z literą prawa. Z kolei prorosyjska opozycja chce wykorzystać trudną sytuację gospodarczą do politycznego przesilenia. Walka o przyszłość Mołdawii nie jest zatem zakończona.

Marek Budzisz

Fot. Alexandros Michailidis/Shutterstock.com

Chile

Zabójcze awokado

Czy jeden z głównych przysmaków wegan i wegetarian niszczy planetę? Wygląda na to, że uprawa awokado może być niebawem postawiona w jednym szeregu z hodowlą bydła, którą żarliwie zwalczają ekolodzy. Wszystko z powodu zużycia wody. By wyprodukować kilogram awokado, potrzeba aż 283 litrów wody. To dziesięć razy tyle, ile pochłania uprawa kilograma pomidorów, i cztery razy tyle, ile wymaga wyprodukowanie kilograma pomarańczy. Tak wylicza holenderska Water Footprint Network, która przyglądała się uprawom awokado w Chile.

Kolejnym problemem jest naruszanie ekosystemu w wysokich Andach. To tam chilijskie i peruwiańskie firmy zakładają coraz częściej swoje plantacje, wycinając w ich celu lasy sosnowe. Na to nakładają się problemy zdrowotne rolników wywołane zużyciem ogromnych ilości pestycydów i nawozów do uprawy owocu. Chemikalia powodują nowotwory, astmy i choroby płuc. Problemem jest też transport owoców samolotami, co generuje ślad węglowy. Do tego dochodzi jeszcze pakowanie. Owoce trzeba przechowywać w określonej temperaturze, czyli w specjalnych opakowaniach z nieekologicznych tworzyw takich jak plastik.

Wysokie dochody, jakie generuje uprawa i sprzedaż awokado na świecie, spowodowały też, że za uprawy biorą się kartele narkotykowe, które piorą w ten sposób pieniądze. Z kolei w Kolumbii zaniepokojeni są farmerzy uprawiający kawę, którzy opowiadają, że ich plantacje są atakowane przez niewidziane tu wcześniej owady. Ma to być spowodowane rozrastającymi się dookoła uprawami awokado.

Awokado odbiera też innym roślinom wodę. Problem ten dotyczy już większości krajów Ameryki Południowej. W 2018 r. donoszono o wysychających w Chile rzekach. Z kolei niedawno było głośno w mediach o sytuacji w meksykańskim stanie Michoacán, gdzie rocznie wycina się 20 tys. ha lasów, z czego od 6 tys. do 8 tys. ha z powodu uprawy awokado.

Czy to wszystko spowoduje zatrzymanie produkcji awokado? Nie wskazuje na to rosnące światowe spożycie owocu. Sam Meksyk produkuje rocznie ponad 2 mln ton awokado. Nie tylko po to, aby zaspokoić utrzymanie produkcji sosu guacamole.

Łukasz Adamski

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 31955fcd36

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Nie dajmy się wysiudać z Unii!

Jan Pietrzak

Coraz wyraźniej widać, że kolejne nieprzyjazne gesty ze strony brukselskiego Zentralkomitee zmierzają do tego, by nas wysiudać z Unii, tak jak zrobili z Wielką Brytanią. Tak długo drażnili „dumny Albion", tak im wmawiali, że to nie dla nich towarzystwo, aż pozbyli się umęczonych Brytoli. Miał w tej operacji specjalnej niemały udział herr Tusk, jako osobisty znajomy Merkel i Putina. Z pewnością Europa jest obecnie łatwiej sterowalna, lecz słabsza, i o to patronom Tuska chodziło.

Nawiasem mówiąc, Londyn został przez brukselskie „elity" zainfekowany bezprawiem i kłamstwem w stopniu budzącym zdumienie. Przykład Rafała Ziemkiewicza, zatrzymanego na lotnisku Heathrow z powodu „niewłaściwych" poglądów, pokazuje, jak zaraza nikczemności i bezprawia zdołała popsuć szanowane niegdyś przez wyspiarzy zasady prawne i dobre obyczaje. Redaktor Ziemkiewicz, jak słychać, zamierza w angielskim sądzie szukać sprawiedliwości i liczy na wsparcie. Myślę, że liczni czytelnicy p. Rafała zachowają się, jak trzeba!

Z innej beczki, zaskakująco młodzieńczo poczynają sobie weterani Sierpnia '80. Andrzej Gelberg i Adam Borowski przywracają prawdę na „tablicach pamięci" w Warszawie. Zaklejają słowa „hitlerowcy" i naklejają „Niemcy", wyjaśniając wreszcie prezydentowi Trzaskowskiemu, kto rozstrzeliwał warszawiaków w latach 1939–1944. To jest o tyle ważne, że spadkobiercy tamtych morderców pragną zarządzać całą Europą. Co nie udało się Hitlerowi 80 lat temu bombami, czołgami, terrorem, teraz próbują Jourową, Barleyową, Timmermansem... Zagłodzić, podporządkować inne narody, ze szczególnym uwzględnieniem Polaków. Nie chcą w nas mieć partnerów, wspólników, potrzebują niewolników zwanych na pocieszenie Europejczykami. Temu służyło spotkanie Tuska z grupą jego entuzjastów na warszawskim placu.

Według sondażu 60 proc. rodaków lubi żyć w Unii Europejskiej. Zadano im fałszywe pytanie. Zapytajcie, kto chce żyć w Rzeszy Niemieckiej – to się okaże. Potrzebny jest mechanizm warunkowości: owszem, chcemy być w Unii, pod warunkiem że nie będą nią rządzili Niemcy.

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Unia to oni

Dominik Zdort

Aktywiści pokrzykujący od czasu do czasu: „Unia to my", powinni się zastanowić nad logiką tego hasła. No bo skoro jest tak, jak twierdzą, to jak rozumieć kary, które nakładają na Polskę unijne organy? Sami na siebie te sankcje nakładamy? Decyzje Komisji Europejskiej i Trybunału Sprawiedliwości UE jednoznacznie pokazują, że Unia Europejska z Polską i jej interesami nie chce mieć nic wspólnego, wręcz przeciwnie: zależy jej na pogorszeniu naszej sytuacji gospodarczej. Mówiąc wprost: Unia zachowuje się dziś jak wróg Polski. W podtekście jest oczywiście plan odsunięcia od władzy obecnie rządzących i obsadzenie administracji bezkrytycznie realizującej wytyczne Brukseli. Jak drzewiej bywało.

Zawsze twierdziłem, że w interesie Polski jest członkostwo w Unii Europejskiej. Pod dwoma warunkami.

Po pierwsze, unijne organy nie mogą się mieszać wewnętrzne sprawy Polski, bo gdy tak się stanie, gdy będą szantażowały polskie władze, domagając się dostosowania naszego prawa do zasad „jedynie słusznego" ustroju, staną się tym, czym kiedyś była Moskwa wobec PRL. Opresyjnym imperialnym reżimem. Jeszcze parę lat temu można było mówić, że przesadzam, dziś widzimy, że ten scenariusz jest realizowany. Oczywiście Bruksela, w odróżnieniu od Sowietów, nie ma czołgów, ale może dokonać brutalnego najazdu na Polskę i zmienić rząd za pomocą oręża finansowego. Co właśnie czyni.

Po drugie, mówiłem, że w UE warto być dlatego, iż to się finansowo opłaca. To żaden grzech, że państwo chce, aby obecność w jakiejś organizacji przynosiła mu korzyści. W końcu i nas przyjęto do Unii nie na piękne oczy, ale jako kraj będący buforem między Zachodem a Rosją, a także wielki rynek zbytu i rezerwuar taniej siły roboczej. Teraz pytanie: skoro unijne organy nakładają na Polskę sankcje, obcinają należne nam pieniądze, nakładają kary, to czy nie nadchodzi ten moment, kiedy będziemy do tego interesu dokładać? A skoro tak, to po co być w UE?

Koleżanka Eliza nakrzyczała na mnie: „Jak to? Unia gwarantuje nam bezpieczeństwo!". Obśmiałem ją, przypominając, że unijne siły zbrojne to kpina. „Unia ma siłę polityczną" – odparła Eliza.

Śmiem powątpiewać w tę siłę, a tym bardziej w to, czy Bruksela i Berlin zechciałyby jej w obronie Warszawy użyć. Przypadek Nord Stream 2 dobitnie pokazuje, że z tej strony na lojalność w żadnym razie nie możemy liczyć.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl 31955fcd36

BRONISŁAW WILDSTEIN

Powrót do zasad

Przyzwyczailiśmy się, że Jarosław Kaczyński i PiS odsądzani są od czci i wiary za „ultranacjonalizm" i „fundamentalizm religijny". Nowa, interesująca książka „100 godzin samotności" polityka i publicysty Marka Jurka zarzuca tej partii i jej liderowi, że nie podejmują próby powrotu do zasad cywilizacji chrześcijańskiej. Głównym przedmiotem analizy autora są wydarzenia związane z październikowym orzeczeniem Trybunału Konstytucyjnego, który rozpętał pandemonium zwane „strajkiem kobiet".

Zdaniem Jurka PiS przez cały czas trwania w polityce demobilizował obrońców życia. „Tak właśnie przez ostatnie lata dojrzewała rewolucja październikowa [chodzi o „strajk kobiet"]. Aborcjoniści perorowali o »wolności wyboru«, o »władzy, która nie ma prawa narzucać«, o »prawie do własnego ciała«. A władza? Zamiast mówić o prawie do życia, o spoczywającym na państwie (więc na nas wszystkich) obowiązku jego obrony, o prawie kobiety do ochrony przed aborcyjną presją i aborcyjną subkulturą, zamiast mówić o tym wszystkim – władza robiła uniki, deklamując o światopoglądowych kwestiach (subiektywnego) sumienia, które każdy może rozstrzygać po swojemu. I opinię społeczną systematycznie przepychano w stronę aborcyjnego relatywizmu".

Jurek zdecydowanie przeciwstawia się wyobrażeniu trwałych przekonań społecznych, które odsłaniać mają sondaże – „demoskopia jest nauką, ale interpretacja sondaży jest sztuką" – przywołuje znane powiedzenie. Tak ocenia on postawę nominalnie konserwatywnych polityków współczesnego świata: „W postrepublikańskiej demokracji medialno-masowej nie dlatego nie przekonują ludzi, że »roztropnie« uznają, że im się nie da, ale dlatego, że im się po prostu nie chce. Bo dobro publiczne uważają za abstrakcję, a władzę za konkret, więc po co mieliby pchać nogę między drzwi?".

Jurek robi eksperyment myślowy i pokazuje, co jego zdaniem działoby się, gdyby we Francji milionowe manifestacje w 2013 r. przeciw „małżeństwom homoseksualnym" serio poparli politycy prawicy. Można wyobrazić sobie odwrót lewicy w kwestii LGBT, a także aborcji. W konsekwencji wycofanie się lewicy z dominującej dziś emancypacyjno-rewolucyjnej ideologii. Dlaczego tak się nie stało? „Niezależnie od swojego oportunizmu – przywódcy lewicy naprawdę żyją mistyką Rewolucji. A cywilizacja chrześcijańska to jedynie gasnący nastrój ich wyborców. I dlatego gaśnie".

„Społeczeństwo nie składa się z izolowanych bloków opinii, oprócz przekonanych i tych, których się nie przekona, jest bardzo wielu ludzi, na których propaganda aborcjonistyczna może chwilowo robić wrażenie, ale którzy mają też świadomość absolutności normy ochrony niewinnego życia. Ich poglądy są w dużym stopniu funkcją wydarzeń i nastrojów społecznych".

Wyrok TK wyzwolił eksplozję agresji i barbarzyństwa. Przez czas jakiś władza milczała. Jurek zarzuca jej, że nigdy nie wskazywała, że orzeczenie sądu konstytucyjnego było jedynie powtórzeniem tego, co pod przewodnictwem Andrzeja Zolla ogłosił on 28 maja 1997 r., a więc stanowiło kontynuację podstawowej doktryny prawnej, która obowiązuje w naszym kraju niezależnie od politycznych zawirowań. Tymczasem podtrzymanie jej w minionym roku przez TK wyzwoliło pandemonium. Ci, którzy wymyślali swoim przeciwnikom od faszystów, stosowali ich metody. Istotą strategii „strajku kobiet" było zastraszanie. Jurek przypomina organizowanie bojówek, które nękały ludzi w ich prywatnych domach oraz próby terroryzowania policjantów, którzy w sposób wyjątkowo umiarkowany pełnili swoje powinności. Najbardziej skrajnym tego przypadkiem była demonstracja pod domem posłanki PiS, matki niepełnosprawnego dziecka. „Należy uświadomić społeczeństwu, że dziś, owszem, toczy się walka w obronie chrześcijańskiej cywilizacji życia, ale przede wszystkim w obronie cywilizacji w ogóle".

W tym kontekście konserwatywni politycy muszą odejść od sprzecznego z naszym cywilizacyjnym fundamentem wyobrażenia sumienia jako sprawy subiektywnej. Aby realnie istnieć, prawica musi zmienić swoją postawę uległości w stosunku do dominujących ośrodków opinii publicznej. „Można wygrać wybory, a przegrać walkę o przyszłość narodu. Po rewolucji 1968 r. w Stanach Zjednoczonych i we Francji wybory wygrywała centroprawica, jednak stopniowo zaczęła realizować agendę skrajnej lewicy [...] Tak się dzieje, gdy władza wstydzi się zasad, o które powinna walczyć w debacie publicznej".

To wskazanie tylko paru punktów niewielkiej objętościowo, ale niezwykle gęstej znaczeniowo książki. Można polemizować z autorem, że nie docenia taktycznego wymiaru polityki, który także jest niezbędny, aby móc realizować zasady, ale nad jego argumentami powinniśmy się głębiej zastanowić.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 31955fcd36

Walizka Natalii Kaczmarek

sprinterki, medalistki olimpijskiej

Całe moje życie opiera się na podróżach. W domu jestem rzadko, bo albo wyjeżdżam na zgrupowania, albo jedziemy na zawody. Na wakacje mam w roku tylko miesiąc i właśnie złapał mnie pan tuż przed odlotem do Egiptu. Podczas sezonu halowego – styczeń, luty, marzec – trenujemy w Spale i Toruniu, a treningi zagraniczne odbywamy w Portugalii, na Teneryfie, w RPA i Turcji. Często pojawiamy się też w Karpaczu, gdzie znajduje się nowo otwarty stadion lekkoatletyczny, położony 600 m n.p.m. Dla wielu sportowców Karpacz stał się obowiązkowym punktem w kalendarzu treningów, ponieważ burmistrz Radosław Jęcek bardzo nas wspiera, zapewniając odpowiednie warunki treningowe i mieszkaniowe, a piękne widoki na Karkonosze są dodatkowym atutem.

KOLCE

Podstawa, bo to moje narzędzie pracy. Podczas rywalizacji z najszybszymi sportowcami na świecie, kiedy sekundy potrafią dzielić od podium, moje kolce odgrywają kluczową rolę. Dlatego mam je zawsze z sobą, bo większość treningów biegowych robię w kolcach.

MASKA

Lubię pływać, a ponieważ Egipt słynie z pięknych miejsc do nurkowania, zamierzam ponurkować.

APARAT NA ZĘBY

Ponieważ postanowiłam poprawić swój uśmiech, moja ortodontka powiedziała, że komplet przezroczystych nakładek na zęby ma być moim najlepszym przyjacielem na najbliższe dni. Pudełko oczywiście zapewnia higienę.

BALSAM DO UST

Ponieważ noszę aparat, strasznie wysychają mi usta. Odczułam to zwłaszcza w Afryce, gdzie mieliśmy zgrupowania. Dlatego na noc zawsze smaruję je sobie grubą warstwą.

eprasa.pl 31955fcd36

OLEJEK Z BROKATEM

Stosuję na włosy i na ciało, a z brokatem, żeby nadać swojej sportowej karierze błyskotliwy charakter;) Dlatego zdarza mi się nawet na zawodach musnąć się brokatem w paru miejscach.

PODUSZKA DO AKUPRESURY

Marki Pranamat ECO. Po ciężkim treningu czy podróży, gdy mam spięty kark lub bolą mnie plecy, puszczam sobie jakiś podcast, kładę się na niej i zasypiam. Wykonana wyłącznie z naturalnych materiałów, pokryta minikolcami ze specjalnego tworzywa, stymuluje produkcję endorfin, tłumiąc uczucie bólu. Na rynku można znaleźć tańsze produkty z plastikowymi kolcami, ale są nieprzyjemne w użytkowaniu.

ODŻYWKA

Akurat ta to kolagen. Zazwyczaj w walizce mam cały pakiet odżywek – witaminy, aminokwasy, białko, izotoniki. Wiadomo, że w życiu sportowca trening jest wspierany odpowiednim odżywianiem i suplementami.

KOSMETYCZKA

Duża, bo przez ostatnie lata zagłębiłam się w świadomą pielęgnację włosów i cery, więc nakupowałam trochę tych kosmetyków.

GRA

W przerwach od treningów na obozach czy zgrupowaniach wolny czas urozmaicamy sobie różnymi grami. Tę akurat zabieram na wakacje z moim ukochanym. Może zagramy też w tabu...

KLAPKI

Specjalne do spacerowania po... jeżowcach. Tam gdzie są kolorowe ryby i koralowce, można natrafić na jeżowca, a ja nie mogę sobie pozwolić na kontuzję.

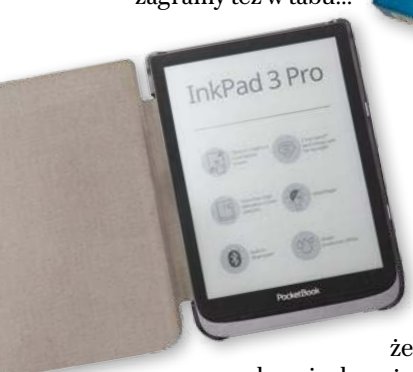

CZYTNIK

Kiedyś jeździłam na obozy z książkami, ale ponieważ czytam bardzo szybko (na jednym z wyjazdów przeczytałam pięć książek), postanowiłam zainwestować w czytnik, żeby nie przekraczać limitów wagowych moim bagażem. Przed olimpiadą w Tokio przeczytałam „Medal będzie mój. Droga na szczyt polskich lekkoatletów" autorstwa Jacka Kurowskiego. Polecam.

ŁAŃCUSZEK

Z olimpijskimi kołami. W pełni zasłużony.

TOKIO 2020

Najcenniejsze medale w mojej karierze. Srebro zdobyte w sztafecie kobiecej 4 x 400 razem z Igą Baumgart-Witan, Gosią Hołub-Kowalik i Justyną Święty-Ersetic oraz złoto w miksie z Kajetanem Duszyńskim, Justyną Święty-Ersetic i Karolem Zalewskim.

PFN

Należę do PFN TEAM100, który jest projektem Polskiej Fundacji Narodowej. Od kilku lat fundacja wspiera mnie, zapewniając środki na mój sportowy rozwój, za co dziękuję.

Wysłuchał i zapisał Michał Korsun

Fot. Andrzej Wiktor, archiwum bohaterki

eprasa.pl 31955ic036

1 bln euro

na tyle niemiecki historyk Karl Heinz Roth wycenia skalę odszkodowań, które Niemcy powinny wypłacić Polsce

1 mld 615 mln zł

na tyle szacuje się koszt zbudowania bariery na granicy polsko-białoruskiej

18,3 tys.

tyle prób nielegalnego przekroczenia granicy polsko-białoruskiej miało miejsce od początku roku

Fot. Andrzej Wiktor x2, Andrzej Skwarczyński, Shutterstock

Niech każdy robi, co Bóg przykazał. Ja nie mam wykształcenia, to pracowałam w ziemi. A jak usłyszałam kłamstwa o moim stryju, to stanęłam w jego obronie.

Filomena Leszczyńska, która walczyła w sądzie z Janem Grabowskim i Barbarą Engelking. Zmarła 10 października 2021 r.

„Wesele" dojrzewało we mnie długo. Zacząłem o nim myśleć, gdy przeczytałem Grossa.

Wojciech Smarzowski

Aborcja to zabójstwo, niedozwolone jest to, by stać się wspólnikiem.

Papież Franciszek

zebrał Jakub Maciejewski

SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 616 36 00, (22) 255 93 32; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, TOMASZ ŁYSIAK, JAKUB MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

FRATRIA grupa medialna

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: PIOTR MALECKI/NAPO IMAGES, ANDRZEJ WIKTOR x2, JAKUB KAMIŃSKI/EAST NEWS, WOJTEK RADWAŃSKI/AFP/EAST NEWS, RICCARDO DE LUCA – UPDATE/SHUTTERSTOCK

nasz sondaż

pracownia **Social Changes** dla **wPolityce.pl**

Na które ugrupowanie polityczne oddałaby Pani/oddałby Pan głos, gdyby wybory do polskiego parlamentu odbywały się w najbliższą niedzielę? (bez niezdecydowanych)

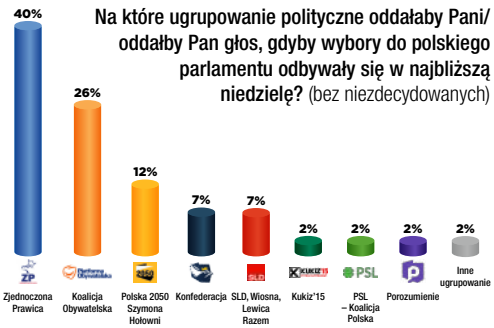

Czy Polska powinna przyjmować imigrantów z Bliskiego Wschodu, którzy chcą się dostać do Polski przez granicę z Białorusią?

Kto według Pani/Pana zwycięży w kryzysie trwającym na granicy Polski z Białorusią?

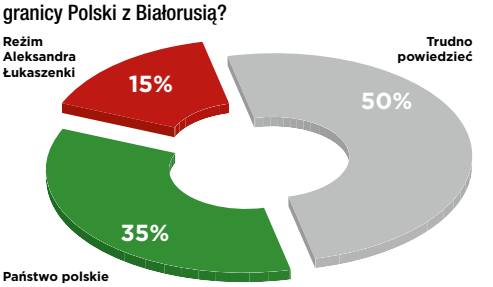

Z którym stwierdzeniem na temat wpływu działań Donalda Tuska na opozycję w Polsce zgadza się Pani/Pan najbardziej?

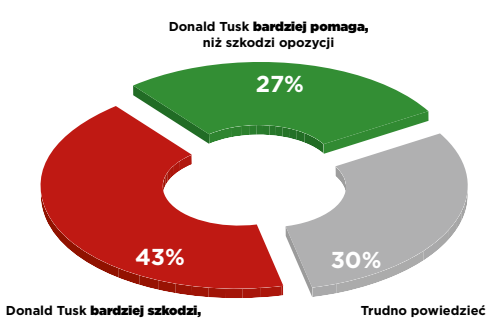

Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1068.

Zakres czasowy badania 8–11 października 2021 r.

eprasa.pl 31955fcd36

Mądrze pomagać

Marta Kaczyńska-Zielińska

Krzewienie edukacji wśród dzieci i młodzieży zamieszkujących Afrykę otwiera przed nimi szansę na wyrwanie się z ubóstwa, biedy, poszukiwanie inspiracji w nauce oraz lepszą przyszłość.

Republika Środkowej Afryki to kraj uznawany przez organizacje międzynarodowe za jeden z najbiedniejszych na świecie. Aż 65 proc. najmłodszych obywateli zmuszane jest w nim do pracy fizycznej lub wcielane do armii rebeliantów, którzy w przeciwieństwie do wielu rodziców nierzadko zapewniają dzieciom wyżywienie. Kolejne ugrupowania rządzące Republiką Środkowej Afryki przez ponad pół wieku nie wybudowały ani jednej szkoły. Edukacją zajmuje się Kościół i misjonarze.

Bouar to jedna z wielu miejscowości, w których wielodzietne rodziny muszą stawiać czoła codzienności w biedzie i stale grożącym niebezpieczeństwom zwalczających się stron niekończącego się konfliktu wewnętrznego. W pierwszych dniach października w tutejszej szkole African Music School, założonej przez polskiego kapucyna misjonarza Benedykta Pączkę, nowy rok szkolny rozpoczęło ok. 80 dzieci. To szósty rok pracy placówki działającej przy wsparciu polskiej fundacji, której głównym celem jest edukacja muzyczna najmłodszych, wspieranie utalentowanej młodzieży, a także troska o codzienny byt jej uczniów, z których wielu dostaje posiłek w domu raz na dwa dni. Przez ostatnie lata zajęcia prowadzone były w budynkach klasztornych oraz w zaimprowizowanych klasach bambusowych. Dzieci kształcą się w grze na wielu instrumentach, począwszy od fortepianu, poprzez perkusję, trąbkę, saksofon, aż po gitarę. Uczą się także śpiewu oraz teorii muzyki. Rozwijanie talentów i odkrywanie pasji oraz zdobywanie wykształcenia otwiera horyzonty przed coraz liczniejszą grupą dzieci i młodzieży. Trzeba też wspomnieć o tym, jaki wielki wpływ odgrywa z pewnością ich edukacja muzyczna w niwelowaniu traumy, której doświadczają w związku ze stale napiętą sytuacją w ich ojczyźnie i tragicznymi losami członków wielu rodzin. Muzyka jednoczy i przywraca radość z życia, wszędzie na świecie gra doniosłą rolę, a ludzie pochodzący z kontynentu afrykańskiego słyną z wyjątkowego poczucia rytmu i muzykalności.

Uczniowie i nauczyciele szkoły w Bouar potrzebują nowego budynku, który będzie mógł pomieścić nawet pół tysiąca uczniów. Od kilku miesięcy prowadzona jest zbiórka na ten cel, a promocją tej inicjatywy była budząca duży entuzjazm wśród publiczności zorganizowana w Polsce, w czasie ostatnich wakacji, trasa koncertowa trzech najbardziej utalentowanych uczniów African Music School.

Tanzania to kraj, którego znaczna część ludności jest niedożywiona i boryka się z epidemiami chorób. Na jednego lekarza przypada 50 tys. mieszkańców. Wielu ludzi prowadzi koczowniczy tryb życia, a dane sprzed kilku lat wskazują, że blisko 70 proc. obywateli powyżej 15. roku życia nie potrafi czytać ani pisać. Szkoły publiczne są przepełnione i dysponują warunkami niesprzyjającymi skutecznemu nauczaniu. Pochodzący z Grodziska ojciec Maciej Braun założył szkołę w tanzańskiej miejscowości Buhenbie. Zdaniem polskiego duchownego edukacja lokalnej ludności to najlepsza pomoc. Szkoła prowadzona przez ojca poza wykształceniem zapewnia swoim słuchaczom ubrania, przybory szkolne oraz wyżywienie. Blisko 300 uczniów pobiera lekcje w stosunkowo kameralnych warunkach, bo w 30-osobowych klasach. Szkoła potrzebuje internatu, w którym mogłoby zamieszkać 50 uczniów.

Opisane inicjatywy to zaledwie dwa spośród naprawdę wielu przykładów naszego polskiego zaangażowania w pomoc społecznościom w Afryce – w miejscach, gdzie tego wsparcia najbardziej potrzebują, czyli w ich ojczyznach. Zdaniem brata Benedykta Pączka organizowanie edukacji to najistotniejsze zadanie dla wszystkich tych, którzy chcą pomagać Afrykańczykom – ważniejsze niż doraźne gesty. Kształcenie zmienia myślenie kolejnych pokoleń i może odmienić ich los.

REKLAMA

82/0921/F

eprasa.pl 31955fcd36

Żołnierz co sto metrów

MAREK PYZA

To ma być najnowocześniejsza budowla tego typu w Europie. Metalowa ściana o wysokości 5 m, zwieńczona concertiną, czyli zasiekami z drutu kolczastego. Takiego, jaki dziś leży na wielu kilometrach granicy. Do tego perymetria, czyli mnóstwo elektroniki: kamer, czujników ruchu, które automatycznie zawiadomią straż graniczną, gdy ktoś spróbuje forsować zaporę. Jak się dowiadujemy, pierwsze elementy mają być stawiane jeszcze w czasie obowiązywania stanu wyjątkowego, czyli w listopadzie. Jednocześnie ma pracować kilka ekip, aby przyspieszyć prace i szybko zabezpieczyć jak najwięcej miejsc zagrożonych nielegalną migracją.

Koszt? Ponad 1,6 mld zł, z czego 500 mln zł decyzją premiera już jest zabezpieczone w budżecie. Polska ma wystąpić do Unii Europejskiej, by ta dołożyła się do sfinansowania urządzeń elektronicznych, które będą stanowić kluczowe elementy zapory. Nasi rozmówcy z rządu wskazują, że UE przed kilkoma laty sfinansowała system inteligentnego nadzoru elektronicznego, który zainstalowano na Białorusi kilkaset metrów od naszej granicy, na południowym jej odcinku. Teraz powinna więc jeszcze chętniej wesprzeć zabezpieczenie wschodniej granicy wspólnoty. Zwłaszcza że według analiz polskich służb imigracyjna nawała ma nie być zjawiskiem sezonowym, lecz stałym.

Łukaszenka i Putin wiedzą już, że ich plan prowadzenia wojny hybrydowej z Polską i Unią Europejską się nie sprawdził. Zmieniają więc taktykę i zaostrzają działania. Granicę atakują coraz większe grupy migrantów. Odpowiedzią polskiego rządu jest budowa potężnej bariery i znaczące wzmocnienie wojskowe newralgicznych terenów na wschodzie kraju

NARADY, ODPRAWY I „LATAJĄCE OCZY"

Nawet najlepsze mury nie wystarczą jednak do ochrony granic. Dlatego w tej chwili na granicy pełni służbę 2,5 tys. funkcjonariuszy Straży Granicznej, 600 policjantów i 3,2 tys. żołnierzy. W najbliższym czasie liczebność wojska ma się podwoić. – Na każdej zmianie na każdym kilometrze mamy 10 ludzi, czyli średnio co 100 metrów stoi żołnierz lub strażnik. A mówimy tylko o pierwszej linii obrony, która z reguły wyłapuje pojedyncze osoby przedzierające się przez granicę. Na drugiej linii, nieco dalej od pasa granicznego, mamy większe grupy mundurowych – słyszymy od jednej z osób odpowiadających za bezpieczeństwo granic.

Jak przekonuje, strażnicy graniczni są gotowi na zwiększoną presję ze strony Łukaszenki, a ich zaangażowanie jest doceniane przez przełożonych: – Funkcjonariusze wręcz masowo dostają nagrody, różne dodatki za pracę w szczególnie trudnych warunkach. Tylko w ten sposób możemy im zrekompensować ciężką służbę i permanentną presję ze strony białoruskiej.

Nasi rozmówcy podkreślają, że mimo licznych prowokacji – strzałów ślepą amunicją, wrzucania jakichś przedmiotów na polską stronę, pozostawiania podejrzanych pakunków przez Białorusinów czy wyzwisk – mundurowi strzegący granicy zachowują zimną krew i tak pozostanie.

Wojna wywołana przez Białoruś – bo tak trzeba nazywać sytuację na granicy – to najważniejsza sprawa, z jaką dziś mierzy się rząd. Zwłaszcza w resortach odpowiedzialnych za bezpieczeństwo od tego zaczyna się każdy dzień.

– Codziennie mamy poranną odprawę koordynowaną przez dowódcę operacyjnego Sił Zbrojnych RP, który jest w stałym kontakcie z dowódcami dwóch zgrupowań zadaniowych operujących na granicy. Nasze działania podzielone są na dwa odcinki – na Podlasiu to zgrupowanie „Czarny" realizowane przez 16 dywizję pod dowództwem gen. Krzysztofa Radomskiego, a odcinek lubelski, „Biały", na którym współpracujemy z Nadbu-

eprasa.pl 31955fcd36

żańskim Oddziałem Straży Granicznej, jest koordynowany przez dowódcę 18 dywizji gen. Jarosława Gromadzińskiego – opowiada nam wiceminister obrony narodowej Wojciech Skurkiewicz.

Do tego co najmniej dwa razy w tygodniu odprawy prowadzone przez szefa MON Mariusza Błaszczaka i stała współpraca z kierownictwem MSWiA, wymiana informacji, konsultacje decyzji również na poziomie politycznym. W tym ostatnim resorcie każdy ranek to spotkanie bądź telekonferencja Mariusza Kamińskiego z komendantem głównym Straży Granicznej i podsumowanie ostatnich godzin – raport o próbach nielegalnego przekroczenia granicy, zatrzymaniach, aktach agresji, pozyskanych informacjach o sytuacji po białoruskiej stronie.

– Śledzimy arabskojęzyczne fora internetowe, znamy mapki, którymi posługują się migranci, dokładne szlaki ich marszu, miejsca, w których czekają na nich kurierzy. Jesteśmy krok przed przemytnikami ludzi. Stąd tak liczne zatrzymania osób, które pomagają w transportowaniu imigrantów przez Polskę – słyszymy od osoby z Komendy Głównej SG, pokazującej nam mapę Google z aktywną trasą, wyznaczoną tzw. pinezkami, czyli punktami, na które orientują się „turyści Łukaszenki".

> Pierwsze elementy metalowego muru na granicy z Białorusią mają być stawiane w listopadzie. Polska ma wystąpić do Unii, by ta dołożyła się do sfinansowania urządzeń elektronicznych, które będą stanowić kluczowe elementy tej zapory

Wszystkie osoby, z którymi rozmawiamy, podkreślają, że należy się szykować na eskalację agresji ze Wschodu. Nowy scenariusz mogliśmy już zobaczyć w praktyce. To ujawnione przez SG nagrania, ale też pojawiające się w mediach społecznościowych filmy przygotowane przez służby białoruskie, na których kilkudziesięcioosobowe grupy szturmują zasieki obronne bądź bezceremonialnie próbują się przedzierać przez mniej liczne patrole naszych funkcjonariuszy. Stąd coraz większe zaangażowanie Wojska Polskiego.

– Nie tylko jeśli chodzi o żołnierzy, lecz i sprzęt – podkreśla Skurkiewicz. I precyzuje: – Granicę codziennie patrolują cztery śmigłowce z termowizją i kilka–kilkanaście bezzałogowców będących m.in. na wyposażeniu Wojsk Obrony Terytorialnej. Te ostatnie, tzw. FlyEye [„latające oko" – przyp. red.], wykonują każdego dnia dziesiątki, a nawet setki lotów, dzięki którym możemy precyzyjnie śledzić działania służb białoruskich. Do tego dochodzi sprzęt na wyposażeniu straży granicznej czy wojskowe samochody z zamontowanymi na stałe głośnikami. Takie cztery pojazdy poruszają się wzdłuż granicy i od kilku dni emitują komunikaty po angielsku, białorusku oraz w językach arabskich, zniechęcając imigrantów do przekraczania granicy.

Fot. Wojtek Radwański/AFP/East News

eprasa.pl 31955fcd36

Wszystkie działania chroniące granicę mają również pełne poparcie głowy państwa. Prezydent Andrzej Duda zapowiedział też natychmiastowe złożenie podpisu pod specustawą o budowie bariery, gdy tylko jej ostateczną wersję przyjmie parlament.

TUSK JAK ŁUKASZENKA

– Pamiętajmy, że ta inwestycja będzie prowadzona w ekstremalnych warunkach – w towarzystwie białoruskich służb pod bronią i gigantyczną presją – imigrantów oraz części polskiej klasy politycznej, a także mediów – przewiduje jeden z naszych rozmówców z rządu. Jak dodaje, również z powodu postawy dużej części opozycji specustawa procedowana jest w trybie pilnym: – Już widać, że to była dobra decyzja, bo zachowanie Donalda Tuska i jego partii pokazuje, że skłonni byliby znów stosować obstrukcję w Senacie, byle tylko opóźnić budowę bariery.

Platforma Obywatelska i Lewica chciały natychmiastowego odrzucenia ustawy. Ostatecznie zagłosowały przeciw jej przyjęciu (podobnie jak koło Polska 2050 Szymona Hołowni). To szokująca postawa, gdy każdego dnia widzimy, jak Białoruś nakręca spiralę nielegalnej migracji. Polskie władze mają wsparcie Komisji Europejskiej, Frontexu (unijnej agencji powołanej do strzeżenia granic wspólnoty) i licznych ekspertów ds. wschodnich. Po przeciwnej stronie stoi część polskiej opozycji oraz samozwańczy prezydenci Białorusi i Rosji.

– Łukaszenka i Putin znaleźli sobie narzędzie nacisku na nasz kraj i całą Unię. Politycznie to dla nas oczywiście korzystne, bo się nie ugniemy i tym zapunktujemy w oczach opinii publicznej, choć nie to jest naszym celem. Bezpieczeństwa Polski będziemy bronić zawsze i nie damy się szantażować. Żadne krzyki naszych przeciwników nas nie złamią. Ale z perspektywy interesów państwa postawa części opozycji jest zatrważająca – konstatuje nasz rozmówca z kierownictwa PiS.

Musi to być widoczne również na zachodzie Europy. Już nawet takie gazety jak niemiecki „Frankfurter Allgemeine Zeitung", zwykle ostro krytykujący konserwatywny polski rząd, odnotowują, że „Łukaszenka wykorzystuje migrantów jako środek nacisku na UE, dlatego należałoby użyć wszystkich politycznych i gospodarczych możliwości, aby ukrócić jego podłą grę". Odnosząc się do planowanej budowy polskiej bariery, „FAZ" dodaje, że „liczby, którymi dysponuje niemiecka policja federalna, pokazują, czyją właściwie pracę wykonuje tam Polska".

MUR NA GRANICY Z LITWĄ?

Czy działania podjęte przez rząd Morawieckiego wystarczą? Czy za kilka miesięcy będziemy mogli mówić o wygranej wojnie hybrydowej z Łukaszenką i Putinem? Niekoniecznie.

> W obozie władzy na poważnie rozważany jest scenariusz „zamurowania" całej granicy wschodniej, włącznie z odcinkiem ukraińskim, a nawet litewskim

– Obawiamy się przesunięcia tych tysięcy migrantów i wciskania ich do Polski przez Ukrainę, a ze względu na panującą tam korupcję, możliwości skorzystania z tej drogi są właściwie nieograniczone. Kolejny scenariusz to jeszcze dalsze skierowanie imigrantów na południe i puszczanie ich Karpatami przez Słowację i dalej przez Czechy bądź Austrię do Niemiec. Wtedy oczywiście ominęliby nasz kraj, ale z perspektywy Unii Europejskiej problem byłby taki sam, a może nawet większy, bo nie wiemy, czy nasi południowi sąsiedzi zachowaliby się równie stanowczo jak my – mówi proszący o anonimowość minister.

Dlatego w obozie władzy na poważnie rozważany jest scenariusz „zamurowania" całej granicy wschodniej, włącznie z odcinkiem ukraińskim, a nawet litewskim. Nikt nie powie tego pod nazwiskiem, ale od kilku ważnych polityków usłyszeliśmy, że Litwini niestety przymykają oko na swoich „podopiecznych", których umieszczają w ośrodkach półotwartych, a ci znikają. Wilno codziennie raportuje liczbę osób znajdujących się w obozach dla cudzoziemców i codziennie ta liczba się zmniejsza. – Tu ma pan odpowiedź na pytanie, dlaczego mimo naszego ogromnego zaangażowania na granicy z Białorusią Niemcy co chwilę wyłapują kogoś, kto próbuje się do nich wedrzeć z Polski. Zresztą nasze służby operują też na Suwalszczyźnie i tam zatrzymujemy migrantów trafiających do nas z Litwy – słyszymy od jednej z osób odpowiedzialnych za szczelność granic.

W naszych rozmowach permanentnie powraca kwestia solidarnej unijnej izolacji Białorusi i twardej postawy wobec wschodnich reżimów. Nikt nie chce powtórki scenariusza z 2016 r., gdy Recep Tayyip Erdoğan skutecznie szantażował Unię imigrantami, otrzymując ostatecznie za zamknięcie szlaku migracyjnego przez Turcję 6 mld euro oraz ruch bezwizowy dla swoich obywateli.

Była to druga porażka Brukseli w obliczu kryzysu migracyjnego. Dużo mniej kosztowna niż nieco wcześniejsza, gdy na zaproszenie kanclerz Angeli Merkel w poszukiwaniu wygodniejszego życia do Europy przybyły miliony ludzi z obcych nam kulturowo regionów. Ówczesny polski rząd pod przywództwem Ewy Kopacz chciał uczestniczyć w tym samobójczym festiwalu, ale na szczęście nad Wisłą doszło do zmiany władzy, a i liderzy unijni zrozumieli wreszcie, jaką katastrofę sprowadzili na Stary Kontynent.

Coraz ciszej mówi się o cywilizacyjnym aspekcie tej wędrówki ludów i jej konsekwencjach dla świata Zachodu. Narody „starej" Unii już bezpowrotnie się zmieniły i muszą się pogodzić z utratą (przynajmniej częściową) swojej tożsamości. Państwa naszego regionu – na czele z Polską i Węgrami – wciąż stawiają opór islamskiemu zalewowi.

To nie jest rok 732 i nie potrzebujemy dziś Karola Młota, ani rok 1683, gdy napór muzułmanów zatrzymał pod Wiedniem Jan III Sobieski. Ale w dłuższej niż kilkuletnia perspektywie efekt migracji milionów muzułmanów do Europy może mieć takie konsekwencje, o jakich marzyły armie prowadzone w VIII w. przez Abd ar-Rahmana i 951 lat później przez Kara Mustafę.

Reklama | 55/0721/F

eprasa.pl 31955fcd36

eDO App

Wygodne potwierdzanie tożsamości e-dowodem

Dzięki bezpłatnej aplikacji eDO App możesz swobodnie:

Załatwiać sprawy urzędowe bez wychodzenia z domu

Dzięki aplikacji możesz korzystać z ponad 400 portali takich jak: ePUAP, IKP, PUE ZUS

Podpisywać dokumenty elektronicznie

Twój podpis znajdujący się w e-dowodzie urząd traktuje na równi z podpisem odręcznym.

Na swoim e-dowodzie możesz zapisać także podpis kwalifikowany. Wystarczy, że zamówisz certyfikat np. od CUZ Sigillum

Korzystać z usług rosnącej bazy usługodawców komercyjnych

- podpiszesz umowę na media
- otworzysz konto bankowe
- wyrobisz kartę kierowcy
- otworzysz rejestr funduszy inwestycyjnych (m.in. IKE, IKZE)

Nie masz jeszcze e-dowodu?

Możesz wyrobić go bezpłatnie w dowolnym urzędzie gminy.

Złóż wniosek już dziś!

POBIERZ eDO App
I ZACZNIJ KORZYSTAĆ JUŻ DZIŚ

POBIERZ Z Google Play | Pobierz w App Store | ODKRYWAJ W AppGallery

Więcej na **www.edoapp.pl**

eprasa.pl 31955fcd36

Zimna wojna

Napięcie, które czuje się przy wjeździe na tereny bezpośrednio przylegające do tych, gdzie wprowadzono stan wyjątkowy, można porównać do tego, jaki panuje na obszarach frontowych. Nikt do końca nie wie, czy huk, który słychać zza zakrętu, pochodzi z olbrzymiego kombajnu czy z jednej z wielu potężnych wojskowych ciężarówek kursujących między placówkami Straży Granicznej

WOJCIECH BIEDROŃ

Ci z miejscowych, którzy pamiętają jeszcze wojnę, szepczą ze strachem, że „dziś jest podobnie". Strażnicy graniczni, policjanci i żołnierze Wojsk Obrony Terytorialnej radzą sobie ze stresem lepiej niż ludność, ale również są poddani wielkiej presji. Ciągłe prowokacje białoruskich bezpieczniaków, kilkunastogodzinna służba, zmęczenie, stres i medialne ataki, sprawiają, że mundurowi na polsko-białoruskiej granicy znaleźli się w pułapce.

CIĘŻKA SŁUŻBA

Wjazd do Michałowa zdobi niewielki obelisk z orłem bez korony, który stoi tuż przy drodze. Pozostałość czasów PRL zarasta trawa. Jest już po godz. 8, ale ruch na okolicznych polach jest niewielki. Kukurydzę zebrano niedawno, więc rolnicy przygotowują się do zimy. Ten sielski podlaski obrazek znika, gdy docieramy do miejscowej placówki Straży Granicznej. Tu wszyscy się spieszą, a ruch panuje tak duży, jak byśmy odwiedzali wielki zakład logistyczny. Tuż przy budynku leżą wielkie zwoje drutu kolczastego, elementy stalowej konstrukcji. Strażnicy uwijają się przy tym jak pszczoły. Pakują żelastwo do ciężarówek, które jedna za drugą ruszają w stronę granicy. Trwa budowa zasieków, które utrudniają przepływ nielegalnych imigrantów na polską stronę. Co kilkanaście minut podjeżdżają busy pełne strażników

eprasa.pl 31955fcd36

Starszy chorąży Marcin Suprun z placówki Straży Granicznej w Michałowie

Fot. Mateusz Makśiak x4

granicznych. Ci, którzy czekają na swój patrol, są skupieni i podekscytowani, ale ci powracający wyraźnie zmęczeni i bardzo znużeni kilkunastogodzinną służbą. Tylko karabinki szturmowe lśnią, jakby im służba nie przeszkadzała. Na szczęście po polskiej stronie nikt ich nie używa. Jak długo jeszcze? Trudne pytanie, szczególnie w kontekście strzałów po stronie białoruskiej i innych prowokacji służb Łukaszenki.

NĘKANI I PROWOKOWANI

– Jest bardzo ciężko. Pogarszają się warunki atmosferyczne. Chłód, a mamy naprawdę co robić. Pracujemy często po 12–14 godzin w terenie. Zajmujemy się emigrantami nie tylko przy granicy, lecz także tutaj, w placówkach SG. Karmimy ich, robimy zakupy, umawiamy wizyty u lekarza, a potem w aptekach. Przygotowujemy też posiłki. Codziennie ciężka praca – mówi st. chor. Marcin Suprun z placówki Straży Granicznej w Michałowie.

Suprun właśnie skończył wydawanie śniadania imigrantom, którzy zostali umieszczeni w placówce. Dziś ma szczęście, nie musi jechać w teren, ale do końca nie wiadomo, jak ułoży się dzień. Nad ranem złapał przymrozek i nocna służba musiała być wyjątkowo uciążliwa.

– Praca w terenie jest wyczerpująca, jesteśmy jednak przygotowani. Obszar, który patrolujemy, jest bardzo zalesiony i bagnisty. Najgorsze jest to, że nigdy nie wiemy, co nas spotka. Każdy dzień i każdy patrol jest inny. Nie wiemy, kiedy spotkamy imigrantów, ilu ich będzie i w jakim będą stanie. Ciężko to wyczuć, gdyż każda sytuacja jest inna. Ze strony białoruskiej widać wrogość. Koledzy mówią o tych zagrożeniach. Oddawane są strzały, rzucane są petardy pod nogi. Jesteśmy nękani i prowokowani. Okazuje się też, że po białoruskiej stronie znajdują się nie tylko pogranicznicy, ale także jednostki wojskowe. Dochodzą do nas informacje, że niektórzy imigranci są przebrani w białoruskie mundury. Takie osoby także zbliżają się do zasieków – relacjonuje Marcin Suprun.

NIEUZASADNIONA KRYTYKA

Funkcjonariusz z goryczą mówi o tym, jak on i jego koledzy oraz koleżanki są traktowani przez media i polityków opozycji. Nie rozumie tego. – Bardzo nas boli ta nieuzasadniona krytyka i hejt, które są kierowane w naszą stronę. Ci ludzie nie mają pojęcia o naszej pracy. Gdyby zobaczyli, jak wygląda jeden dzień z życia funkcjonariusza Straży Granicznej, to zmieniliby zdanie. Przecież gdyby los tych nielegalnych imigrantów był nam obojętny, tobyśmy ich nie karmili, nie wysyłali do lekarza ani nie opiekowali się nimi. Rozdajemy im koce na granicy, zapewniamy ciepłą odzież, wodę i żywność. Jak tylko możemy, to pomagamy. To przecież są ludzie – przekonuje.

WIDZIMY ICH CODZIENNIE

Spod placówki granicznej przechodzimy do centrum Michałowa. Przy pięknym kościele parafialnym spotykamy starszą panią. Podobnie jak inni mieszkańcy tej miejscowości oraz wielu innych przy pasie, za którym obowiązuje stan wyjątkowy, nie jest skłonna z nami rozmawiać. Tu media źle się kojarzą. Nie ma się co dziwić. Wielkie, wspierające opozycję redakcje od miesięcy przedstawiają lokalną ludność jako barbarzyńców, którzy „nie przejmują się losem dzieci z Michałowa". To krzywdzący obraz, nieprawdziwy.

– Wczoraj około 15 szedł ciemnoskóry mężczyzna, miał tylko plastikowe klapki na nogach. Szedł z plecakiem i z papierosem w ustach. Szybko został zatrzymany, ale takich sytuacji jest bardzo dużo. Bardzo się boimy – mówi nam Mirosława Kondratowicz, mieszkanka Michałowa. – Straż graniczna wywiązuje się ze swoich obowiązków wzorowo. Dobrze, że nas chronią i wspierają. Łukaszenka celowo przerzuca tych ludzi. Ci imigranci się męczą, nasza pani doktor jeździ do ich dzieci na wizyty. W sobotę byli dokarmiani przez strażaków. Rozumiem ich niedolę, ale to oczywiste, że są wykorzystywani – zauważa mieszkanka Michałowa.

eprasa.pl 31955fcd36

Kpt. Łukasz Wilczewski, z 1 Podlaskiej Brygady Obrony Terytorialnej

Fot. Mateusz Maksiak x3

Straż graniczna wywiązuje się ze swoich obowiązków wzorowo. Dobrze, że nas chronią i wspierają. Łukaszenka celowo przerzuca tych ludzi – mówi Mirosława Kondratowicz, mieszkanka Michałowa

Pani Mirosława, podobnie jak jej sąsiedzi, sama czuje się zagrożona. Nie ma dnia, by w kolejnej miejscowości nie pojawiały się grupy imigrantów, którym udało się przekroczyć granicę. Zagubieni, często koczują na leśnych polanach, łąkach czy polach uprawnych. Czasem, któryś z nich wyrusza do sklepu po żywność. Wtedy szybko jest zatrzymywany i wraz z resztą trafia do jednej z placówek granicznych.

– Kilku spotkałam w moim własnym ogrodzie. Bardzo się zdenerwowałam. Słyszałam opowieści o kradzieżach. Rozumiem, że ci ludzie cierpią, ale przecież my nie możemy ich przenieść do Niemiec. Wszyscy oni mówią, że chcą jechać na Zachód. „Byle nie do Polski" – powtarza słowa imigrantów mieszkanka pobliskiego Gródka.

NIEBEZPIECZNE BAGNA

Kilka kilometrów od Michałowa rozpościerają się lasy i bagna. Teren jest ogromny, pełen naturalnych przeszkód. Trzeba by całej armii strażników, by w 100 proc. zabezpieczyć taki obszar, by go uszczelnić. – Mieszkam tu całe życie, ale nawet ja nie byłbym w stanie odnaleźć nawet sporych grup imigrantów – mówi nam pan Stanisław, miejscowy rolnik. – Niedawno przeszło tędy kilku mężczyzn, nie wiem, skąd pochodzili, ale wyglądali na Arabów. Ci, którym uda się przejść przez granicę, często się błąkają po tej okolicy. Wkrótce zrobi się naprawdę zimno, spadnie śnieg. Ten, kto ich tu przysłał, sprowadził na nich wielkie niebezpieczeństwo. Nie wszystkich będą w stanie uratować strażnicy i żołnierze – kręci głową pan Stanisław.

JAK POMAGAJĄ

O bezcennej pomocy udzielanej przez strażników granicznych i żołnierzy Wojsk Obrony Terytorialnej słyszymy nie pierwszy raz podczas tego wyjazdu. Pryska mit o nieczułych mundurowych, którzy pozostawiają zziębniętych i chorych uchodźców na mrozie. – Często okrywamy ich kocami termicznymi, dzielimy się z nimi wodą. Tak działają wszystkie służby. Napotkaliśmy grupę imigrantów, którym natychmiast udzieliliśmy pomocy. To były osoby, które przez kilka dni przebywały w lesie. Pili wodę z przydrożnych kanałów – mówi kpt. Łukasz Wilczewski z 1 Podlaskiej Brygady Obrony Terytorialnej.

Oficer opowiada nam, że żołnierze jego brygady doskonale znają nie tylko teren, na którym operują, lecz także ludzi tu mieszkających. – Stan wyjątkowy i operacja „Silne Wsparcie" trwa już ponad 30 dni, ale zanim wprowadzono stan wyjątkowy, to my już działaliśmy na Podlasiu. Funkcjonujemy tu już od ponad pięciu lat i jesteśmy częścią tej społeczności. W działania są zaangażowani żołnierze, którzy pochodzą z tych przygranicznych terenów – mówi kpt. Łukasz Wilczewski.

BLOKADA I STREFA

Z okolic Michałowa przenosimy się do oddalonych o kilkadziesiąt kilometrów Kruglan. To zaledwie 13 km od Sokółki, która normalnie tętni życiem, tak jakby na granicy z Białorusią nic się nie działo. W wiosce spotykamy grupę strażników granicznych z Kuźnicy, która znajduje się na terenie objętym stanem wyjątkowym. Strażnicy są zmęczeni, ale pokazują nam przecinki leśne, którymi mogą przedzierać się ci „szczęśliwcy", którym udało się przejść granicę.

Jak kontrolować te leśne ostępy? Pomaga najnowocześniejszy sprzęt. Szczególnie drony. – To nasze oko, które może wystartować w każdych warunkach terenowych. Dzięki jego kamerze możemy określić każdą grupę, która się zbliża do granicy. Kamera dokładnie pokazuje, jakie przedmioty mają przy sobie, czy niosą plecaki. Mamy też kamerę termowizyjną, która w nocy jest w stanie wskazać grupy imigrantów – opowiada starszy sierżant Jakub Żywolewski z placówki granicznej w Kuźnicy.

Strażnicy ruszają do swoich obowiązków, a my dojeżdżamy do Czuprynowa. Tu zaczyna się obszar objęty stanem wyjątkowym. Nie możemy wjechać do tej wsi. Wjazdu strzeże posterunek z policjantem i żandarmem wojskowym. Ten pierwszy rutynowo nas legitymuje. Obaj sprawdzają tożsamość wszystkich przejeżdżających tędy kierowców. W oddali widzimy ultranowoczesny śmigłowiec Black Hawk. Widać, że szykuje się do lądowania w strefie objętej stanem wyjątkowym. Dalej majaczy konwój kilku wojskowych samochodów. Jadą w stronę granicy.

– To nie jest stan wyjątkowy, to zimna wojna – mówi nam starszy mężczyzna, który idzie w stronę zamkniętej strefy.

Autopromocja

eprasa.pl 31955fcd36

GORĄCE PYTANIA

W POLSCE / PL

HOŁDYŃSKA • JAKUBOWSKA • ŁOSIEWICZ • RYBIŃSKA • BIEDROŃ • MACIEJEWSKI • MAJEWSKI • PYZA • WIKŁO • WOLNY

OGLĄDAJ NAS:

polsat box
wcześniej Cyfrowy Polsat
NA POZYCJI **196**

upc
NA POZYCJACH **339** dekoder Mediabox **121** dekodery KAON i Horizon

orange
NA POZYCJI **32**

NETIA
NA POZYCJI **192**

VECTRA
NA POZYCJI **825**

Szantażom nie ulegniemy, walczymy twardo

Siły, które mają jakieś zakusy wobec Polski, muszą wiedzieć, że z nami łatwo nie będzie, że traktujemy naszą granicę, naszą państwowość i naszą wolność bardzo, bardzo poważnie. I że przewidujemy różne możliwości, zabezpieczając się na wszelkie dostępne nam sposoby

Jacek i Michał Karnowscy rozmawiają z wicepremierem i prezesem Prawa i Sprawiedliwości Jarosławem Kaczyńskim

Panie premierze, mieliśmy ostatnio do czynienia z kilkoma próbami szantażowania Polski, jej rządu, ze strony Unii Europejskiej, ze strony wschodniej. Czy Polska ulegnie naciskom?

Jarosław Kaczyński: Żadnym szantażom nie ulegniemy. Walczymy twardo, w sprawach podstawowych dla państwa i Polaków nie ustąpimy. Choć oczywiście wiemy, że polityka polega m.in. na umiejętności wychodzenia z sytuacji niełatwych, a droga do tego nie zawsze bywa prosta. Ci, którzy próbują nam zarzucać w tym kontekście jakieś lawirowanie, całkowicie się mylą. Nasze cele są niezmienne, różne dobieramy jednak metody. Bronimy polskiej suwerenności, bronimy też polskich praw w Unii Europejskiej, bo one są teraz bezczelnie, bezprawnie i w niezgodzie z traktatami podważane. Będziemy też bronić polskiej granicy, temu służy budowa bariery zabezpieczającej. Ustawę w tej sprawie dużą większością głosów przyjął Sejm, teraz zajmie się nią Senat, potem trafi do prezydenta.

To zatrzyma tę hybrydową agresję ze Wschodu?

Sama bariera oczywiście nikogo nie powstrzyma, musi być wspierana przez dobrze działającą Straż Graniczną. Będzie to na pewno bardzo poważne utrudnienie dla prób nielegalnego przekraczania granicy.

Tylko na granicy z Białorusią?

Na razie tak.

To warstwa techniczna obrony granicy, ale pojawia się też szantaż moralny: musicie wpuścić każdego, kto pojawia się na granicy, a jest z kraju biedniejszego. A już zwłaszcza wy, chrześcijanie. Jak pan na to odpowiada?

To jest przekaz stworzony już dawno temu i sprowadzający się do tezy, że naród czy jakakolwiek inna wspólnota, która chce spokojnie żyć, a której spokój i normalność są burzone, nie ma prawa do samoobrony. Nawet tej najbardziej defensywnej. Nie ma prawa postawić płotu, muru, który oddzielałby ją od jakiejś agresywnej, łamiącej wszelkie reguły współżycia społecznego, grupy. To usłyszeli kiedyś mieszkańcy pewnego osiedla w Czechach, którzy mieli taki problem, to samo dziś mówi się Polakom. W istocie mówi się w ten sposób, że nie mamy prawa się bronić. Tak twierdzi wąska grupa, która chce być moralnie czysta i której zwykle konsekwencje takich zaleceń w żaden sposób nie dotykają.

Napawa jednak optymizmem, że jak na razie Polacy takim szantażom też nie ulegają, że rozumieją, iż poddanie granicy, zgoda na przebicie przez nią korytarza handlu ludźmi oznaczałyby katastrofę.

Nikt przy zdrowych zmysłach nie może nie dostrzec, że to jest w istocie rodzaj agresji, wojny hybrydowej, że mamy prawo się bronić. A jak nie będziemy się bronić, to jedynym skutkiem będzie zaostrzenie kryzysu, zwiezienie na naszą granicę kolejnych tysięcy. Poza tym przecież my bronimy także granicy Unii Europejskiej, choć nawet gdyby tak nie było, też byśmy nie ulegli.

Słychać czasami: a może te napierające grupy przepuścić? Niech Niemcy mają problem.

To nie jest dobry pomysł. Niemcy nas atakują, nie traktują fair, ale my trzymamy się tutaj starej polskiej zasady, by nie czynić drugiemu, co tobie niemiłe. Także politycznie taki cynizm nie przyniósłby w finale żadnego pozytywnego efektu.

Jako wicepremier do spraw bezpieczeństwa obserwuje pan obronę granicy od środka. Czy państwo polskie zdało egzamin?

Nie jest oczywiście idealnie, ale jest lepiej, niż można się było spodziewać, sądząc na podstawie ogólnej sprawności naszego państwa, która jest wciąż niewystarczająca.

Dlaczego Łukaszenka nas zaatakował? Mści się za pomoc prześladowanym Białorusinom?

Sądzę, że w ten sposób chce wymusić na nas, ale przecież w istocie na całej

Zdjęcia Adam Guz

eprasa.pl 31955fcd36

Unii, uległość, uznanie jego władzy, porzucenie wspierania przez nas Białorusinów walczących o wolność. I on, i także stojący za nim Putin panicznie boją się tego, co nazywają kolorowymi rewolucjami. Nie jest także wykluczone, że ten atak jest elementem szerszej ofensywy wobec Zachodu w stylu tego, co zrobiono Ukrainie.

Czyli trwałego zdestabilizowania strefy przygranicznej?

Atakując Ukrainę, nawet nie ukrywali, że to jest celem. Gdy padały propozycje rozmów, rozwiązania konfliktu, mówiono cicho, ale jasno, że to potrwa kilkanaście lat. Celem było najpierw osłabienie państwa zaatakowanego, a w ostatecznym rachunku podporządkowanie, pewnie i ograbienie z części terytoriów.

Jak by pan premier podsumował dotychczasowy etap polskiej obrony: wygrywamy, przegrywamy?

W tej chwili bronimy się skutecznie. Trzeba sobie zdawać sprawę, że potrzebujemy umocnienia tej obrony i świadomości, że to może być coś długotrwałego i także rozszerzającego się w inne formy i być może w inne regiony.

To jest walka o suwerenność? Jak przepchną ściągniętych migrantów, to będą mogli przepchnąć i zielone ludzki, i czołgi?

W pierwszym wymiarze, bezpośrednio, to bój o spokój w kraju, w drugim o niepodległość. Siły, które mają jakieś zakusy wobec Polski, muszą wiedzieć, że z nami łatwo nie będzie, że traktujemy naszą granicę, naszą państwowość i naszą wolność bardzo, bardzo poważnie. I że przewidujemy różne możliwości, zabezpieczając się na wszelkie dostępne nam sposoby. Dlatego już wkrótce przedstawimy plan bardzo poważnego wzmocnienia polskich sił zbrojnych.

Jak pan ocenia postawę opozycji wobec kryzysu granicznego?

Nie można na szczęście mówić o całej opozycji, bo np. PSL poparło jednak budowę zapory, co świadczy o jakiejś refleksji. A pozostali, no cóż – sami siebie nazwali totalną opozycją i tak się zachowują. Nie uznają normalnych reguł gry demokratycznej, nie podzielają opinii, że o tym, kto rządzi, decydują wyborcy. Właściwie stawiają się ponad demokracją i jeśli nie oni rządzą, to bez wahania idą na pozbawioną wszelkich hamulców wojnę z państwem. W Polsce, państwie dość miękkim nawet jak na warunki europejskie, to jest niestety możliwe. W wielu krajach Zachodu dość szybko musieliby za to słono zapłacić.

Oni wpuściliby migrantów do Polski?

W 2016 r. mówili wprost, że by wpuścili, i to każdą liczbę. A dzisiaj pewnie broniliby granicy dużo słabiej, szybko by ulegli.

Ulegaliby szantażom moralnym?

To oni w dużej mierze te szantaże konstruują. To jest problem dużej części elit zachodnich, które poza swoim ego niczego innego nie widzą. Bo to chodzi o ich pychę, ego, a nie o żadne wartości. To jest postawa zakładająca, że oni mają być superczyści moralnie, w kategoriach, które sami definiują, a inni niech płacą za to cenę, nawet jeśli oznacza to właściwie niemożność normalnego spokojnego życia. Tylko to ich nic nie obchodzi. To jest establishment, który żyje własnym życiem, własnymi sprawami i o nic innego nie dba. Chcą jednak, przeglądając się w symbolicznym lustrze, wyglądać pięknie, czysto, moralnie. Nie swoim jednak kosztem, a zwykłych ludzi, którym demolują społeczny spokój, państwo, bezpieczeństwo, także to codzienne. Nie ma żadnych powodów, by Polacy tę cenę płacili i dopóki my rządzimy, nie będą.

Bardzo dużo tych napięć wokół Polski. Kryzys graniczny, brutalne ataki z Berlina i Brukseli, absurdalne żądania, byśmy zamknęli kopalnię w Turowie i w ten sposób wyłączyli 4–7 proc. naszego zasobu energetycznego. Państwo polskie przechodzi w tych miesiącach jakiś test?

Bez wątpienia jest to test, bardzo poważne wyzwanie, któremu jednak staramy się sprostać. A czy to jest zorkiestrowane? Wiele wskazuje na to, że to jest ze sobą połączone, choć pewności nie ma.

Czy nasze relacje z Brukselą będą wyglądały w ten sposób przez kolejne lata rządów Zjednoczonej Prawicy, czy możliwe jest jednak jakieś trwałe porozumienie?

Proszę pamiętać, że to jest jednak kwestia pewnego układu sił w Unii, który może się zmieniać wraz ze zmianami politycznymi w poszczególnych krajach UE. Nie mówię, że to proces szybki i pewny, ale widać, że prawdopodobny, możliwy we Włoszech, Hiszpanii, może we Francji. Rozważając te wszystkie ataki na Polskę, nie możemy też pominąć jeszcze jednego elementu – wpływów rosyjskich w Europie. Już carska Rosja świadomie wchodziła z dużymi pieniędzmi w elity zachodnie, a potem to samo robiły Sowiety, podobnie dzieje się dzisiaj. Dysponują na ten cel potężnymi pieniędzmi, głównie ze sprzedaży surowców, które mogą przekazywać w sposób niekontrolowany, niemożliwy w państwach demokratycznych. Czasami służby używają także wiedzy o korupcji wśród elit zachodnich, demoralizacji. To są w sumie potężne narzędzia nacisku. Jeden z moich rozmówców sprzed kilku dni użył porównania z „okrągłym stołem", zresztą nieprawdziwego: że Rosjanie, rozmawiając teraz z zachodnią Europą, rozmawiają tak naprawdę sami ze sobą.

Tak jak przy „okrągłym stole" oficjalni ludzie Kiszczaka mieli rozmawiać z esbecką kiszczakową agenturą?

Tak, choć to nieprawdziwy opis co do całości. Ale tak jak ta metafora coś jednak mówi o polskim roku 1989, tak samo jest w tym ziarno prawdy co do relacji rosyjsko-zachodnich.

Schodząc z dużej polityki na konkret: Polska zapłaci kary za działalność Turowa? Za działalność Izby Dyscyplinarnej Sądu Najwyższego?

To jest problem związany ze sprawą zasadniczą: Krajowym Planem Odbudowy i głównymi funduszami unij-

eprasa.pl 31955fcd36

nymi. To jest kwestia skali, która się z tym wiąże i oceny racjonalności pewnych działań, czasami także płacenia lub nie pewnych kar. Staramy się być elastyczni. Jest plan reform wymiaru sprawiedliwości, w tym likwidacja Izby Dyscyplinarnej. W obecnym kształcie nie spełnia ona założonych celów, kreuje za to niepotrzebne napięcia. Po przeprowadzeniu tej reformy przynajmniej jeden z punktów sporu zniknie. Ale oczywiście zawsze można szukać jakiegoś powodu do ataku, na przykład na Krajową Radę Sądownictwa. To jest już jednak polityka i to są polityczne ataki.

W tle zarzut o planowanie przez rząd Zjednoczonej Prawicy oraz Prawo i Sprawiedliwość rzekomego polexitu, o tyle zabawny, że to pana środowisko polityczne, jeszcze jako Porozumienie Centrum, pierwsze postawiło postulat marszu Polski w kierunku instytucji europejskich. Innym wtedy śniły się rozwiązania pośrednie, jakieś NATO-bis, jakieś nowe RWPG. Jak pan postrzega ten polexitowy szum?

Panowie wiedzą, że od 1990 r. mierzę się z absurdalnymi zarzutami, niemającymi nic wspólnego z prawdą.

Pytamy, co opozycja chce tym według pana osiągnąć?

Chce wykreować jakiś punkt, który pozwoli skupić pod ich przewodnictwem energię przeciw nam. Cały ten polexit to całkowita bzdura, równie dobrze mogliby ogłosić, że chcę przyłączyć Polskę do któregoś z sąsiadów, straszyć taką bzdurą Polaków i organizować pod tymi hasłami demonstrację.

Wiec Tuska był sukcesem?

Dziś już wiemy dokładnie, że była demonstracja dokładnie o połowę mniejsza od tej z 2016 r., kiedy tzw. KOD był u szczytu swojej siły. Nie był to zatem jakiś oszałamiający sukces, ale nie można też powiedzieć, że jakaś ogromna klęska. Dużo ważniejsze było to, kto tam był: mało ludzi młodych, za to wiele twarzy znanych z innych demonstracji. Innymi słowy – przyszła kadrówka opozycji i tyle.

A tradycja akowska tam jakaś jest?

Nie żartujmy. Jeżeli mają jakiś związek z tradycjami, to zdecydowanie innymi, wręcz przeciwnymi.

Tusk pomaga czy szkodzi Prawu i Sprawiedliwości?

Uważam, że jego powrót to był z naszego punktu widzenia całkiem dobry pomysł.

Uczytelnił tło?

Uczytelnia różnice, przypomina, jakie były jego rządy. To ma swoją wagę. Oczywiście, poprzednie kierownictwo Platformy było już tak przerażająco słabe, że dla samej PO to jest jakiś zasób. Hołownię jednak zepchnął do tła.

Mruczy opozycja, że możliwe są przedterminowe wybory, że pan je rozważa?

Taki scenariusz nie jest rozważany, jak pewnie panowie zauważyli, bardzo się staramy, by była stabilna większość, i jak pokazują ostatnie głosowania, nie jest pod tym względem najgorzej. Nie ma żadnego planu wyborów na wiosnę, żadnych planów wytworzenia którejś z sytuacji opisywanych w konstytucji jako prowadzących do wyborów.

Odetchnął pan premier po odejściu Jarosława Gowina? Gowin z wozu, koniom lżej?

No tak. To odpowiedni zwrot. Cały rząd odetchnął. Ta nieustanna obecność związana z postawą tego polityka, ciągłe próby chwiania łódką, były już dla wszystkich bardzo męczące, całkowicie niezrozumiałe. Przecież on negocjował tygodniami jakieś rozwiązania, na przykład zawarte w Polskim Ładzie, wywierał na nie wpływ, wnosił poprawki, wreszcie zadowolony podpisywał, a następnie wychodził i się odcinał, krytykował.

To o co chodziło? Co to była za akcja?

W moim przekonaniu uwierzył, że będzie w stanie przeprowadzić plan, który zamajaczył mu w roku 2020: obalić rząd z opozycją, zostać co najmniej marszałkiem Sejmu.

A jak pan sprawił, że Paweł Kukiz okazuje się jak dotąd lojalnym partnerem politycznym?

Po pierwsze, jakoś żeśmy się zakolegowali.

Śpiewacie razem panowie?

Zdarzyło się w pewnym stanie, lepiej tu postawić kropkę. Istotą tej współpracy jest jednak realizacja dużej części programu tego środowiska. Umówiliśmy się w kilku sprawach i dotrzymujemy słowa.

Te wewnętrzne targi w Zjednoczonej Prawicy i wokół budowania większości nie przekraczają granicy zachłanności? Tak twierdzi prasa.

Zachłanność polityków się pojawia, ale kiedy jej nie było? Taka jest polityka, politycy zwykle ostro targują się o swoje strefy wpływów, zawsze licytują wyżej, niż się należy. Mam nad tym kontrolę.

Czy premier Mateusz Morawiecki poprowadzi rząd do czasu wyborów w 2023 r.?

W tej chwili nie widzę żadnej możliwości zmiany rządu, bo zmiana premiera jest też zmianą rządu. Byłoby to przedsięwzięcie wielce ryzykowne.

eprasa.pl 31955fcd36

Nie widzę też powodów, to człowiek niezwykle sprawny i też odporny, co było widać choćby ostatnio w Sejmie. Opozycja wyje, zachowuje się straszliwie, a premier mówi, jakby się nic nie działo.

Jakie są dziś pana premiera relacje z ministrem Zbigniewem Ziobrą?

Politycznie to niełatwy koalicjant, ale osobiście jesteśmy w dobrych relacjach, to jest pewna różnica w stosunku do Jarosława Gowina, gdzie kłótni nie było, ale moje zaufanie coraz bardziej słabło.

Dlaczego pan właściwie zamierza odejść z rządu?

Od początku mówiłem, że przychodzę, by wykonać kilka zadań związanych z koniecznym wzmocnieniem państwa. Wszystkie te tezy, że mam nadzorować premiera, były nieprawdziwe, przecież nawet nie jestem pierwszym wicepremierem – tę funkcję pełni Piotr Gliński i to on prowadzi posiedzenia Rady Ministrów w zastępstwie Mateusza Morawieckiego. Przyszedłem do rządu, żeby wykorzystać moją pozycję polityczną, może trochę lepszą niż przeciętnego wicepremiera, żeby pewne sprawy przepchnąć. Przede wszystkim zwiększenia wydatków na uzbrojenia, uporządkowania przepisów o stanach nadzwyczajnych i zarządzaniu kryzysowym, wprowadzenia możliwości skutecznej interwencji przez wojewodów na rzecz obywateli w przypadku rażąco bezprawnych decyzji administracyjnych. To pakiet dużych zmian w prawie.

Jak pan premier ocenia stan walki z epidemią?

Potwierdza się, jakie znaczenie mają szczepienia. Widać, że wśród zaszczepionych radykalnie mniej osób ciężko to przechodzi, widać, że tam, gdzie szczepiło się więcej ludzi, kolejna fala przechodzi lżej. Dlatego zachęcam do szczepień, nie ma innej drogi do uzyskania bezpieczeństwa osobistego, powrotu całego społeczeństwa do normalnego życia.

Jednym ze skutków pakietów ratunkowych na całym świecie jest inflacja. To gorący temat polityczny także w Polsce. Czy temu można przeciwdziałać? Jakie są źródła wzrostu cen?

Mówiąc najkrócej, to jest inflacja kosztowa, związana z rosnącymi cenami energii. Wpływ poszczególnych państw na to jest ograniczony. Narodowy Bank Polski podniósł, pierwszy raz od dziesięciu lat, stopy procentowe. Za kilka miesięcy pewnie przyniesie to jakieś efekty, ale nie sądzę, że rozwiąże problem. Ten wzrost cen energii związany jest także z takimi błędami Zachodu jak budowa Nord Stream 2, co Rosja już wykorzystuje. Idzie zima, a oni zamiast magazyny zapełniać, opróżnili je, co powoduje radykalny wzrost cen gazu. Ten szok cenowy jest wielokrotnie większy niż ten paliwowy z 1973 r. Czy Zachód był tak niemądry? A może jednak to są rozmowy Rosjan z samymi sobą? Efektem będzie tylko zapewnienie Rosji gigantycznych pieniędzy. Na co je wyda, możemy się spodziewać.

> Cały ten polexit to całkowita bzdura. Równie dobrze mogliby ogłosić, że chcę przyłączyć Polskę do któregoś z sąsiadów, straszyć taką bzdurą Polaków i organizować pod tymi hasłami demonstracje

Jednak Europa nadal idzie w szaloną politykę walki z paliwami kopalnymi. Nie można tego zatrzymać?

To jest, jak panowie słusznie mówią, rodzaj szaleństwa. Musi chyba się zdarzyć jakiś szok, by niektórzy otrzeźwieli.

Chciał pan zamknąć, jak twierdzi opozycja, TVN?

Całkowita bzdura. Występuje kolizja między stanem właścicielskim tej stacji a prawem polskim oraz unijnym i to jest fakt obiektywny. Stąd propozycja części posłów, by sprawę doregulować ustawowo. Ale zapewniam, że ani TVN nie przestanie nadawać, ani nie przejmie go żadna ze spółek skarbu państwa, ani też nie przestanie to być stacja krytyczna wobec nas.

Polski Ład jest projektem politycznym, z którym nadal wiąże pan nadzieje? Czy się sprawdził?

Ten plan się sprawdzi wtedy, gdy będzie realizowany. Na poziomie komunikacyjnym musimy to wzmocnić, szukać nowych pomysłów, bo funkcjonuje wokół niego wiele mitów. Jak choćby ten o podwyżce podatków, co dotyczy jakiegoś marginalnego wycinka. Dla ponad 90 proc. podatników to będzie neutralne lub bardzo korzystne. To wielka szansa, by Polskę pozytywnie i szybko zmienić, dogonić Zachód, co dawno powinniśmy zrobić.

Polski Ład to ważna oferta także dla mieszkańców wsi i mniejszych miast. To Kodeks rolny, uregulowanie wielu spraw związanych z prowadzeniem gospodarstwa, które obecnie są dla rolników problemami. Ale także zapewnienia infrastrukturalnego skoku rozwojowego, tak by warunki życia, dostęp do usług komunalnych i społecznych, transportu radykalnie polepszyć. To drogi, chodniki, oświetlenie, gazyfikacja, kanalizacja, wodociągi, cyfryzacja, urządzenia kulturalne, sportowe, transport publiczny. To ma być bardzo zasadnicza zmiana w życiu milionów Polaków. Polski Ład to także pierwsze tak poważne zasilenie terenów popegeerowskich, rząd skieruje tam aż 1,5 mld zł.

I na koniec zapytamy o zbliżające się odejście z urzędu kanclerz Angeli Merkel. Jakimi słowami pan premier by ją pożegnał?

Do widzenia.

Reklama | 90/0921/F

eprasa.pl 31955fcd36

navigator

ZBLIŻ SIĘ **DO NAGRÓD!**

20 MILIONÓW

dodatkowych punktów Navigator
za tankowanie, zakupy i myjnię

Promocja trwa do 30.11.2021 r. lub do odwołania. Szczegóły, lista stacji biorących udział w promocji oraz regulamin dostępne na stacjach LOTOS oraz na lotosnavigator.pl.
Organizator: LOTOS Paliwa Sp. z o.o., 80-718 Gdańsk, ul. Elbląska 135.

LOTOS

eprasa.pl 31955fcd36

Nonsens polexitowej retoryki

Są dwa fundamentalne powody, dla których obecność Polski w Unii jest kanonem politycznego myślenia Jarosława Kaczyńskiego, więc przynajmniej tak długo jak to on pozostaje najwyższym autorytetem obozu prawicy, ów kanon zapewne nie ulegnie zmianie

JAN ROKITA

Wbrew temu, co piszą i gadają wszędzie wokół, wyjście Polski z Unii Europejskiej nie jest możliwe z jednego, ale zasadniczego powodu. I trzeba być doprawdy politycznym ślepcem, aby nie chcieć dostrzec tego najzupełniej oczywistego powodu. Nie ma bowiem wyjścia z Unii bez polskiej decyzji o wyjściu z Unii. A ta w dającej się jako tako prognozować kilkuletniej przyszłości nie jest możliwa, bo przeciw niej jest zarówno większość społeczeństwa, jak i wszystkie główne partie polityczne, z rządzącym PiS na czele.

PROPAGANDOWA TEZA OPOZYCJI

Polska opinia publiczna ceni bardzo przynależność do Unii, jak wyraziście dowodzą tego badania socjologiczne, ale przede wszystkim ze względów merkantylnych. Otwarte granice, liberalne ideały czy nawet wielki jednolity rynek, dzięki któremu kwitnie od lat nasza gospodarka, cenione są w oczach przeciętnego Polaka daleko, daleko słabiej. Owszem, wynika z tego, że jeśli unijne instytucje postanowiłyby trwale zastosować sankcje finansowe wobec Polski, to prounijne nastawienie opinii publicznej zapewne zaczęłoby stopniowo kruszeć. Ale po pierwsze – pełne odcięcie Polski od unijnego budżetu ciągle wydaje się legalnym nadużyciem tej miary, że na-

dal trudno je sobie na serio wyobrazić. Po drugie zaś – taka zmiana w nastawieniu polskiej opinii i tak postępowałaby stopniowo, przez dłuższy czas, dopiero w miarę, jak widać byłoby realne skutki „finansowego głodzenia Polski" (jak to obrazowo nazwała wiceszefowa Parlamentu Europejskiego). Nie przyniosłaby zatem i tak szybkich skutków politycznych, takich choćby jak hipotetyczna, dziś całkiem niemożliwa, referendalna większość antyunijna.

Na krótką metę istotne jest więc nastawienie partii, gdyż tylko one otworzyć by mogły proces wychodzenia z UE, który potem i tak dla swego finału wymagałby paru lat negocjacji nad piekielnie skomplikowanym polsko-brukselskim traktatem. Centrolewicowa opozycja jest zafiksowana na Unii z racji ideologicznych, więc (to oczywiste) nie jest zdolna do zmiany swej prounijnej doktryny nawet wówczas, gdyby hipotetycznie dalsze członkostwo wiązało się z ewidentnymi stratami państwa polskiego.

Za opuszczeniem Unii mogłaby pewnie w jakichś okolicznościach głosować Konfederacja, choć też zapewne nie w całości, ale nawet najbardziej optymistyczne dla niej sondaże nie dają jej perspektywy zyskania w przyszłych wyborach poparcia większego niż wykraczające trochę ponad 10 proc. Swój szklany sufit Konfederacja mogłaby zatem zacząć przebijać dopiero wtedy, gdyby realnie zaczęła postępować zmiana nastawienia opinii publicznej, wywołana trwałym zablokowaniem Polsce dostępu do unijnego budżetu.

To zatem, co w debacie publicznej stało się pretekstem dla głoszenia na prawo i lewo rychłego ryzyka wyjścia z Unii, to stanowisko PiS. I tu właśnie tkwi istota nonsensu polexitowej retoryki politycznej. Donald Tusk uporczywie powtarza, że „wie" (choć nigdy nie mówi, skąd wie), iż PiS planuje od dłuższego czasu opuszczenie UE. Drobniejsi zaś politycy opozycji, jak i większość zachodnioeuropejskich mediów, idą za Tuskiem jak za przysłowiową „panią matką", wychodząc z założenia, że skoro Tusk „wie", to musi też wiedzieć, „skąd wie". Albo po prostu bezrefleksyjnie powtarzając tezę, która propagandowo spycha PiS do defensywy i wywołuje naturalną konfuzję w obozie rządzącej prawicy.

PIS: UNIA, CZYLI POLSKA RACJA STANU

Są dwa fundamentalne powody, dla których obecność Polski w Unii jest kanonem politycznego myślenia Kaczyńskiego, więc przynajmniej tak długo jak to on pozostaje najwyższym autorytetem obozu prawicy, ów kanon zapewne nie ulegnie zmianie. Pierwszym jest geopolityka, która – co ogromnie ważne – stanowi intelektualną matrycę, z pomocą której prezes PiS zawsze myślał o międzynarodowej polityce. Jeśli zresztą sięgnąć do argumentacji na rzecz akcesji, jakiej używano w Polsce dwie dekady temu po to, by przekonać społeczeństwo przed ówczesnym referendum, to trudno nie pamiętać kluczowej różnicy argumentacyjnej, jaka już wówczas istniała pomiędzy rodzącymi się wtedy środowiskami PO i PiS. Z grubsza rzecz biorąc, Platforma mówiła wtedy tak: „Chrześcijańska, wolnościowa i demokratyczna kultura polityczna Europy Zachodniej jest naszą kulturą i dlatego musimy politycznie skonsumować tę historyczną prawdę". (Tak, tak! Tak wtedy mówiła Platforma, sięgnijcie, jak nie wierzycie, do tzw. Deklaracji krakowskiej). Ale środowisko Kaczyńskiego mówiło coś całkiem odmiennego. Można by to wyrazić mniej więcej tak: „Członkostwo jest ryzykowne, bo Unia idzie w nie najlepszą stronę. Ale byt Polski nie jest geopolitycznie ani pewny, ani stabilny, więc wszelkie, nawet te potencjalnie uciążliwe więzi z Zachodem, są absolutną koniecznością polskiej racji stanu".

I o ile myślenie Platformy, zwłaszcza o religijnych czy aksjologicznych korzeniach Europy, zmieniło się od tamtego czasu o 180 stopni, o tyle Kaczyński nigdy nie zaczął w tej sprawie myśleć ani o jotę inaczej. I nawet sprawdziło mu się, że Unia musi się stać dla Polski nieuchronnym powodem licznych kłopotów. Świadectwo wrogiego dziś Kaczyńskiemu Gowina, który mówi, że lider PiS w ciągu licznych rozmów o strategii nigdy nawet teoretycznie nie zająknął się na temat polexitowej hipotezy, jest tutaj najzupełniej wiarogodne.

Ale jest i drugi powód kanoniczności myślenia PiS na temat uczestnictwa w Unii. Ten ma naturę, rzec by można, nieco bardziej pragmatyczną. Zarówno Kaczyński, jak i Morawiecki wiedzą dobrze, że nie utracą tak łatwo władzy nad Polską ani z powodu uporczywego nękania Polski przez unijne komisje, parlamenty i trybunały, ani też na skutek wrogich akcji mińskiego tyrana na wschodniej granicy. Za to bardzo łatwo mogą ją utracić, jeśli trwała blokada unijnych pieniędzy, sama w sobie niestwarzająca jeszcze stanu katastrofy, połączyłaby się z rozchwianiem, a potem zamknięciem dostępu do jednolitego rynku, ucieczką inwestorów i kapitału spekulacyjnego, z rosnącą już i tak niebezpiecznie inflacją i nieuchronnym globalnym kryzysem energetycznym. Krótko mówiąc, przy panującej dziś powszechnie ekonomicznej niepewności jutra niewiele doprawdy trzeba, aby niegdysiejszą wyjątkową „zieloną wyspę" przekształcić w równie wyjątkową „czarną dziurę". Zwłaszcza Morawiecki jest świadom tego stanu ekonomicznej niepewności jutra, czego nie okazuje w programowo zawsze radosnych deklaracjach publicznych, ale co można było dostrzec wyraźnie, gdy nagle, na przekór prezesowi NBP, wymusił antyinflacyjną podwyżkę stóp procentowych. To zresztą paradoks dobrze świadczący o poczuciu odpowiedzialności Morawieckiego, jako że „normalnie" wszędzie w świecie to prezesi banków centralnych wszczynają walkę z inflacją, a premierzy wszelkimi siłami przeciwdziałają takiemu „chłodzeniu" gospodarki. U nas wszystko jest odwrotnie.

Zatem na szczytach władzy dobrze wiedzą, że jeśliby polexit miał się przekształcić z propagandowej amunicji Tuska w scenariusz na serio rozpatrywany w zagranicznych bankach, funduszach i rządowych kancelariach, to los prawicowej władzy w następnych wyborach rychło zostałby przypieczętowany.

POLITYCZNY SENS WYROKU TK

W tym kanonie pisowskiego myślenia na temat członkostwa w Unii niczego nie zmienia ostatni, tak głośny wyrok Trybunału Konstytucyjnego. Niestety, monstrualne prawnicze zawiłości, w jakie popadły stosunki polsko-brukselskie, a zwłaszcza polsko-luksemburskie, sprawiają, że w debacie publicznej

Fot. Beata Zawrzel/REPORTER

eprasa.pl 31955fcd36

z premedytacją, albo z niedostatku kompetencji prawniczej, wypowiadane są i wypisywane skrajne nonsensy na ten temat.

Prawną nowością tego wyroku nie jest bowiem wcale uznanie wyższości polskiej konstytucji nad prawem europejskim, bo w tym celu wyrok ów w ogóle nie byłby potrzebny. Napisane to jest bowiem wprost w tekście samej konstytucji (art. 8), a potwierdzane było już parokrotnie przez wcześniejsze orzeczenia polskiego Trybunału Konstytucyjnego, rządzonego przez sędziów mianowanych przez Tuska. Ani też nie jest tak (jak tenże szef PO twierdzi publicznie), że wyrok ów miałby uchylać normy ratyfikowanego przez Polskę traktatu lizbońskiego. Ta ostatnia sugestia może wynikać z potrzeb antypisowskiej propagandy, ale również z zawiłości i kiepskiego pojmowania prawniczych formuł, które znalazły się w treści wyroku. To jest swoista wyższa filozofia prawników, ale gdy w wyroku czytamy, że taki to, a taki przepis traktatu jest niezgodny z konstytucją „w zakresie wskazanym we wniosku" (idzie o wniosek premiera), to znaczy, iż niezgodny nie jest sam traktat, ale jego interpretacje zawarte w kolejnych postanowieniach luksemburskiego trybunału wydawanych przeciw Polsce.

Politycznym sensem wyroku jest więc jasne powiedzenie, że orzeczenia luksemburskiego trybunału idą ostatnio nazbyt daleko. A zatem, że wcale nie muszą być zawsze i bezwarunkowo wykonywane, na zasadzie: „niech nawet świat przepadnie, ale wyrok będziemy wcielać". I że nie może być zgody na niekontrolowane przypisywanie sobie przez luksemburskich sędziów roli – w gruncie rzeczy – jedynego w Europie prawomocnego sądu konstytucyjnego, który ostatecznie i bezapelacyjnie rozstrzygać może w każdej sprawie prawnej każdego kraju, nawet jeśli sprawa owa nie należy w ogóle do traktatowych zadań Unii. Warto pamiętać, że sędziowie luksemburscy podjęli pierwsze próby takiego rozszerzenia swojego władztwa politycznego nad Europą już dawno temu, jeszcze przed traktatem z Maastricht, kiedy zatem nie było na świecie Unii Europejskiej.

JAK ZAREAGUJE UNIA?

Teraz fakt znalezienia się przez rząd w Warszawie na cenzurowanym w Luksemburgu wykorzystano dla popchnięcia procesu przechwytywania władzy zdecydowanie naprzód. W Europie jest sporo polityków doskonale zdających sobie z tego sprawę. Znamienna pod tym względem była reakcja na polski wyrok (odchodzącego zapewne niestety) przewodniczącego Bundestagu Wolfganga Schäublego podczas drezdeńskiego forum, na którym obecny był także polski premier. Stary niemiecki chadek, rozumiejący na wylot relacje z Polską oraz wszelkie meandry unijnej polityki, oświadczył tam: „Rozumiem, że polski trybunał powiedział, że chcemy z sobą rozmawiać".

> Nie jest tak, jak Tusk twierdzi publicznie, że wyrok Trybunału Konstytucyjnego miałby uchylać normy ratyfikowanego przez Polskę traktatu lizbońskiego

Schäuble chyba najprościej ujął istotę sytuacji po wydanym w Warszawie wyroku. Skoro Polska, podobnie jak wiele innych państw Unii, nie jest gotowa uznać reguły automatyzmu w odniesieniu do coraz dalej idących wyroków Luksemburga, to znaczy, że w kwestiach spornych, jakich dotyczą te najbardziej wątpliwe wyroki, rozwiązanie musi należeć do polityków, a nie do sędziów. Stąd wniosek, że trzeba po prostu rozmawiać.

Kluczowe dzisiaj polityczne pytanie brzmi, czy logikę Schäublego gotowa jest również uznać jego partyjna współtowarzyszka Ursula von der Leyen? Niewykluczone, że to jest właśnie ów moment próby, w którym na użytek historii rozstrzygnie się dylemat, czy Morawiecki miał rację, blokując dwa lata temu karierę Timmermansa i otwierając dla Niemki drogę do szefostwa Komisji Europejskiej? Von der Leyen nie jest w łatwej sytuacji, gdyż wywierana jest na nią potężna presja sfanatyzowanego coraz bardziej Parlamentu Europejskiego, iżby walnęła ostro w rząd w Warszawie, odcinając Polskę całkowicie od unijnego budżetu. A trzeba pamiętać, że ustrojowa konstrukcja Unii od czasu traktatu lizbońskiego uzależnia politycznie szefa Komisji od większości europarlamentu. Ostry nacisk pójdzie także ze strony sędziów z Luksemburga, którzy przecież przy tej okazji już witają się z gąską, czyli widzą się w roli najwyższej, półboskiej instancji politycznej w Europie.

Na to wszystko nakłada się jeszcze polityczny radykalizm Tuska, który w samym fakcie wydania wyroku zwietrzył krew i napierać teraz będzie na jak największą srogość Komisji wobec Warszawy. W przeszłości, w momentach takich napięć, do elementarnego zdrowego rozsądku zwykła po cichu wszystkich przywoływać Merkel, lecz dziś znalazła się właśnie na bocznym torze. Niestety, to nie stary chadek Schäuble, ale socjalista Scholz będzie następnym kanclerzem Niemiec, a na dodatek w Berlinie panuje teraz powyborcze zamieszanie. Nieprzyjazny z gruntu Polsce Macron zapewne nie kiwnie palcem z Paryża, aby uspokoić rozhuśtane brukselskie nastroje. W dzisiejszych warunkach może zatem zdarzyć się tak, że apogeum polsko-brukselskiego kryzysu okaże się dopiero przed nami. I choć nie będzie ono mieć nic wspólnego z krzykliwie głoszonym ryzykiem wyjścia Polski z Unii opinia publiczna, pod wrażeniem silnego kryzysu, może łatwo dać się zwieść takiemu wrażeniu. Szybkie uchwalenie zgłoszonej przez Tuska noweli konstytucyjnej, wedle której wszczęcie procedury polexitu miałoby zostać obwarowane wymogiem sejmowej większości kwalifikowanej, mogłoby się wówczas okazać niezłym remedium na takie nadmiernie ryzykowne rozedrganie nastrojów.

eprasa.pl 31955fcd36

Tajny plan Tuska

Największym błędem przewodniczącego PO było posiadanie planów rządzenia w latach 2005–2014. Teraz już nie chce, by go z czegokolwiek rozliczano

Fot. Piotr Molecki/East News

STANISŁAW JANECKI

Przez kilka miesięcy przed powrotem Donalda Tuska do polskiej polityki w Platformie Obywatelskiej panowało przekonanie, że za wszystkimi posunięciami byłego premiera stoi precyzyjny plan. Tylko jest ukrywany, żeby rządzący nie mogli go udaremnić. Gdy już Tusk został szefem PO, miał kilka wystąpień programowych i wywiadów, tyle że nie było w nich żadnego programu. No, może poza hasłem „przywrócenia normalności", czyli demokracji, praworządności, wolności i pozycji Polski w Unii Europejskiej. I można to osiągnąć łatwo – anihilując Prawo i Sprawiedliwość jako byt polityczny oraz cofając wszystko to, co rządy PiS zrealizowały. Wystarczy zapewnić odpowiedni poziom nienawiści do partii Jarosława Kaczyńskiego i jego samego. Dlatego pierwsze przemówienie Tuska po powrocie (podczas Rady Krajowej PO 3 lipca 2021 r.) było jednym wielkim seansem nienawiści. A Polska została przedstawiona jako państwo, w którym wszystko się wali i pali, czyli jest gorzej niż podczas wojny. Gdy jednak negatywne emocje opadły, pojawiło się pytanie o program czy też

eprasa.pl 31955fcd36

plan osiągnięcia nadrzędnego celu, czyli odzyskania władzy. I wtedy się okazało, że plan dlatego jest tajny, iż nie ma żadnego planu. Były premier jest przekonany, że trzeba tylko reagować na przytrafiające się okazje.

POLEXIT ZA POLEXITEM

Donald Tusk nie przygotował nawet tego, co w jego wypadku wydawało się najłatwiejsze – planu wykorzystania zagranicy do odzyskania władzy. Za plan nie można przecież uznać tego, że skoro istnieje konflikt rządzących z instytucjami UE, to wystarczy go opakować w stare straszenie polexitem. Stare, gdyż pojawiło się już w listopadzie 2015 r. w reakcji PO na wyborcze zwycięstwo PiS. W następnych latach to hasło powtarzano do znudzenia. „Polexit już się zaczął" – straszył 29 sierpnia 2017 r. prof. Jan Hartman. „Polexit zaczął się w poniedziałek 25 marca [2019 r.] – precyzował prawnik prof. Wojciech Sadurski. „Dziś [20 grudnia 2019 r.] stały się w Polsce dwie rzeczy: skończyła się demokracja i zaczął się polexit" – ogłosił socjolog prof. Jacek Kochanowski. Brak jakiegokolwiek planu sprawia, że nie ma nawet działań wyprzedzających decyzje Komisji Europejskiej ani orzeczenia Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej. Manifestacja 10 października 2021 r. na placu Zamkowym w Warszawie też nie była żadnym dalekosiężnym planem, tylko prostą reakcją na wyrok Trybunału Konstytucyjnego, czyli była wykorzystaniem nadarzającej się okazji. Ale wykorzystaniem bardzo wąskim, bo co pod koniec 2021 r. można zyskać hasłami: „Bronimy Polski przed wyjściem z Unii!" albo „Zostajemy!". To dowodzi, że Tusk zachowuje się jak leniwy wędkarz, który zanurza kij w wodzie i czeka, aż się coś złapie, nie sprawdzając nawet, czy tam są ryby.

Kara nałożona na Polskę za to, że nie zatrzymano kopalni Turów, nie mogła być pretekstem do akcji pod wodzą Tuska, gdyż uderza w konkretnych, zwykłych ludzi i polskie interesy, a przez to nie nadaje się do wykorzystania przeciwko rządzącym w formie dającej jakąkolwiek korzyść polityczną. Ale zamrożenie puli pieniędzy dla Polski z unijnego budżetu czy funduszu odbudowy już jest dobrym powodem nawet do ulicznych demonstracji, np. pod hasłem: „Jeśli odsuniemy ich od władzy, odzyskamy te pieniądze". Tusk uważa, że sam nie musi niczego proponować, zresztą nie bardzo wie, co to mogłoby być, wystarczy czekać i reagować. Najlepiej, żeby w krótkim czasie było kilka–kilkanaście powodów dających się wykorzystać do urządzania manifestacji, żeby to wyglądało na proces pogarszania się sytuacji i odpowiadający mu proces niezgody społeczeństwa. Ale z drugiej strony wystarczyłoby rozproszenie wydarzeń mogących wywołać opór i protesty, żeby Tusk nie mógł z tego zrobić sekwencji, a bez tego nie można stworzyć wrażenia, że wszystko się w Polsce „sypie".

> Lider PO uważa, że sam nie musi niczego proponować, zresztą nie bardzo wie, co to mogłoby być, wystarczy czekać i reagować. To dowodzi, że Tusk zachowuje się jak leniwy wędkarz, który zanurza kij w wodzie i czeka, aż się coś złapie, nie sprawdzając nawet, czy tam są ryby

Najbardziej dogodnym pretekstem do protestów i ataków jest inflacja, przedstawiana jako drożyzna, ale to też żaden element planu Tuska, a jedynie okazja. Tym bardziej że to nie jest coś, co się dzieje nagle i na co trzeba reagować w konkretnym czasie. Brak jakiegokolwiek planu działania po stronie Tuska sprawia, że nie ma nawet akcji tworzenia koszyków produktów i pokazywania, czego mniej można obecnie kupić. Z tym jest zresztą problem, bo bez naciągania nie da się udowodnić, że przy obecnych dochodach (wyższych dzięki polityce PiS) można kupić mniej tych samych produktów niż np. przed 2015 r. Być może dlatego nie ma też epatowania losem ludzi, którzy wskutek inflacji mają problemy z przeżyciem. Choć gdyby istniał taki plan, jakieś osoby dałoby się do niego dopasować.

METODA TUSKA

Pretekstem do ataków na rząd Mateusza Morawieckiego i PiS, też w jakimś sensie losowym, jest sprawa zatrudniania krewnych, znajomych i zasłużonych dla władzy (media znalazły 900 takich osób), ale to ma ograniczony potencjał. Tusk wprawdzie uwielbia po powrocie mówić o tym, że obecna władza tylko kradnie, a jeśli coś reguluje (ustawa antykorupcyjna), to dlatego żeby kraść legalnie. Ale to nie takie proste, gdyż zaledwie w 2012 r. powstał raport o podobnych praktykach wtedy, gdy Tusk był premierem. I wtedy krewnych, znajomych i zasłużonych dla władzy znaleziono około 8 tys. I Tusk podzielił się z koalicjantem (PSL) w stosunku 70 proc. do 30 proc., czyli około 5,6 tys. stanowisk przypadło ludziom PO, a 2,4 tys. – ludziom PSL. Jeśli takie praktyki są kradzieżą, to w 2012 r. działa się ona na masową skalę. Może dlatego ta sprawa dość szybko została wyciszona. No i PiS przyjęło jednak ustawę antykorupcyjną, o czym PO nawet nie myślała. Gdyby Tusk miał plan, a nie tylko doraźnie reagował na wydarzenia, wykorzystywałby sprawę posad dla krewnych, znajomych i zasłużonych dla władzy nawet mimo własnych „osiągnięć" na tym polu. Chociażby w protestach, szczególnie w tzw. terenie, a głównie tam, gdzie przeciętni ludzie zarabiają najmniej. Ale to wymaga pracy i sprawdzania danych, żeby się nie skompromitować, a to już za dużo dla kogoś, kto przemęczać się nie lubi.

Do mobilizowania przeciwników rządzących Tusk potrzebuje wypowiedzi ludzi władzy, które mógłby wykorzystać w stwarzaniu atmosfery zagrożenia. Ale gdy rządzący kontrolują swoje wypowiedzi na tyle, żeby nie dało się z tego zrobić narzędzia straszenia ludzi, trudno jest mobilizować do manifestacji i protestów. A to też wymaga posiadania jakiegoś planu. Nie ma planu, a jedyną strategią Tuska jest czekanie na okazję. A jeśli władza nie stwarza okazji, to

eprasa.pl 31955fcd36

trzeba prowokować. Prowokacje przy polsko-białoruskiej granicy okazały się mało użyteczne, gdyż Polacy chcą ścisłej obrony granicy i boją się ryzyka eskalacji napływu imigrantów. Mimo ogromnych wysiłków mediów sprzyjających opozycji Tusk nie uczynił ze sprawy imigrantów na granicy strategicznego celu swojej partii. Choć pozwala na stosowanie szantażu moralnego i epatowanie społeczeństwa losem dzieci imigrantów oraz śmiertelnych ofiar. Ale tu ma kłopot, bo gdy był przewodniczącym Rady Europejskiej i współodpowiadał za politykę UE wobec migrantów, na południu Europy utopiło się w 2015 r. 3777 imigrantów, rok później zaś nawet 4757. No i cały świat żył zdjęciami utopionego trzyletniego Aylana Kurdi (odnalezionego 2 września 2015 r.). Można wprawdzie powiedzieć, że to nie działo się w Polsce, ale skala jednak robi wrażenie. I po czymś takim trudno jest epatować nawet zdjęciami wymizerowanych dzieci na białorusko-polskiej granicy.

Obecnie Tusk za wszelką cenę potrzebuje wydarzeń (przypadkowych, jakichkolwiek), które mógłby ułożyć w ciągi pokazujące, że źle się w Polsce dzieje, przez co w społeczeństwie panują niepokój i poczucie zagrożenia. Tyle że niepokój wywołuje nawoływanie części polityków PO do otwarcia granic, więc tej sprawy nie można wykorzystać przeciw PiS, choć nadarzyła się okazja. Wzorcowym przykładem metody Tuska, ale nie długofalowego planu, jest zorganizowanie manifestacji 10 października na placu Zamkowym. Był impuls (pretekst) w postaci wydarzenia (wyrok TK), była histeria medialna, znalazły się głosy wspierające z instytucji UE oraz od polityków z zagranicy (szczególnie niemieckich), dlatego Tusk wezwał poprzez Twitter do przeciwdziałania. Miało to pokazać, że Tusk i opozycja są czujni i nie są bezczynni, gdy coś się dzieje, nawet gdy to coś jest kompletnie wykreowane. Brak planu sprawia jednak, że efekty, jeśli w ogóle, są przypadkowe, a poza tym nie przeciwdziała się negatywnej ewolucji własnych działań. W efekcie coś, co miało być najważniejszym politycznym wydarzeniem jesieni 2021 r., wcale takie nie było.

PROGRAM TO TYLKO KŁOPOTY

Donald Tusk nawet się nie wysila, żeby mieć jakiś pozytywny program, wie bowiem, że nie przebije już zrealizowanych oraz nowych (Polski Ład) propozycji rządu i PiS. Dlatego nawet nie chce się z nimi mierzyć, żeby nie robić marnego tła z siebie, PO i jej ewentualnych pomysłów. Tusk w wersji z 2021 r. ma tylko cofnąć wszystko to, co zostało osiągnięte po 2015 r. A nawet nie tyle cofnąć, ile wręcz wymazać ze społecznej świadomości. Zamiast pozytywnego planu mamy więc zapowiedź niszczenia tego, co zrobiło PiS. A to niszczenie ma być realne dlatego, że „obóz władzy jest słaby, zdezorganizowany i chaotyczny". Obecna władza to ponoć „rząd kukieł, który będzie się trzymać pazurami do ostatniego dnia. To chaos, bezradność, tchórzostwo". Z kolei „Polski Ład, czyli program, który miał być nowym otwarciem dla rządzących, grzęźnie w kłótniach wewnętrznych". Do tego

> Tusk nawet się nie wysila, żeby mieć jakiś pozytywny program, wie bowiem, że nie przebije już zrealizowanych oraz nowych (Polski Ład) propozycji rządu i PiS. Tusk w wersji z 2021 r. ma tylko cofnąć wszystko to, co zostało osiągnięte po 2015 r.

Krajowy Plan Odbudowy, czyli „miliardy unijnej pomocy", jest w Brukseli blokowany, więc nadarza się świetna okazja. Tak Tusk opisywał sytuację 10 sierpnia 2021 r. podczas obrad Rady Krajowej PO. Tusk nie ma żadnego kontrplanu wobec PiS, gdyż ma złe doświadczenia z przeszłości. Te złe doświadczenia to programy z 2005 i 2007 r., „21 priorytetów" z 2011 r., „nowy plan dla Polski" ze stycznia 2014 r. oraz program „Polska przyszłości" zaprezentowany przed wyborami w 2015 r., gdy Tusk już PO nie kierował. Programy i plany mają tę wadę, że są sformułowane i można je rozliczać. Taktyka reagowania na to, co się dzieje, takiej wady nie ma. I nie można się czepiać, tak jak w związku z programami z lat 2005 r. i 2007 r., że nie zrealizowano zmian w konstytucji: zmniejszenie liczby posłów o połowę, likwidacja Senatu, wprowadzenie JOW, zniesienie immunitetu poselskiego. Nie można by wypominać, że w 2005 r. PO chciała likwidacji finansowania partii z budżetu państwa czy zmniejszenia administracji centralnej o 20 proc., w 2007 r. zaś szybkiego przyjęcia waluty euro. Nie można narzekać, że w 2005 r. PO zapowiadała jednolitą stawkę podatkową 3×15 proc. dla PIT, CIT i VAT, uproszczenie systemu podatkowego, likwidację formularza PIT czy wprowadzenie rocznej sprawozdawczości podatkowej dla przedsiębiorców. Nie można by się czepiać, że w 2007 r. PO obiecała likwidację ponad 200 opłat urzędowych, a w 2011 r. radykalnie zwiększoną ulgę podatkową na trzecie i kolejne dziecko, obniżenie zasadniczej stawki VAT do 22 proc., w 2015 r. zaś wprowadzenie jednolitego kontraktu, żeby każdy zatrudniony płacił tylko jeden podatek dochodowy.

Gdy posiada się program, jak ten z 2007 r., który zapowiadał likwidację NFZ, obniżenie cen leków, wyższe płace dla pracowników ochrony zdrowia oraz poprawienie jakości i dostępności usług medycznych, daje się tylko pretekst do krytyki. Zamiast tego wystarcza likwidacja albo przywrócenie tego, co było. I nawet nieostrożne zapowiedzi są szkodliwe, dlatego obecnie jest ich bardzo mało. Tusk musi wszak pamiętać, że w 2007 r. chciał, „żebyśmy wrócili do prostej, niewymagającej żadnych nakładów idei [...] władzy skromnej, pozbawionej zbędnych przywilejów, idei taniego państwa". A potem się okazało, że tylko w ciągu pierwszych dwóch lat rządów PO zatrudnienie w urzędach zwiększyło się o 70 tys. osób, czyli o ponad 17 proc. Tylko w ciągu dziewięciu pierwszych miesięcy 2010 r. w administracji publicznej przybyło 26,3 tys. urzędników. Za pracę dodatkowych urzędników podatnicy zapłacili 10,6 mld zł. Lepiej nie mieć żadnych planów i niczego nie zapowiadać. I to właśnie robi Donald Tusk jesienią 2021 r. Jego tajny plan to brak jakiegokolwiek planu.

eprasa.pl 31955fcd36

Mam bardzo dobre relacje z młodzieżą

Pokolenie obecnych 20-latków ma ogromne luki w wiedzy z historii. Musimy to zmienić. Dlatego uczniowie pierwszych klas szkół ponadpodstawowych dostaną nowy przedmiot – historia i teraźniejszość. To będzie HiT nie tylko z nazwy – mówi minister edukacji i nauki ***prof. Przemysław Czarnek*** w rozmowie z Marcinem Wikłą

Od roku jest pan ministrem odpowiedzialnym za resort edukacji. Ile razy w tym czasie usłyszał pan, że – tu użyję delikatnego stwierdzenia – „Czarnek musi odejść"?

Przemysław Czarnek: Nie liczę tego, staram się też nie słuchać inwektyw kierowanych w moją stronę. Ale myślę, że gdybym to robił, to takie głosy mógłbym usłyszeć codziennie.

Nie chce pan słyszeć żadnej krytyki?

Nad wszystkimi głosami krytycznymi, które wskazują jakiś konkretny problem, oczywiście się pochylam i analizuję je naprawdę dokładnie. Bo są tego warte, jeśli dotykają spraw dla kogokolwiek ważnych.

Słowa to jedno, ale są też obrazy, które pokazywane w mediach po prostu wywołują emocje. Myślę o dzieciach, które przyklejały się do kraty przed gmachem ministerstwa. Czy ta desperacja nie zrobiła na panu wrażenia?

To, co naprawdę mnie uderzyło, to wniosek, że ci młodzi ludzie chyba nie do końca wiedzieli, do czego się przyklejają. Rozumiem, że taka była formuła tego protestu, ale oni wybrali bramę w al. Szucha, przez którą w czasie II wojny światowej przechodzili polscy męczennicy. Była siedziba gestapo, jedno z najstraszniejszych miejsc na mapie stolicy, naprawdę nie jest dobrym miejscem na takie akcje.

Staram się odtworzyć tok ich myślenia, po prostu przyszli przed siedzibę ministerstwa. O gestapo może nie wiedzą...

Też sądzę, że nie wiedzą. Niestety. I to jest najsmutniejsze. Ale żebyśmy nie zabrnęli w ślepą uliczkę. Naprawdę mam bardzo dobre relacje z młodzieżą i spotykam się z nią cyklicznie. Na przykład z tą, która chce czynnie uprawiać sport. Jeździmy wspólnie na rowerach po okalających Lublin Lasach Kozłowieckich. Sprowadzanie młodzieży tylko do tych osób, które przychodzą na protesty, nie jest więc uczciwym zabiegiem. Młodych ludzi są w Polsce miliony. To wspaniali, kulturalni ludzie, którzy nie interesują się

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 31955fcd36

polityką, zajmują się swoim życiem i swoją młodością.

Donald Tusk mówił na dosyć licznej manifestacji w Warszawie: „Zostajemy w UE". Czy pan widział w nim lidera opozycji, który idzie zabrać PiS władzę?

Widziałem pustkę, kompletną pustkę. Zero treści. Wyszli jacyś ludzie, mówili o rzeczach abstrakcyjnych. O jakimś wyprowadzaniu Polski z Unii, o decyzjach, które ponoć prezes Kaczyński już podjął. To wszystko podane w tonie sensacji i jakichś niezdrowych emocji. Była też pani Wanda Traczyk-Stawska, która jest bohaterką powstania warszawskiego, ale ona z kolei została, mam wrażenie, perfidnie wykorzystana przez tych kłamców. Była to więc duża manifestacja, ale po nic, bo nie ma tematu wyprowadzenia Polski z UE. To Tusk marzy o tym, aby nas choć na chwilę wypchnąć ze wspólnoty, by mógł mówić, że ten rząd nie służy państwu polskiemu.

Dlaczego pan uważa, że pani Traczyk-Stawska została wmanewrowana w tę sytuację?

Bo jeśli występuje na jednej scenie z agentami SB i komunistami, którzy bezcześcili pamięć powstańców warszawskich, to albo nie wie, co robi, albo została oszukana.

Kontrmanifestację zorganizowało środowisko narodowców, które momentami było głośniejsze niż Tusk i partyjni koledzy. W ten sposób to powinno przebiegać?

Jeśli jedni mają prawo do mocnych słów, a nawet wulgaryzmów, i to wyjątkowo dosadnych, to ja w zachowaniu osób ze Stowarzyszenia Marsz Niepodległości nie widzę niczego niestosownego. Oni po prostu reagują na to, co widzą i słyszą.

Padają zarzuty, że środowiska narodowe są teraz dopieszczane finansowo przez władzę, że partia rządząca kupuje sobie tych ludzi, by nie swoimi rękami zakłócać i rozbijać wiece politycznych przeciwników. Jest coś na rzeczy?

Widzę to inaczej. W końcu przyszedł czas na to, by organizacje pozarządowe o charakterze patriotycznym i narodowym także uzyskiwały dofinansowanie. Wcześniej nie miały na to szans. To nie jest kupowanie, tylko przejaw sprawiedliwego podziału środków publicznych.

Manifestacje tzw. Strajku Kobiet przełamały pewną barierę słów, których dotąd w przestrzeni publicznej się nie używało. Jak pan reaguje na wulgaryzmy, które dzisiaj sypią się zewsząd?

Mamy do czynienia z przerażającym upadkiem dyskursu publicznego. Mówię to ja, któremu w prywatnych rozmowach zdarza się mówić z dużą ekspresją. Ale nie zdarza mi się przekroczyć granic w sytuacji, w której miałbym zgorszyć kogoś w miejscu publicznym.

Można domniemywać, że będzie tylko gorzej. Dokąd nas to zaprowadzi?

Tutaj podobno chodzi o rewolucję, która ma wywrócić rząd PiS. Każda rewolucja używa chwytów brutalnych, taki stał się więc także język. To narzędzie używane do przeprowadzenia wywrotu kulturowego i społecznego w Polsce. Nie jest przypadkiem, że wyszli z tym chamstwem na ulicę. Zawsze było tak, że to kobiety bardziej trzymały fason, były dużo bardziej kulturalne w debacie. Dzisiaj, gdy widzę, z jakimi hasłami niektóre kobiety reprezentujące radykalne poglądy (ale także młodzi mężczyźni) wyszły na ulice, jakie napisy mają na tekturach, z jakimi wulgaryzmami się fotografują, jestem pewien, że będą się tego w przyszłości wstydzić.

Ludzie mają oczywiście różną wrażliwość, ale chyba przyzna pan, że z dosadnością swojego języka to kariery w dyplomacji by pan nie zrobił.

Dlatego pracuję w MEiN, a o posadę w MSZ nigdy nie zabiegałem. Bo rzeczywiście, jak w tym dowcipie, dyplomata to jest człowiek, który umie powiedzieć „spadaj" w taki sposób, że czuje się ekscytację przed zbliżającą się podróżą. Ja, to prawda, tak nie potrafię.

Nie ma pan sobie nic do zarzucenia? Czy nie widzi pan u siebie wypowiedzi, które podgrzewałyby te emocje, po których ludzie mogą się poczuć dotknięci?

Wszystkie moje wypowiedzi są przemyślane, do nikogo nie adresowałem ich personalnie. Nigdy w wypowiedziach publicznych nie używałem wulgaryzmów ani nigdy nie kłamałem.

Zacytuję pana: „Homoseksualiści, biseksualiści, transwestyci czy inni tam jeszcze queer, czyli dziwacy". Obraźliwe czy nie?

„Queer" to znaczy „dziwny", „osobliwy". Takie jest tłumaczenie tego słowa. Jeśli widzi pan mężczyznę, który po centrum Warszawy paraduje przebrany w damski strój kąpielowy, to jest to zachowanie dziwne.

Czyli nie wycofuje się pan z tego słowa?

Absolutnie! A pan uważa, że to jest standardowe zachowanie? No nie, to jest zachowanie zdecydowanie niecodzienne, dziwne.

Stoi pan od początku roku 2021 na czele połączonego resortu edukacji i szkolnictwa wyższego. I o ten drugi dział najpierw zapytam. Dlaczego studenci pierwszego roku tak często spotykają się z narzucaną im ideologią lewicową?

Wynika to, niestety, z braku roztropności niektórych akademików. Znam relację studentów, którzy na pierwszych zajęciach słyszą, że „dzisiaj w Polsce to już nawet nie mamy autorytaryzmu, tylko faszyzm w czystej postaci". Powtórzę, świadczy to tylko o daleko posuniętym braku roztropności człowieka, który mieni się wykładowcą akademickim.

Zaraz usłyszymy, że chce pan cenzurować naukowca. Pan może mieć taką ocenę, bo studia pan skończył i już od wykładowców pana dalsza droga nie zależy. Ale co ma zrobić wykładowca, który podlega rektorowi, ale nie zgadza się na indoktrynację?

Dlatego uchwaliliśmy „pakiet wolności akademickiej". Do tej pory byli „mędrcy", którzy sączyli swoją ideologię, a ich

eprasa.pl 31955fcd36

oponenci byli poddawani ostracyzmowi i wszczynano wobec nich postępowania dyscyplinarne. Dosyć z tym. Gdy pakiet zacznie działać, krytyka będzie dozwolona. Gdy inny wykładowca zechce zorganizować konferencję, rektor nie będzie miał prawa mu tego zabronić ani nie wyrzuci go z murów uczelni tylko dlatego, że jakieś lewackie środowiska to oprotestują.

Resortem nauki i szkolnictwa wyższego przez długi czas kierował premier Jarosław Gowin. Czy to on dał rektorom tak dużą władzę na uczelniach, że w zasadzie mogli czuć się tam jak udzielni władcy bez żadnej kontroli?

Jarosław Gowin w mojej ocenie nad tą reformą nie zapanował. Oddał ją zresztą całkowicie rektorom, myślę tutaj o szefach najważniejszych ośrodków akademickich, z Warszawy, Poznania czy Krakowa, którzy mają najwięcej do powiedzenia także w skali ogólnopolskiej. To oni napisali tę ustawę, reformę tworząc „pod siebie". Dzisiaj nasze działania budzą ich sprzeciw, bo dla mnie ważne są wszystkie ośrodki, również te mniejsze, w Rzeszowie czy w Szczecinie.

Dlaczego Gowin oddał to pole?

Może dlatego, by zyskać akceptację jednak bardzo hermetycznego środowiska rektorskiego. Swoje chyba osiągnął, bo głośno wyrażano na uczelniach poparcie dla ministra.

Co pan czuje dzisiaj, gdy Jarosław Gowin, będąc już poza koalicją, krytykuje Polski Ład czasem ostrzej niż tzw. totalna opozycja?

Czuję ulgę, że spory z nim już się nie toczą. Słyszę od ludzi na różnych spotkaniach, że wielu czekało, aż ten moment nadejdzie. Widać to zresztą coraz wyraźniej. Człowiek, który uroczyście, w świetle kamer, podpisuje Polski Ład i mówi: robimy, a chwilę później zaczyna go całkowicie krytykować, jest zupełnie niewiarygodny.

Od ponad dziewięciu miesięcy pana resort skupia i edukację szkolną, i naukę na uczelniach. Jak pan po tym czasie ocenia to połączenie?

Pozwala nam ono patrzeć na proces nauczania kompleksowo, dopiero teraz widać, jak bardzo tego brakowało. Otwierają się nowe możliwości, spójrzmy choćby na taką prostą rzecz, jak analizowanie rynku nauczycielskiego i potrzeb szkolenia nauczycieli w rozmaitych obszarach.

Wiemy, ilu i jakich nauczycieli brakuje?

Wiemy. Brakuje nauczycieli wychowania przedszkolnego, zwłaszcza na tzw. zachodniej ścianie Polski. Brakuje nauczycieli przedmiotów ścisłych – fizyki, chemii – i będzie ich brakowało. Dlatego uruchomimy możliwość dokształcania podyplomowego, co spowoduje, że nauczyciele będą mogli się stać dwu-, a nawet trójprzedmiotowi. Bardzo ścisła specjalizacja to dziś nie jest dobry model.

Związek Nauczycielstwa Polskiego, organizacja, która konsekwentnie krytykuje pana działalność, mówi, że podwyżki dla nauczycieli to w istocie dołożenie godzin pracy, za które zapłacicie. Jak pan reaguje na takie słowa?

Nauczyciel pracuje dzisiaj 40 godzin w tygodniu i nadal będzie pracował 40 godzin. Te godziny będą nieco inaczej ułożone, ale to nie znaczy, że będzie pracował więcej. Wyrzucamy mu z tego czasu biurokrację, czyli uwalniamy kilka godzin tygodniowo, systematyzujemy to, co do tej pory i tak robił, czyli spotkania z rodzicami i na radach pedagogicznych, wyjazdy na wycieczki, przygotowanie uczniów do zawodów sportowych itp. Jednocześnie w ramach tych 40 godzin wygospodarowaliśmy czas, by można było się pochylić nad uczniem, który ma problem z odrobieniem pracy domowej. To wszystko za ponad 1,4 tys. zł miesięcznie więcej. Kosztuje nas to 8 mld zł rocznie. Czy naprawdę to jest dla związków zawodowych nic? Nikt nie dawał takiej podwyżki wcześniej ani nikt nie dokładał takich środków do subwencji oświatowej, a jednak wtedy ZNP nie reagował.

Czyli w walce związkowej chodzi o politykę i walkę z rządem PiS?

Wyłącznie.

Kim jest zatem szef ZNP Sławomir Broniarz?

Zachowuje się jak lewicowy polityk. Zresztą chętnie wychodzi z Lewicą na konferencje prasowe i nas krytykuje, a o nauczycieli nie dba. I nie dbał. Sytuacja nauczycieli mogłaby dzisiaj inaczej wyglądać, gdyby związki były aktywne wtedy, gdy trzeba było. Przecież ten kryzys narasta dokładnie od czasu, gdy Sławomir Broniarz został szefem ZNP.

Politycy PiS sami przyznają, że partia znalazła się być może w najtrudniejszym momencie w swojej historii. Rząd walczy o większość, koalicja się chwieje, na ulicy nie ma spokoju, opozycja coraz bardziej wściekle atakuje. Jest też kryzys w relacjach z Brukselą. Z czego wynika obecny dołek?

Ja tego w sondażach nie widzę. Wygrywaliśmy wybory w 2015 r. z wynikiem 37 proc., dokładnie tyle – czasem nawet więcej – mamy teraz. A jesteśmy po sześciu latach władzy. Każda władza się zużywa, władza się też ludziom nudzi. Wszystko, co nowe, wydaje się atrakcyjniejsze.

Czasem władza nie jest też w stanie się wywiązać ze wszystkich obietnic, które składała.

To prawda, czasem okoliczności zewnętrzne powodują, że staje się to obiektywnie niemożliwe. Czasem psują się też ludzie władzy i robią złe rzeczy. Są takie przypadki w naszym obozie, ale reagujemy na nie na bieżąco. To może powodować jakieś zachwianie, ale nie nazwałbym tego jakąś szczególną dekoniunkturą.

Czy wobec tego poparłby pan wniosek PSL o skrócenie kadencji Sejmu i przyspieszone wybory?

Nie. Mamy większość w Sejmie i chcemy reformować kraj. Po co nam teraz wybory?

Jest jasne, że COVID-19 wyrządził ogromną krzywdę systemowi nauczania. Czy jest pan w stanie jakoś ocenić tę skalę?

Koronawirus jest jedną wielką szkodą. Pod każdym względem. Nauka zdalna, od szkół podstawowych po uczelnie, to

eprasa.pl 31955fcd36

był i jest jeden wielki dramat. Widząc niebywałe wysiłki lekarzy, wiem, że nie można było zrobić inaczej. Ale to ogromna strata dla życia rodzinnego, dla szkół, dla dzieci, ich kondycji fizycznej i psychicznej. To wszystko trzeba teraz nadrabiać.

Jaka jest na to recepta? Jak nauczyciele i wychowawcy mają reagować? Wiedzą, jak rozpoznawać pierwsze objawy zaburzeń?

Recepta na to jest potrójna. Po pierwsze, to dodatkowy model wsparcia, opracowywany przez UKSW i PAN, który za chwilę będzie gotowy i przekazywany nauczycielom, by mogli trafiać do dzieci. Po drugie, zwiększenie finansowania poradni psychologiczno-pedagogicznych o 50 mln zł w tym roku. Po trzecie, 700 mln zł w przyszłym roku na radykalne zwiększenie obecności specjalistów w szkołach. Nie tylko psychologów, lecz także pedagogów specjalnych czy logopedów, czyli ludzi, którzy będą odpowiadali na różne potrzeby oraz dolegliwości dzieci i młodzieży.

Jakie zainteresowania powinna mieć młodzież w szkole pana marzeń? Wielokrotnie podkreślał pan piękno Polski, jak ma być ono pokazywane uczniom?

Mamy program „Poznaj Polskę". Dofinansowujemy 80 proc. kosztu wycieczki, do 5 tys. zł dziennie, pod warunkiem odwiedzenia co najmniej dwóch punktów wskazanych przez nas w specjalnym wykazie. I zaczyna to naprawdę świetnie działać. Dostałem na przykład informację od dyrektor Muzeum Wsi Lubelskiej, która przysłała mi zdjęcie grafiku do końca roku. W 100 proc. zapełniony rezerwacjami dla wycieczek szkolnych. Ależ mnie to ucieszyło. A ile jeszcze takich miejsc mamy do pokazania naszym dzieciom! Muzeum Powstania Warszawskiego czy Centrum Nauki Kopernik są niezwykle atrakcyjne z edukacyjnego punktu widzenia. Wierzę, że tam wiedza sama wchodzi do głowy, a i poprzez te wycieczki odbudowują się wspólnoty rówieśnicze, to bezcenne.

„Laboratoria przyszłości" to kolejny program dla szkół, który pan wprowadza. Czym one będą?

To potężna inwestycja w nowoczesną szkołę. Chodzi o miliard złotych, który wydamy w ciągu kilku miesięcy na drukarki 3D, na roboty, na nowoczesny sprzęt nagłośniający i nagrywający, na nowoczesne lutownice. Chcemy mieć ultranowoczesne pracownie interdyscyplinarne w każdej szkole podstawowej. Dzieci nie mogą na starcie dostać byle jakiego sprzętu, dlatego tak duże pieniądze w to wkładamy. Za kilka miesięcy będziemy wchodzić do całkiem innej szkoły, która da uczniowi możliwość odkrywania, a potem rozwijania jego talentów.

> W ciągu kilku miesięcy na drukarki 3D, na roboty, na nowoczesny sprzęt nagłośniający i nagrywający, na nowoczesne lutownice wydamy miliard złotych. Chcemy mieć ultranowoczesne pracownie interdyscyplinarne w każdej szkole podstawowej. Dzieci nie mogą na starcie dostać byle jakiego sprzętu. Za kilka miesięcy będziemy wchodzić do całkiem innej szkoły, która da uczniowi możliwość odkrywania, a potem rozwijania jego talentów

To co, jeśli nie pieniądze, jest problemem i jednocześnie wyzwaniem dla pana na kolejny rok jako ministra?

Problemów nie brakuje. Wspomnę znów pewien kryzys nauczycielstwa, to efekt wieloletniego zaniedbania, niemożliwy do skorygowania natychmiast. Wychodzimy powoli z kryzysu systemu nauczania, który spowodowało wprowadzenie gimnazjów. Widać to najbardziej po skandalicznie niskim poziomie nauczania historii. Pokolenie dzisiejszych 20-latków ma ogromne luki w wiedzy o wydarzeniach z drugiej połowy XX w. Bez tej wiedzy są bardzo podatni na manipulację, nie znają mechanizmów, które na nich oddziałują.

Nie ma nauczycieli, którzy by taką wiedzę przekazali?

Są, ale pracują w złym systemie. Trzeba im przygotować dobry podręcznik i zamknąć tę wiedzę w dobrym programie nauczania. Jesteśmy gotowi, by odzyskiwać pokolenia nieświadomych młodych Polaków. Dlatego uczniowie od pierwszych klas szkół ponadpodstawowych dostaną nowy przedmiot, który będzie się nazywał: historia i teraźniejszość. Zapowiadał to hasłowo prezes Jarosław Kaczyński podczas prezentacji Polskiego Ładu. Niezbędna jest nam nauka historii prowadzona w nowoczesny sposób, podzielona na historię Polski i historię powszechną. Wierzę, że to będzie HiT nie tylko z nazwy.

Na koniec jeszcze słowo o lekturach. Całkiem niedawno odbyła się w mediach ożywiona dyskusja na temat wprowadzanych przez pana zmian. Przejrzałem, szczerze mówiąc, nie widzę tam nic oburzającego. Ale jedna pozycja mnie zaciekawiła. Na liście dodatkowej w klasach IV-VI „Winnetou" Karola Maya ma zastąpić „Tecumseh" Longina Jana Okonia. Czym zawinił Winnetou?

Zaskoczę pana. Nie mam pojęcia. Jestem prawnikiem, a nie polonistą, więc nie jest prawdą, że ręcznie przestawiam te lektury, skreślam i dopisuję jakieś tytuły. Robi to zespół ekspertów, w którego skład wchodzą nauczyciele, przedstawiciele Centralnej Komisji Egzaminacyjnej i akademicy. I to oni zadecydowali, że warto zamienić Winnetou na Tecumseha. Osobiście do dzielnego wodza Apaczów nic nie mam. [śmiech]

eprasa.pl 31955fcd36

Polska powinna uruchomić europejską inicjatywę na rzecz reparacji. Trzeba obnażyć niemiecką hipokryzję – mówi w rozmowie z Aleksandrą Rybińską ***dr Karl Heinz Roth***, niemiecki historyk i lekarz, ekspert Fundacji Historii Społecznej XX w. (SfS) w Bremie, autor książki „Wyparte, odroczone, odrzucone. Niemiecki dług reparacyjny wobec Polski i Europy"

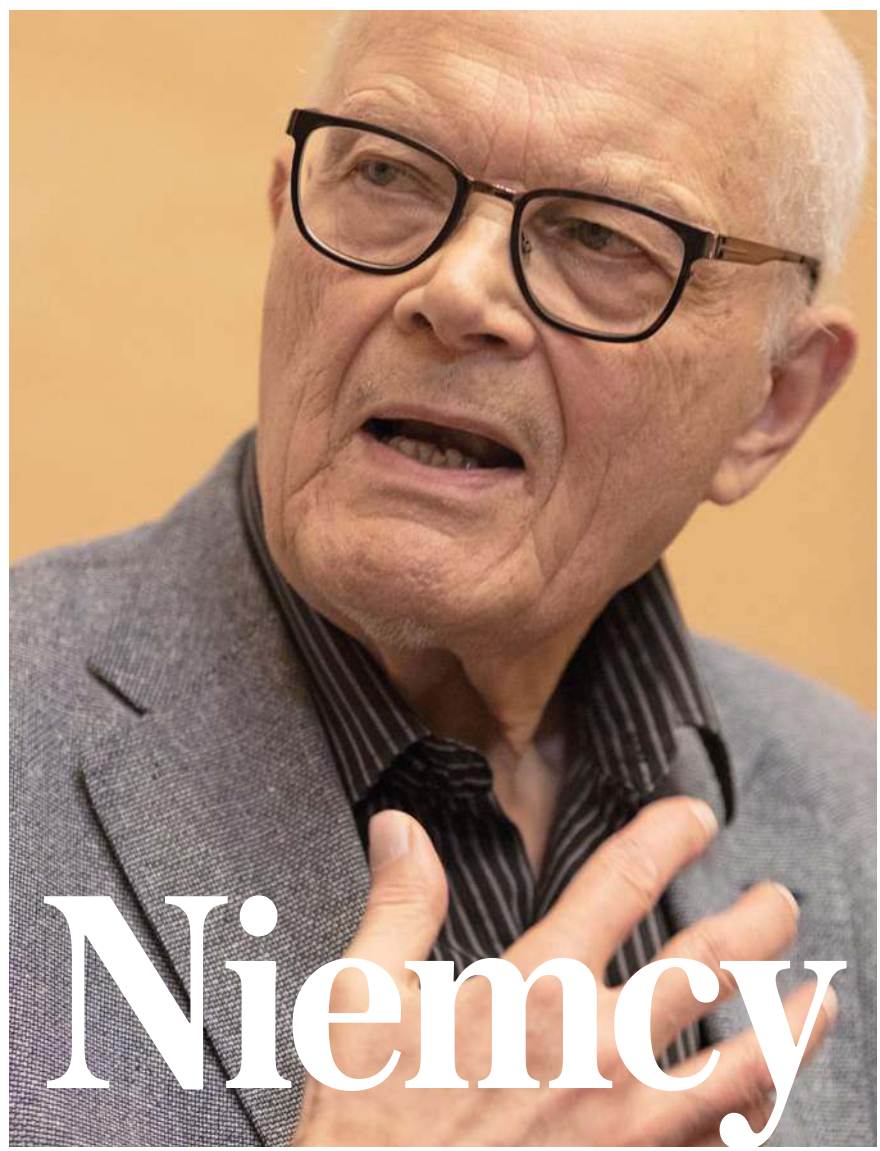

Fot. Andrzej Wiktor

Niemcy tanio się wykupiły ze swoich zbrodni

Niemcy mówią z jednej strony, że mają głębokie poczucie winy za zbrodnie III Rzeszy, że rozliczyli się ze swoją przeszłością i niczego się nie wypierają. Z drugiej strony jednak odrzucają możliwość nie tylko wypłaty Polsce reparacji, lecz nawet dyskusji na ten temat. To dla nich sprawa zamknięta. Gdy jest wina, powinno być zadośćuczynienie, czy nie?

Karl Heinz Roth: Jak najbardziej. A to, że tak nie jest, wynika z cynizmu niemieckiej polityki mocarstwowej. Ten cynizm prowadzi do tego, że uzasadnione żądania uprawnionych do odszkodowań są przedstawiane jako żebranie o jałmużnę. Odbiera im się prawo do ubiegania się o to, co im się należy. Rodzi to rodzaj asymetrii: potężny dłużnik decyduje, jak będzie traktował żądania tych, których skrzywdził. To jest czysta samowola. To jest nieetyczne i nie do przyjęcia. Podwójna moralność. I ta podwójna moralność musi zostać przezwyciężona. Niemcy traktują Polskę jak słabą peryferię. To poniżające.

Przyjeżdżają, kajają się, zazwyczaj w chwili znaczących rocznic historycznych.

Tak. Bo to poczucie winy jest obsługiwane przez bardzo sprawną kulturę pamięci. Nie ma jednak gotowości do tego, by zaakceptować materialną stronę tej kultury pamięci. Ofiary oraz ich potomkowie, ci, którzy zostali tak skrzywdzeni, musieli jakoś żyć dalej. Muszą żyć dalej. Odmawiając im prawa do materialnych odszkodowań, krzywdzi się ich po raz kolejny. Redukuje się ich do roli żebraków. Tak długo, jak nie ma gotowości po stronie niemieckiej do prowadzenia rozmów z Polską o reparacjach w sposób podmiotowy, całe to gadanie o poczuciu winy jest niczym więcej niż hipokryzją.

eprasa.pl 31955fcd36

Niemcy Zachodnie wypłaciły w latach 50. i 60. odszkodowania na rzecz Izraela oraz Światowego Kongresu Żydów, bo chciały wrócić do wspólnoty międzynarodowej po wojnie, a Izrael te starania skutecznie blokował. Można więc powiedzieć, że Żydzi znaleźli metodę na Niemcy. Co może zrobić Polska?

Polska nie ma takiego środka nacisku, m.in. wskutek wydarzeń ostatnich dziesięcioleci. Uważam jednak, że rząd w Warszawie ma możliwość wywierania presji na Niemcy, na różnych płaszczyznach. Pierwszą możliwością jest umiędzynarodowienie tej kwestii tak, aby Polska nie musiała działać sama. Jednym z możliwych miejsc działań z zakresu prawa międzynarodowego byłoby moim zdaniem forum Organizacji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie (OBWE), gdzie można by podjąć próbę arbitrażu, a także Międzynarodowy Trybunał Sprawiedliwości. Należałoby również wnieść tę kwestię na forum Parlamentu Europejskiego i zaktywizować Komisję Europejską. W skrócie: uważam, że Polska powinna uruchomić europejską inicjatywę na rzecz reparacji. Zorganizować międzynarodową konferencję na ten temat. By to się udało, absolutnie konieczna jest publikacja raportu parlamentarnego zespołu ds. reparacji na temat strat wojennych Polski. W przypadku Grecji to całkowicie zmieniło sytuację. Grecki rząd wysłał także oficjalną notę w tej sprawie do rządu Niemiec. Dziś niemieccy Zieloni domagają się, aby Berlin odpowiedział na żądania Grecji z szacunkiem, rozważył je, zamiast je zwyczajnie ignorować. Zieloni będą prawdopodobnie współtworzyć nowy rząd w Niemczech. Jeśli Polska wyceni swoje straty i będzie oficjalnie się domagała reparacji, niemiecka strona nie będzie mogła ich tak po prostu ignorować, jak robiła to dotychczas. Nie będzie mogła dalej trwać w tej podwójnej moralności. Trzeba tę niemiecką postawę obnażyć. Niech wszyscy zobaczą to zakłamanie.

Niemcy utrzymują jednak, że rząd PRL zrzekł się reparacji w 1953 r., a układ 2+4 z września 1990 r. zamknął tę kwestię definitywnie.

To bzdura. W przypadku reparacji nie ma przedawnienia. Umowa z 1953 r., w której PRL zrzeka się roszczeń względem Niemiec, jest z perspektywy prawa międzynarodowego nieważna. Polska nie była wówczas państwem suwerennym i nie podjęła tego kroku dobrowolnie. Zdecydowała się zresztą na to tylko po to, by ułatwić zawarcie umowy pokojowej oraz wesprzeć proces zjednoczenia Niemiec, do czego ostatecznie nie doszło. Ten dokument nie ma więc żadnej mocy prawnej. Traktat 2+4 – umowa Niemiec z czterema mocarstwami – jest de facto umową pokojową, ale się tak nie nazywa, bo Niemcy nie chciały, by znalazła się w nim kwestia reparacji. Do podpisania tego traktatu rząd Niemiec odrzucał wszelkie rozmowy o reparacjach, bo twierdził, że o tym będzie można rozmawiać dopiero przy traktacie pokojowym. Dlatego ta sprawa wciąż nie jest uregulowana, a kraje, które tego dokumentu nie podpisały, np. Polska, nie są nim związane. Niemcy zamordowały miliony ludzi, zniszczyły podstawy ich bytu i splądrowały ich kulturę. Wykupiły się z tego stosunkowo tanim kosztem. To jest nie do przyjęcia. Proszę spojrzeć na to, co się stało w sprawie odszkodowań za niemieckie ludobójstwo w okresie kolonialnym w Namibii. Znam historyka, który uczestniczył w negocjacjach jako doradca. Informował mnie na bieżąco o postępach rozmów. Tam było tak samo: starano się nie używać słowa „odszkodowanie", mówiono o dobrowolnej pomocy rozwojowej dla Namibii. Kolejna jałmużna zamiast reparacji. Wielokrotnie brałem udział w debatach o niemieckich zbrodniach kolonialnych. Za każdym razem postępowi koledzy ostrzegali mnie przed tym, by stawiać kwestię odszkodowań dla Namibii, ponieważ wtedy zgłosiłyby się inne były kolonie, jak choćby Kamerun, Togo. Tak było też w 1975 r., kiedy Niemcy przyznały Polsce pożyczkę w wysokości 1 mld marek, która była przedstawiana jako „pomoc humanitarna".

> Cynizm niemieckiej polityki mocarstwowej prowadzi do tego, że uzasadnione żądania uprawnionych do odszkodowań są przedstawiane jako żebranie o jałmużnę. Odbiera im się prawo do ubiegania się o to, co im się należy. Rodzi to rodzaj asymetrii: potężny dłużnik decyduje, jak będzie traktował żądania tych, których skrzywdził

Peter Oliver Loew, dyrektor Niemieckiego Instytutu Spraw Polskich w Darmstadt, powiedział w jednym z wywiadów, że Polska nie kojarzy się Niemcom już z wojną i nie umieliby powiedzieć, który z narodów najbardziej w niej ucierpiał. A rytualne gesty wykonywane przy okazji różnych rocznic stały się puste. Jak to wpływa na debatę o reparacjach?

Jest to rzeczywiście pewien fenomen, widoczny szczególnie u młodego pokolenia Niemców. Nie udało się do dziś stworzyć świadomości u Niemców ogromu zbrodni wynikających z niemieckiej polityki okupacyjnej w Europie. Za każdym razem, gdy próbowałem omawiać z politykami Zielonych kwestię reparacji dla Polski, nie chcieli o tym rozmawiać. Młodzi ludzie. To ogromny problem, z którym musimy się zmierzyć. Musimy szukać sposobów, by tę blokadę przełamać. Uczestniczyłem w uruchomieniu tych wszystkich grecko-niemieckich inicjatyw, które prawdopodobnie doprowadzą do kompromisu w sprawie reparacji dla Aten. Już w 2013 r. pisałem o długu reparacyjnym Niemiec wobec Grecji. Potem zrozumiałem, że moje spojrzenie jest zbyt wąskie, i rozszerzyłem je. Odbyły się

eprasa.pl 31955fcd36

Fot. Andrzej Wiktor

ogromne konferencje z udziałem niemieckich i greckich historyków w latach 2015 i 2016 i to nadało tej debacie dynamiki. Myślę, że w przypadku Polski takie dwustronne inicjatywy byłyby także potrzebne i skuteczne. Musi być presja na niemiecki rząd, szczególnie ze strony niemieckiej. Greckie lobby w Niemczech odegrało tu ważną rolę. Takiego lobby po stronie polskiej brakuje, a resentymenty w Niemczech wobec Polski są ogromne i się pogłębiają.

Na razie niemiecki Bundestag zgodził się postawić polskim ofiarom wojny pomnik w Berlinie połączony z centrum spotkań. To taka nagroda pocieszenia?

Ten pomnik to kolejna koncesja w ramach kultury pamięci. Małe jabłko, by uchronić się przed zbiorami, czyli przed reparacjami. Mały krok do przodu, by zneutralizować debatę o reparacjach w Polsce. Taki pomnik niewiele kosztuje. Mamy więc znów do czynienia z niemieckim cynizmem. Polska ma się zadowolić muzeum i pomnikiem. Pozostaje pytanie, kiedy te wszystkie sztuczki się wyczerpią.

Niemcy uważają się dziś za kraj nowoczesny, postępowy, otwarty i tolerancyjny. Kraj, do którego ten ponury akapit historii już nie za bardzo pasuje. Może stąd ta niechęć do dyskusji o reparacjach? Fundacje niemieckich koncernów, które korzystały kiedyś z pracowników przymusowych, nie chcą już dawać pieniędzy na odszkodowania dla ofiar, tylko organizować warsztaty dla młodych o demokracji i potrzebie walki z faszyzmem.

Dokładnie tak jest i doświadczyłem tego na własnej skórze. Kiedyś miałem wykład w Kolonii w jednym z miejsc pamięci. Wykład został nagrany i przejęty przez fundację firmy Henkel. Wywołało to u nich burzliwą, wewnętrzną dyskusję. Lub dokładniej: spór. Tu trzeba patrzeć do przodu, w przyszłość, a on w kółko o przeszłości. Dlatego presja na Niemcy musi być globalna, powinny na nie naciskać USA oraz żydowska diaspora. Przejrzałem starannie umowę zawartą w 1952 r. między Izraelem a Niemcami Zachodnimi i jest to klasyczna umowa reparacyjna. Sfinansowała ona budowę Państwa Izrael. Niemiecka biurokracja ugnie się z pewnością pod presją Amerykanów i lobby żydowskiego w USA. Niebawem moja książka zostanie opublikowana za oceanem i spodziewam się dyskusji, która obejmie także świat żydowski.

Nie chcę pana martwić, ale świat żydowski woli debatować nad współudziałem Polski w Holokauście i wysuwać roszczenia wobec państwa polskiego.

Wiem. Także i tu potrzebna jest postawa ofensywna, a nie defensywna. Polska nie może być osamotniona w tej walce, bo straci wiarygodność.

W debacie wokół reparacji za Odrą zawsze pojawia się argument, że Niemiec nie stać na ten prawie bilion euro, którego Polska się domaga, a za Polską ustawią się kolejne państwa w kolejce i płaceniu nie będzie końca.

Niemiecki potencjał gospodarczy jest tak duży, że spokojnie udźwignie reparacje. Niemcy wydały na integrację byłego NRD 1,2 bln euro na przestrzeni 20 lat. To nie był żaden problem. Usunięto w ten sposób strukturalne deficyty nowych landów, które inaczej wpłynęłyby negatywnie na wzrost gospodarczy zjednoczonych Niemiec. Wypłata tym krajom europejskim, które najbardziej ucierpiały pod niemiecką okupacją, szczególnie tzw. małym aliantom, nie powinna więc być problemem. Nie wywołałoby to żadnego kryzysu w Niemczech. Oczywiście reparacje nie muszą być wyłącznie finansowe. Można sobie wyobrazić wsparcie dla zniszczonych przez Niemcy miast, transfer technologii, udział kapitałowy. Wiele ofiar III Rzeszy żyje dziś w biedzie. Niemieckie państwo powinno wypłacać im renty czy emerytury. Ale o tym będziemy mogli mówić dopiero w chwili, gdy uda się skutecznie wywrzeć presję na Berlin, w ramach szerszej europejskiej lub międzynarodowej inicjatywy. Polska potrzebuje sojuszników w tej walce. Inaczej niczego nie uzyska.

Jest jeszcze taki problem, że obecny polski rząd jest niewłaściwy, zdaniem liberalnych elit, także tych w Waszyngtonie. Polacy chcą reparacji, bo nie lubią Niemców albo chcą grać jakimiś resentymentami na rynku wewnętrznym. Jak to przeskoczyć?

To właśnie zarzucają mi rzesze niemieckich, i nie tylko, historyków. Że wspieram polskich prawicowych populistów oraz ich niecne zamiary. Jak nie ma już innych argumentów, to sięga się po pałkę polityczną. A ja jestem starym lewakiem. To jest oczywiście tylko pretekst, by nie musieć się pochylić nad słusznymi żądaniami Polski. Dosyć żałosny zresztą.

Czy jakikolwiek kraj, który ubiega się o reparacje od Niemiec, ma obecnie szanse je otrzymać, choćby tylko w części?

Grecja. Tak zwany przymusowy kredyt udzielony przez Grecję Trzeciej Rzeszy w czasie wojny zostanie prawdopodobnie zwrócony. Liczę na to, że zostanie to uchwalone przez nowy Bundestag. Bo greckie lobby ma silną reprezentację u Zielonych. Zapewne Zieloni będą próbowali wpisać to także do umowy koalicyjnej. Może to pozytywnie wpłynąć na kwestię polskich roszczeń, ale tylko jeśli raport o stratach wojennych Polski zostanie opublikowany. Okienko jest wąskie i tak samo szybko, jak się otworzy, może się z powrotem zamknąć. Nie można zaprzepaścić tej szansy.

eprasa.pl 31955fcd36

Fot. Tricolors/East News

„Wesele" Smarzowskiego,

czyli ekranizacja Grossa i Grabowskiego

Wojciech Smarzowski nakręcił film o Polakach dziś i Polakach z czasów wojny. Udała mu się niesłychana rzecz – przedstawił nas wszystkich bardziej pogardliwie niż reżyserzy filmowi Josepha Goebbelsa

JAKUB AUGUSTYN MACIEJEWSKI

Nawet lewicowi krytycy nie mają odwagi jednoznacznie pochwalić „Wesela" jako dobrego filmu. Piszą, że jest „ważny", „odważny" i „ostry", ale nikt nie stwierdzi, że nowy film Smarzowskiego to udane dzieło. Trudno, żeby docenić walory artystyczne – obraz z 2021 r. czerpie zbyt wiele wątków z „Wesela" z 2004 r. Zdemoralizowani, prymitywni Polacy, ojciec panny młodej robiący przekręty w biznesie i trzymający gotówkę w swoim sejfie w gospodarstwie, wszędzie seks, zdrady małżeńskie, pijani w sztok goście, przekleństwa. Jeden wyjątek – Tomasz Raczek, krytyk filmowy, stwierdził, że Smarzowski stworzył dzieło na miarę... Stanisława Wyspiańskiego. Dziennikarzowi pewnie chodzi o to, że w filmie pojawiają się zjawy z polskiej przeszłości, np. Dmowski i Piłsudski, którzy ni z tego, ni z owego wypowiadają jedno ze swoich, oklepanych już dzisiaj, mott. Jednak doklejenie aktorowi wąsów i wsadzenie mu rogatywki na głowę to chyba za mało, by porównywać Smarzowskiego do Wyspiańskiego.

NIEZGODNOŚĆ Z HISTORIĄ

Tymczasem problem z kuriozalnością tego filmu jest inny. Ten obraz jest do bólu zakłamany, skrajnie nierealistyczny, a wszystkie te fałsze i łgarstwa historyczne są kinową wersją książek Jana Tomasza Grossa, Jana Grabowskiego i Barbary Engelking. Twórcy nowego „Wesela" jakby w paranoicznym amoku chcieli umieścić w 130-minutowym obrazie wszystkie najbardziej niewiarygodne tezy tych autorów, którzy już zasłynęli z nierzetelności, a nawet fałszowania źródeł historycznych. Nic tam się nie klei historycznie, a sceny przypisujące Polakom prymitywizm,

eprasa.pl 31955fcd36

antysemityzm, złodziejstwo, prostytuowanie się, rasizm, zachłanność, prostactwo są łopatologiczne, jednoznaczne, bez cienia niuansowania.

Film opowiada o współczesnym weselu, organizowanym przez ojca panny młodej (Robert Więckiewicz), w którym nic się nie uda, wszystko popsuje polska, ubabrana w historycznym gnoju przeszłość. Na pierwszy plan wysuwa się dziadek panny młodej, w mundurze weterana, który przypomina sobie wojenne sceny wprost wyjęte z „Sąsiadów" Grossa czy publicystyki Grabowskiego i Engelking. Polacy w filmie są gorsi od Niemców, Ukraińców, Azjatów, właściwie są równi świniom, a może jeszcze gorsi?

Kiedy weteran idzie na mszę ślubną, współczesne kazanie (zniekształcona homilia abp. Jędraszewskiego o „tęczowej zarazie") przeplata mu się z przedwojennymi kazaniami o konieczności gnębienia Żydów. Stojący w miasteczku oenerowcy egzekwują wskazania księdza i nie pozwalają kupować u Żydów. To skrajnie przerysowany obraz przedwojennego społeczeństwa. Owszem, narodowcy i część katolików zachęcali do kupowania w polskich sklepach, ale nie sięgało to poziomu wydawania instrukcji podczas mszy św. ani pilnowania tych zaleceń. To tak jakby dzisiejsze apele, by „kupować polskie", potraktować w przyszłości jako przejaw nacjonalizmu – choć kto wie, co jeszcze nam wymyślą chorzy z nienawiści salonowi autorzy.

Także życie codzienne jest przerysowane – Żydzi są mądrymi, studiującymi Torę, schludnymi i czystymi mieszkańcami, a Polacy to prymitywy skaczące wokół świni podczas jej ubijania jak małpy albo ujeżdżające ją jak konia.

SMARZOWSKI OBWINIA POLAKÓW ZA JEDWABNE

Miasteczko Smarzowskiego w wersji współczesnej jest podobne do tego z przeszłości – tu Polacy prowadzący ubojnię świń potrafią z nimi tańczyć, filmować je i cieszyć się z prymitywnej zabawy. Ojciec panny młodej z satysfakcją nakazuje, by zaaranżowano sytuację, w której knur rozpłodowy gwałci polskiego neonazistę, który go szantażował. Powtórzmy: świnia gwałci weselnego gościa z wytatuowaną na plecach swastyką, bo ten próbował szantażować gospodarza.

Tymczasem dziadek weteran przypomina sobie kolejne sceny z przeszłości. Rok 1939 – wkraczają Sowieci i rosną napięcia polsko-żydowskie, a jeden z żydowskich sąsiadów pomaga w aresztowaniu chłopów przez NKWD. Rodzina głównego bohatera jednak nie jest wywieziona na Sybir, bo wkraczają Niemcy. W wersji Smarzowskiego Polacy nie myślą o niczym innym, jak tylko o zrobieniu pogromu na Żydach. Gdy przychodzą Niemcy, to zaledwie pomagają w ustaleniu szczegółów organizacji zbrodni. Obrazu Niemców w „Weselu" nie powstydziliby się w Ministerstwie Propagandy III Rzeszy. U Smarzowskiego to ludzie kulturalni, porządni, trzymają się na uboczu. W roku 2021 – zostali wciągnięci w aferę ojca panny młodej, są ofiarami prymitywnego polactwa. W roku 1941 – jedynie nadzorują naradę Polaków nad mordowaniem Żydów. Wieśniacy są tu ochotnikami, nadgorliwymi, brutalnymi, w strasznej scenie spędzania Żydów do stodoły biorą udział kobiety i dzieci. Gdy Polacy pałkami biją swoich żydowskich sąsiadów, Niemcy siedzą kulturalnie w tle i rozprawiają o muzyce Richarda Wagnera. W scenie podpalania stodoły u Polaków widać nawet karabiny – to punkt szczytowy zakłamania w „Weselu", bo przecież Polacy byli jedynie o szczebel wyżej od Żydów w niemieckiej hierarchii i nie mogli mieć broni. Wreszcie wiemy dziś, że Niemcy organizowali mordy od początku do końca, a kwestią sporną jest, w jakim stopniu wykorzystywano do tego Polaków. Dla reżysera to jednak nieważne – wszak swojej nienawiści można dać upust w totalny sposób.

> W scenie podpalania stodoły u Polaków widać nawet karabiny – to punkt szczytowy zakłamania w „Weselu", bo przecież Polacy byli jedynie o szczebel wyżej od Żydów w niemieckiej hierarchii i nie mogli mieć broni

Smarzowski jest wiernym uczniem Grossa – chce pokazać, że to odwieczny i immanentny antysemityzm Polaków doprowadził do Holokaustu, a Niemcy jedynie na to pozwalali. To samo powtarzają Grabowski i Engelking, a ich prymusem chce być reżyser „Wesela".

Kuriozum goni tu kuriozum – Polacy w filmie zdają się nie wiedzieć, że trwa okupacja, że właśnie wkroczyli kolejni zbrodniarze, a Niemcy pozwalają im nawet na używanie broni! Problem polega na tym, że taką wersję wydarzeń mogą kolportować tylko badacze już wielokrotnie oskarżani o kłamstwa. W filmie nie ma polskiego strachu przed Niemcami, nie ma przymusu okupacyjnego, nie ma trwogi wojny – jest jedynie polska nienawiść do Żydów. Brat głównego bohatera chce nawet jechać na drugi pogrom – do Jedwabnego. Stworzenie przez Smarzowskiego takich osobliwych turystów zbrodni to kolejny wymysł zawziętej wyobraźni.

POWTÓRZENIE TEZ Z KSIĄŻEK

Smarzowski skrupulatnie przenosi tezy Grabowskiego na ekran. Gdy główny bohater chce ratować Żydów, to musi to robić w tajemnicy przed Polakami, nawet najbliższymi, musi też bić innych Żydów, by uratować innych. Sam wcześniej wskazał Niemcom Żyda, którego okupanci zabili. Mądrzy i przenikliwi Żydzi proponują bohaterowi pieniądze za ratunek, a potem przysyłają mu ukrywaną Żydówkę, by się z nim przespała w ramach podziękowań. To właśnie towarzystwo prof. Engelking powtarza, że Polacy bardziej mordowali Żydów, niż im pomagali. Gross twierdzi, że ukrywanie sąsiadów odby-

10/1021/F

eprasa.pl 31955fcd36

wało się w strachu nie przed Niemcami, ale przed innymi Polakami. Grabowski twierdzi, że Żydzi byli bezpieczniejsi w gettach i obozach koncentracyjnych niż poza nimi – przez Polaków. To właśnie sugeruje Smarzowski, gdy ukochana głównego bohatera pisze mu po latach list, że przetrwała w obozie zagłady w Auschwitz, bo od niego samego musiała uciec, by przetrwać. Można teraz zrozumieć, dlaczego autorzy wspomnianych książek o Holokauście unikają debaty z historykami, np. z IPN. Kilka prostych pytań od zawodowych badaczy przewróciłoby ich wnioski wynikające z zafałszowanych i nieumiejętnie odczytanych źródeł.

Obraz przeszłości w filmie nie jest mniej obrzydliwy niż współczesny. Ojciec panny młodej dowiaduje się, że jest adoptowany, a potem sprawdza, że jego biologiczną matką jest komunistyczna sędzia. Smarzowski wielokrotnie w ten sposób zaczepia prawicę – bo na salonach obowiązuje wersja, że Prawo i Sprawiedliwości prowadzi politykę lukrowania narodowej przeszłości, więc trzeba ją najbardziej zohydzić. Dlatego dziadek załatwia się w spodnie munduru weterana, dlatego prymitywne zabawy weselne przypominają ułańskie szarże, a obraz Jana Pawła II służy jedynie jako schowek dla sejfu. Nawet plakaty polityczne wiszące na drugim planie przypominają swoją estetyką kampanię wyborczą Prawa i Sprawiedliwości. W „Weselu" także dzieci są skażone tą brudną polskością – opowiadają antysemickie i rasistowskie wierszyki. Reżyser kieruje z filmu strumień jakiejś histerycznej żółci na wszystkich Polaków – ksiądz homofob okazuje się gejem, pan młody kibolem zadającym się z neonazistami, sekretarka za pieniądze uprawia seks z niemieckim biznesmenem, żeby go skompromitować, a polscy robotnicy nienawidzą Ukraińców, bo ci lepiej pracują.

Puentą filmu jest scena, w której okazuje się, że zakład rzeźniczy ojca panny młodej stoi na miejscu zbrodni – zatrudnieni nielegalnie Azjaci wykopują stamtąd szczątki pomordowanych Żydów. Smarzowski krzyczy więc, wcześniej pokazując błoto, brud i seks ze świnią, że Polacy są odpowiedzialni za Holokaust.

Te obrazy są mocne, napastliwe, jednoznaczne i zakłamane. Być może na kogoś podziałają, być może kogoś przekonają. Odpowiedzią na ten zakłamany obraz nie może być jednak inne kłamstwo ani cukierkowa historia o idealnych Polakach – nie pusta złość, nie wulgarna krytyka, nie toporne wyjaśnienia Sumlińskiego. Zwłaszcza że Smarzowski wykonał po prostu propagandowego produkcyjniaka, tyle że nie zrobił tego pod niemieckim przymusem, ale z gorliwością, którą włożył w charaktery swoich bohaterów. Nienawiść to jednak szalenie smutna przypadłość. Nam przynajmniej łatwiej teraz zrozumieć hasło Polskiego Podziemia kolportowane w okupowanych przez Niemców miastach: „Tylko świnie siedzą w kinie".

REKLAMA

eprasa.pl 31955fcd36

W Polsce brak wiarygodnych badań rynku radiowego

Obecne ataki na Polskie Radio są moim zdaniem związane m.in. z podniesieniem przez nas sprawy wiarygodności badań słuchalności. To jest w istocie sondaż telefoniczny prowadzony wśród posiadaczy telefonów komórkowych i obejmujący w praktyce wyłącznie miasta powyżej 100 tys. mieszkańców. Stoi za tym KBR – Komitet Badań Radiowych, czyli ciało prowadzone przez cztery firmy: Radio RMF, Radio Zet, Agorę oraz ZPR

eprasa.pl 31955fcd36

Jacek Karnowski rozmawia z Agnieszką Kamińską, prezes Polskiego Radia

Jaki jest pani pomysł na Polskie Radio? Jaką funkcję powinno pełnić w świecie mediów społecznościowych, silnych rozgłośni komercyjnych, wszechobecnej informacji?

Agnieszka Kamińska: Musimy i chcemy oferować słuchaczom przede wszystkim to, czego w stacjach komercyjnych nie znajdą. Dbamy o kulturę narodową, o pamięć, o tożsamość. Odnosimy się do naszej polskiej wspólnoty. To ona jest w centrum naszych audycji, dyskusji, programów informacyjnych. I także w centrum tych form radiowych, których prawie nikt poza nami nie robi, a więc reportaży, słuchowisk, koncertów. Promujemy muzykę polską, a także muzykę poważną. Szeroko relacjonujemy takie wydarzenia jak Konkurs Chopinowski.

Stacje komercyjne też pewnie poinformują, kto wygrał Konkurs Chopinowski.

Ale niewiele więcej. A my w PR2 transmitujemy na żywo przesłuchania, a na pozostałych antenach omawiamy najważniejsze wydarzenia. Stacje komercyjne to najczęściej po prostu komercyjna muzyka, didżej i bardzo mało słowa. To jest dość proste, to jest tanie. Słowo jest drogie i słowo jest też trudne, również dla słuchacza. Czasy są coraz szybsze, coraz bardziej dynamiczne i ludziom coraz trudniej się skupić.

Polskie Radio chce wychowywać?

Dostarczamy rzetelnych informacji oraz dobrej jakości rozrywki i wysokiej kultury. Współuczestniczymy w budowaniu naszej wspólnoty i tożsamości narodowej, czyli realizujemy opisaną w aktach prawnych misję nadawcy publicznego. Nie jesteśmy po to, by na dostarczaniu taniej rozrywki zarabiać albo bawić się informacją. Polskie Radio musi się wyróżniać poważnym stosunkiem do rzeczywistości, do naszego państwa. Musi pamiętać o ważnych rocznicach. Dlatego wydajemy specjalne albumy oparte na naszych archiwach, choćby ten o Bitwie Warszawskiej, nagrodzony Feniksem. Tę historyczno-tożsamościową serię wydawniczą zapoczątkował kilkanaście lat temu ówczesny prezes Polskiego Radia Krzysztof Czabański albumami „Katyń 1940" i „Wołyń 1943". W zeszłym roku upamiętniliśmy w ten szczególny sposób śp. Lecha Kaczyńskiego i inne ofiary katastrofy smoleńskiej. Za chwilę pojawi się album poświęcony 40. rocznicy wprowadzenia stanu wojennego. Tam będą prawdziwe perełki, np. mowa śp. Jana Olszewskiego w czasie procesu zabójców bł. ks. Jerzego Popiełuszki. Będzie też wydawnictwo poświęcone wojnie obronnej we wrześniu 1939 r., a w nim mowy ministra Becka, prezydenta Starzyńskiego, komunikaty władz, relacje korespondentów. To będzie rarytas, ale także cenna pomoc choćby dla nauczycieli. W dobie zakłamywania historii te dźwiękowe dowody, zapisane w nich emocje, są bezcenne. Wiemy, że nikt inny tego nie zrobi.

> W Polsce wiele stacji mówi po polsku, a dla nas jest bardzo ważne, żeby po polsku myśleć. Kultura, społeczeństwo, informacja, debata – to wszystko ma krążyć wokół naszej wspólnoty, ona ma być głównym punktem odniesienia

Polskie Radio wyraźnie rozszerza swoją działalność. To już nie tylko cztery główne anteny, to także liczne wydawnictwa, koncerty, akcje społeczne, specjalistyczne serwisy, kolejne anteny w internecie lub w nadawaniu cyfrowym. Celem jest zbudowanie swoistego centrum debaty i pamięci?

Tak, to świadome działania. Anten cyfrowych jest już w sumie dziewięć i będą kolejne. W Polsce wiele stacji mówi po polsku, a dla nas jest bardzo ważne, żeby po polsku myśleć. Kultura, społeczeństwo, informacja, debata – to wszystko ma krążyć wokół naszej wspólnoty, ona ma być głównym punktem odniesienia. Ale umiemy też nieść pomoc, np. emitujemy serwisy informacyjne po białorusku.

Jesteście jednak rozliczani, przynajmniej przez media, przede wszystkim z wyników słuchalności głównych anten. Macie dbać o kulturę, ale także walczyć o słuchacza.

Każdy słuchacz jest dla nas cenny, ale równie ważne jest dla nas, by polska kultura, polska myśl, debata o Polsce, były obecne na naszych antenach. By Polacy mieli w ogóle szansę skorzystania z takiej oferty. Wyniki tzw. słuchalności – o ile byłyby rzetelne – powinny być dla nas cennymi wskazówkami, powinny nas motywować, dostarczać wiedzy o odbiorcach. Jednego nie możemy zrobić: tworzyć programu, który ma wyłącznie wprowadzać w dobry nastrój. Polskie Radio nie może pójść taką drogą. Dlatego np. nasze serwisy muzyczne nie mają podkładu muzycznego, który podbija emocje.

Ta muzyka pod informacją ma ułatwić manipulowanie emocjami odbiorców?

Skupiamy się na przekazie czystym, niezmanipulowanym. Dla nas najważniejsze są fakty, rzetelność, obiektywizm. To zresztą przynosi rezultaty. Polskie Radio notuje ostatnio rekordowe wskaźniki cytowalności. Jesteśmy także bardzo silnie obecni w mediach społecznościowych. Nasze rozmowy są prezentowane także w formie wideo, także w postaci krótkich klipów. One później żyją, także w telewizjach, w innych mediach, są przywoływane.

Jak to jest, że tyle robicie, choćby w sferze kultury, pamięci, tożsamości – a w mediach komercyjnych

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 31955fcd36

Fot. Andrzej Wiktor

o Polskim Radiu mówi się wyłącznie źle? Nawet tzw. media branżowe, opisujące życie mediów, nie znajdą dobrego słowa nawet w odniesieniu do konkretnych działań. Nie lubią was? To jakiś rodzaj nieformalnej cenzury?

Ataki na Polskie Radio trwają od lat, ale szczególnie gorąco zrobiło się mniej więcej od półtora roku. Moim zdaniem jest to związane z wieloma zmianami i projektami, które uruchamiamy, oraz podniesieniem przez nas sprawy wiarygodności badań słuchalności. Zaczęliśmy wskazywać, że to, co uchodzi za miernik popularności poszczególnych stacji, jest w istocie ankietą telefoniczną, prowadzoną wyłącznie wśród posiadaczy telefonów komórkowych. Stoi za tym KBR – Komitet Badań Radiowych, czyli ciało prowadzone przez cztery firmy: Radio RMF, Radio Zet, Agorę oraz ZPR.

Nie ma tam Polskiego Radia?

Mamy tzw. status obserwatora nadany przez te cztery podmioty. Co ciekawe, KBR nie ma żadnej osobowości prawnej, to jest umowa czterech firm. To coś, czego nie sposób kontrolować. To werdykty, które zapadają w mało transparentny sposób, od których nie ma odwołania. Gdy słyszymy: „Komitet Badań Radiowych", mamy wrażenie, że to poważna instytucja. A w istocie to umowa pomiędzy właścicielami firm zarabiających na pozyskiwaniu reklam.

Największe stacje radiowe same sobie mierzą słuchalność?

Tak. KBR zleca badania, które są być może robione rzetelnie. Ale są robione według określonych wskazań co do próby, pytań, lokalizacji odbiorców. A gdy podnosimy tę sprawę, to słyszymy, że chcemy stłuc termometr, bo mamy nie takie wyniki, jakich byśmy sobie życzyli. A przecież tu chodzi o coś więcej, o sprawę zasadniczą: o to, byśmy nie funkcjonowali w świecie fikcji. Te wyniki kształtują rynek nie tylko ogólnopolski, ale także ten lokalny, regionalny, religijny, społeczny. Cały świat radiowy oparty jest na czymś, co w istocie jest sondażem pokazującym poziom znajomości czy popularności poszczególnych marek.

W świecie radia nie ma żadnych badań telemetrycznych?

W Polsce nie ma pomiarów telemetrycznych słuchalności stacji radiowych. Jest tylko sondaż telefoniczny, i to obejmujący w praktyce wyłącznie miasta powyżej 100 tys. mieszkańców. Te wyniki następnie się sztucznie „doważa"; to, co widzimy, to nie są pierwotne wyniki. Mamy co do tej metodologii ogromne wątpliwości. Polskie Radio na tym bardzo dużo traci, bo choć jest słuchane i w mieście, i na wsi, to na pewno jest bardzo silne w mniejszych miejscowościach, także wśród rolników. Poza tym to narzędzie, które jest, ma wyjątkowo nieprecyzyjny charakter. Jeśli jakaś stacja lokalna dominuje w jakimś niewielkim mieście, to badanie KBR tego nie wykaże.

Może jednak naprawdę chcecie stłuc termometr? Metodologia jest taka sama od lat i teraz wykazuje, że niektóre anteny Polskiego Radia tracą słuchaczy.

Jeśli zaczniemy mówić, że jakiś samochód jest brzydki, to po pewnym czasie tak nam wyjdzie z sondażu opinii publicznej. Tu działa podobny mechanizm: Polskie Radio jest bardzo ostro i brutalnie atakowane, a później robi się sondaż i mówi: no widzicie, nie lubią was, nie słuchają. Kreowanie presji medialnej, budowanie złej atmosfery wokół nadawcy publicznego tworzy otoczkę, która później odbija się na rzekomych wynikach słuchalności.

„Spirala śmierci"? Polskie Radio jest oszukiwane przez swego rodzaju kartel, protestuje, to dalej nakręca ataki, a w finale ataki zbijają wynik w sondażowym badaniu?

Dokładnie tak. To chwilami jest wręcz groteskowe: obok siebie dwie publikacje, w jednej atak na Polskie Radio, w drugiej wychwalanie pod byle pozorem stacji komercyjnych. Rzecz jasna ma to także poważne skutki reklamowe, finansowe. Ostatnio przy okazji dyskusji o DAB+ (PR jest tu liderem i rozwija ten standard, za co komercyjni nadawcy nas nie kochają) Jan Dworak, były szef Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji, powiedział, że nadawcy komercyjni mają już podzielony rynek i nie chcą nim się dzielić. Podobnie jest z tzw. badaniami słuchalności. KBR podzielił rynek między siebie i tego stanu rzeczy broni. Z tego samego powodu najwięksi nadawcy nie chcą cyfryzacji radiofonii. Zwiększyłaby się konkurencja, a poza tym słuchalność byłaby liczona bardzo precyzyjnie.

Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji od kilka lat pracuje nad własnymi badaniami oglądalności i słuchalności, które ma uwzględniać także internet. Efektów nadal jednak nie ma.

Wspieramy te prace, ale także sami podejmujemy inicjatywy. Polskie Radio

eprasa.pl 31955fcd36

i Audytorium 17 powołały MOC – Media Owners Committee, czyli Związek Pracodawców Mediów Radiowych. To struktura, która ma nadzorować badania słuchalności. Chcemy opracować także nowy standard badań, transparentnych, szerokich, obiektywnych. I to nie jest daleka perspektywa, pierwsze badania – tzw. założycielskie – są już prowadzone. Będą to badania panelowe, ankietowe i dzienniczkowe. Na rzecz transparentności działają również ci, którzy zlecają reklamy, a którym zależy na precyzyjnych danych, na najlepszych sposobach dotarcia do odbiorców, do potencjalnych klientów.

Ale ma pani jasność, co się stanie, gdy opublikujecie własne badania?

Tylko że nowy standard badań to nie mają być badania „nasze". To mają być badania wszystkich i dla wszystkich. Realizowane przez MOC Radiowy, do którego może przystąpić każdy nadawca. Rzetelne, transparentne i nadzorowane przez uczestników rynku. Ale wiem, że padną salwy z dział pod hasłem, że to badania, których rynek nie uznaje. Ale tych badań, które są obecnie, międzynarodowy rynek reklamy także nie uznaje. Są dokumenty, w których pada wprost stwierdzenie, że w Polsce nie ma wiarygodnych badań rynku radiowego. A np. Jakub Bierzyński, szef firmy OMD, stwierdza, że domy mediowe od dawna nie posługują się badaniami słuchalności rynku radiowego jako kryterium podziału budżetów reklamowych. Obraz rynku radiowego jest zdeformowany, zafałszowany. Skoro Polskie Radio rzekomo nic nie znaczy, dlaczego jest tak wściekle atakowane? Dlaczego niemal wszystkie nasze ruchy spotykają się z błyskawiczną odpowiedzią konkurencji, która stara się naśladować bądź kopiować nasze działania?

Polskie Radio jednak łatwo atakować, choćby za sprawę Trójki. Czy to naprawdę musiało się tak skończyć?

W przestrzeni medialnej funkcjonuje wiele nieprawd i manipulacji na temat zmian, które zaszły w Trójce, ich przyczyn i konsekwencji. Części z nich jest specjalnie preparowana, żeby przyprawić Trójce gębę i na tych przekazach budować nowe komercyjne przedsięwzięcia. Czy pewne zdarzenia musiały zaistnieć? W mojej ocenie nie były przypadkowe. Przez lata wytworzyła się pewna grupa, która w sposób nieformalny starała się kontrolować antenę.

> Chcemy opracować nowy standard badań: transparentnych, szerokich, obiektywnych. I to nie jest daleka perspektywa, pierwsze badania – tzw. założycielskie – są już prowadzone. Będą to badania panelowe, ankietowe i dzienniczkowe. I to nie są „nasze" badania

Część dawnego zespołu podjęła decyzję o odejściu, bo już wcześniej planowała budowanie innych formatów. I wprawdzie te osoby dużo mówiły o przywiązaniu do Trójki, do Polskiego Radia, ale finalnie najważniejsze okazały się interesy i ambicje. Opuścili zespół, a przy okazji zrobili wiele, żeby zaszkodzić całej rozgłośni.

Skoro nie my rządzimy, to niech wszystko się zawali?

Tak, jak nie my, to trzeba zawalić. Teraz po czasie docierają do nas takie sygnały, że wiele spośród osób, które wtedy odeszły, chętnie by wróciło. My w każdym razie rozwijamy Trójkę. Jest młody zespół, powstają nowe audycje. Istotą Trójki zawsze była zmiana. Można wskazać ważne daty: 1968, 1976, 1982 rok...

...wtedy przyszły kadry szczególnie miłujące wolność i demokrację.

Teraz też mamy zmiany. A kierunek ataku jest taki: skoro nas już nie ma w Trójce, to znaczy, że Trójki nie ma. To absurd. Najczęstszy zarzut nam stawiany da się sprowadzić do hasła: zabraliście mi radio mojej młodości. Nie brakowało prowokacji, pewne zdarzenia nie były przypadkowe. Jest Trójka w nowym wydaniu, coraz lepsza, z dobrymi perspektywami. Dostajemy coraz więcej głosów słuchaczy: „Po latach wróciłem do słuchania Trójki".

Może błędem jest próba budowania Trójki według dawnego wzoru, dawnej matrycy? Może trzeba zrobić zupełnie nowe radio, np. skupione na sporcie?

Ale my to właśnie robimy, a o każdym pomyśle można rozmawiać. Mamy pomysł na radiową Trójkę i mamy zespół, który jest ze słuchaczami. Wiem też, że każdy nasz ruch będzie atakowany – że albo za gwałtowny, albo zbyt rewolucyjny, ale to mnie nie zniechęci, nie zastraszy. Staramy się działać roztropnie, także w Jedynce, którą zmieniamy konsekwentnie, ale bardzo ostrożnie, z szacunkiem dla dorobku tej anteny. Chcemy Polskiego Radia, które prezentuje doskonałą polszczyznę, które gra muzykę poszerzającą horyzonty, które pokazuje złożoność świata, które rozwija słuchaczy.

Dlaczego Polskie Radio jest instytucją tak trudną do zmiany? Opór różnego rodzaju struktur nieformalnych jest tu chyba nawet większy niż w TVP.

Tak, to było miejsce bardzo szczególne, z licznymi zaszłościami. Ale idziemy w dobrą stronę. Rekompensata abonamentowa zapewniła nam stabilne finansowanie. Mamy wspaniały zespół (dziennikarzy, wydawców, realizatorów, techników i wiele innych osób). W czasie pandemii nie tylko nie zwalnialiśmy dziennikarzy i nie obniżaliśmy pensji, ale stworzyliśmy nową antenę – Polskie Radio Kierowców, które właśnie świętuje swoją pierwszą rocznicę. Dbamy o naszą zasadniczą misję: troszczymy się o społeczeństwo, budujemy wspólnotę, rozwijamy kulturę, dbamy o debatę. I jestem pewna, że rzetelne wyniki słuchalności potwierdzą, że słuchacze to doceniają.

eprasa.pl 31955fcd36

Skrajny indywidualizm rozwala nam państwo

Jak można zbudować europejskie sprawiedliwe państwo, przyjazne młodym, na systemie, w którym bogaci płacą radykalnie niższe podatki niż ludzie, którzy utrzymują się z pracy?

Z Janem Śpiewakiem, socjologiem, publicystą, pisarzem, przewodniczącym stowarzyszenia Wolne Miasto Warszawa, wiceprzewodniczącym stowarzyszenia Energia Miast, rozmawia Dorota Łosiewicz

Czy już pan poczuł na sobie złość fanek Ewy Chodakowskiej? Zarzucił pan trenerce Polek, że została patodeweloperem, inwestując w „osiedle szeregowej zabudowy pośrodku niczego na dawnym łanie".

Jan Śpiewak: Fanki jeszcze mnie nie zaatakowały, ale dostałem telefon od menedżerki pani Chodakowskiej, po tym jak skomentowałem kwestię jej osiedla na przedmieściach Sanoka. Miałem dostać plany osiedla, ale jakoś nie dostałem. Sam więc trochę po-

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 61955fcd

szperałem, zlokalizowałem inwestycję. Miejsce jest rzeczywiście piękne, bo to jest w zakolu Sanu. Problem polega jednak na tym, że to taka typowa polska patodeweloperka. Nawet nie ma tam kanalizacji, choć oczyszczalnia ścieków jest 500 m dalej. Od razu więc współczuję przyszłym lokatorom zapachów. Mamy podłużną, dawną działkę rolną i tam będzie osiem szeregowców, domy będą obok siebie. W cywilizowanym państwie tak się po prostu nie buduje. Wystarczy przekroczyć granicę, żeby zobaczyć, co to jest normalna zabudowa – z usługami publicznymi, siecią dróg, podzielonymi normalnie działkami, które tworzą sieć ulic. Najlepiej żeby jeszcze do takiego miejsca docierał transport publiczny. W takich miejscach się buduje. Niestety Polska to urbanistyczna dzicz.

Patodeweloperka w Polsce ma różne oblicza. Są mieszkania klitki, poczwórne szeregowce bez ogródków, wnętrza sprzedawane bez ścianek działowych, oferty mieszkań w piwnicach. Dlaczego ludzie to kupują?

Nie mają wyjścia. Ceny w Warszawie są patologiczne. Ludzie przeprowadzają się tam, gdzie ich na to stać. W ogóle w Polsce brakuje mieszkań. Są różne, dość rozbieżne szacunki. Wynika z nich, że deficyt mieszkań wynosi 1–3 mln. Polacy żyją w przeludnionych, najbardziej zagęszczonych przestrzeniach w Europie. Wiele polskich budynków nie spełnia żadnych standardów. Spójrzmy na Łódź. Ok. 20 tys. mieszkań nie ma łazienek. Mieszkań jest za mało, te, które są, są zdegradowane. I wreszcie mieszkań brakuje tam, gdzie ludzie migrują. Wciąż 42 proc. Polaków mieszka na wsi, a to bardzo dużo w porównaniu z Europą. Ta liczba będzie spadać. Młodzi ludzie przenoszą się do większych ośrodków. Tam potrzebne są mieszkania, ale ich nie ma. A kiedy popatrzymy na strukturę zakupów, okazuje się, że połowa to zakupy pod inwestycję. Te mieszkania często więc nie trafiają na rynek, tylko stoją puste. Dlatego cokolwiek się w Polsce wybuduje, to się sprzeda.

A jak do tego dorzucimy pakietowe zakupy dokonywane przez fundusze inwestycyjne czy właścicieli galerii handlowych, to robi się bardzo ponuro. Ostatnio firma, która dotychczas specjalizowała się w galeriach handlowych, kupiła ok. 100 mieszkań w Krakowie i 541 mieszkań w warszawskich Włochach. Rząd przygotowuje rozwiązania, by taki zakup pakietowy ograniczyć. To w ogóle możliwe?

Wejście wielkich funduszy inwestycyjnych na rynek mieszkań to kolejny etap patologizacji tego rynku. Podmioty, które mają wielkie pieniądze, widzą na tym rynku szansę na wysoką stopę zwrotu. Czytałem szacunki, że w przyszłym roku inwestorzy wydadzą na to 7 mld euro. Czyli kupią jakieś 50 tys. mieszkań. Jeśli to miałoby się potwierdzić, to doszłoby do wielkiego zaburzenia rynku. Na Zachodzie ochrona praw lokatorskich jest dużo większa niż w Polsce. Jeśli np. w Niemczech ktoś decyduje się na wynajem mieszkania, to przez trzy lata nie można mu podnieść czynszu. Wyrzucenie kogoś z mieszkania, gdy regularnie płaci czynsz, jest praktycznie niemożliwe. U nas można wypowiedzieć umowę z miesiąca na miesiąc. Mówienie, że wejście wielkich funduszy ucywilizuje rynek najmu, jest po prostu kłamstwem. Czy fundusz, który ma 5 tys. mieszkań, będzie zainteresowany tym, jak się żyje pojedynczym ludziom w wynajmowanych mieszkaniach? Kiedy połączymy to z brakiem regulacji dotyczących ochrony lokatorów, to naprawdę dostajemy niezbyt ciekawą sytuację. A ceny mieszkań będą rosły, bo podaż mieszkań nie wzrasta. Na razie w Polsce zakup pakietowy nie jest jeszcze wielkim problemem. Większym jest windowanie cen przez polskich bogatych inwestorów, którzy wolą mieszkanie od lokaty w banku. Tacy ludzie kupują mieszkania za gotówkę, i to od razu kilka. Często ich nie wynajmują.

> Dziś mamy opodatkowaną pracę, ale nie kapitał, a dochody z kapitału rosną szybciej niż dochody z pracy. Jeśli ktoś ma trzy mieszkania, to zaraz będzie miał czwarte. Jeśli ktoś nie ma mieszkania, a żyje tylko z dochodu, jaki przynosi praca, to będzie wynajmować mieszkanie do śmierci

Problem zakupu pakietowego dotyczy nie tylko Polski. Berlińczycy obwiniali wielkie koncerny mieszkaniowe za windowanie cen najmu. Pojawiła się koncepcja uspołeczniania lokali i wywłaszczenia korporacji. Odbyło się referendum, a Niemcy opowiedzieli się za wywłaszczeniem korporacji mieszkaniowych. Może ograniczenie w Polsce zakupu pakietowego teraz pozwoli uniknąć problemów w przyszłości?

Oczywiście. Trzeba działać i uczyć się na błędach. W Berlinie ceny najmu w ostatniej dekadzie wzrosły dwukrotnie. A porównując do zarobków, Niemcy i tak mają lepiej, bo na mieszkania wydają mniejszą część dochodu niż Polacy. A mimo to wzrost cen najmu spowodował radykalne działanie mieszkańców Berlina. W stolicy Niemiec w ogóle było tak, że SPD, czyli liberalna lewica, na początku lat dwutysięcznych sprzedała mieszkania, które były własnością miasta. Po zjednoczeniu było mnóstwo mieszkań komunalnych. I teraz cena tych mieszkań jest trzy razy wyższa, więc nie wiadomo, czy samorząd Berlina będzie mieć pieniądze, by wywłaszczyć ćwierć miliona mieszkań. Poza tym nie jestem pewny, czy będą narzędzia prawne do wywłaszczenia. Właściciele nie mają obowiązku

eprasa.pl 31955fcd36

sprzedaży. Nim doszło do referendum, o którym pani mówi, Berlin wprowadził maksymalny poziom cen najmu. Niemiecki TK uznał, że to rozwiązanie niekonstytucyjne. Przykład Berlina pokazuje, że musimy uniknąć tych błędów i nie możemy dopuścić, by mieszkalnictwo weszło we władanie wielkiego zagranicznego kapitału.

Mam wrażenie, że ten proces już się rozpoczął. A dodatkowo ci, którzy skupują mieszkania pakietowo, bardziej niż wynajmem są zainteresowani ofertą typu bed & breakfast.

To jest właśnie „airbnbizacja" polskich atrakcyjnych miast. Kraków, Warszawa to jest horror. Pandemia trochę wstrzymała ten problem, ale wraz z powrotem gospodarki na normalne tory wszystko znów się rusza. Niestety w tym obszarze brakuje regulacji. Nie ma nic. Mój kolega wynajmował mieszkanie pod Dodą. Był to lokal na imprezy, w jednej z kamienic na Mokotowie. Jego życie to był horror. Nie mógł się wyspać, miał zszargane nerwy i nic z tym nie można było zrobić. Nawet gdy przyjeżdżała policja, to wręczała mandat tym ludziom, którzy się bawili, ale pani Doda była nie do ruszenia. Samorządy nie mają żadnych narzędzi, żeby walczyć z airbnb, czyli z najmem krótkookresowym. Wspólnoty też nie są w stanie się bronić. Jeszcze do niedawna sam wynajmowałem mieszkanie w kamienicy, gdzie nagle pojawiły się mieszkania airbnb z drzwiami wyposażonymi w kody, jak w hotelach, z obcymi ludźmi kręcącymi się po klatce. Oni nawet byli grzeczni, to nie to co z Dodą, która zamieniła ludziom życie w piekło. Ale koszty utrzymania takich mieszkań są wyższe. Wyższe jest zużycie wody, śmieci, trzeba częściej sprzątać itd. To jest świetny biznes, tylko prowadzony kosztem innych.

Jak się przed tym bronić?

Po pierwsze, konieczny jest progresywny podatek katastralny. Spekulację można zatrzymać tylko w ten sposób. Można wymyślać różne warianty, np. podatek katastralny od trzeciego własnościowego mieszkania lub od nieruchomości o wartości powyżej 2 mln zł. A może podatek od pustostanu? Lub podatki od najmu krótkookresowego. Najem jest bardzo nisko opodatkowany, to jest 8,5 proc. ryczałtowo. Trzeba dać wspólnotom i samorządom narzędzia, by mogły decydować, czy chcą mieć taki najem w kamienicy. W Paryżu mieszkanie w ramach airbnb można wynajmować tylko 100 dni w roku, w Kalifornii można w ten sposób wynająć mieszkanie, w którym się żyje, czyli pod najem krótkoterminowy można udostępnić przykładowo jeden pokój. Narzędzi jest sporo, ale politycy muszą chcieć podnosić podatki od kapitału. Dziś mamy opodatkowaną pracę, ale nie kapitał, a dochody z kapitału rosną szybciej niż dochody z pracy. Jeśli ktoś ma trzy mieszkania, to zaraz będzie miał czwarte. Jeśli ktoś nie ma mieszkania, a żyje tylko z dochodu, jaki przynosi praca, to będzie wynajmować mieszkanie do śmierci. Idea jest taka, by zmniejszyć różnicę między tymi, którzy żyją z pracy, a tymi, którzy żyją z kapitału. Etatowiec płaci na starcie 32 proc. podatku dochodowego, a podatek od najmu to 8,5 proc. Proszę więc zobaczyć, jakie tu mamy różnice. Przez to tworzy się rozwarstwienie. Społeczeństwo dzieli się na tych, którzy posiadają, i na tych, którzy pracują. Czysty powrót do feudalizmu. Bez powrotu do budowy mieszkań przez państwo lub wspierania przez państwo spółdzielni czy TBS-ów podaż mieszkań się nie zwiększy.

> Rozjazd między dobrem publicznym, dobrem wspólnoty a interesem indywidualnym opartym na własności jest tak przegięty w kierunku indywidualizmu oraz interesu jednostkowego, że to nam rozwala państwo

A dlaczego nie wyszło Mieszkanie+?

Sam Jarosław Kaczyński przyznał, że opór deweloperów był tak silny, że się nie dało. Może zabrakło woli politycznej. Przecież budownictwo mieszkaniowe nie jest tak skomplikowane, by średnio rozgarnięte państwo nie mogło sobie z tym poradzić. Najwięksi deweloperzy to nie są bardzo skomplikowani ludzie, a sobie radzą. Okazało się przy tym, że mają wielki wpływ na to, co dzieje się w samorządach i na szczeblu centralnym. A biznes jest niezwykle zyskowny. Jak zobaczymy, ile buduje się mieszkań deweloperskich, a ile społecznych, to proporcja jest 1:50. Deweloperzy nie mają dziś konkurencji. Zaoraliśmy budownictwo społeczne, spółdzielcze, komunalne. Samorządy nie chcą tego robić. Warszawa praktycznie nie buduje mieszkań komunalnych. I nie chodzi o brak pieniędzy czy gruntów, ale o to, by nie robić konkurencji deweloperom. Sytuację poprawiłoby oddanie do użytkowania pustostanów, których w Warszawie nie brakuje. Ale tego się nie robi.

Polski Ład ma jednak ułatwić młodym ludziom zakup mieszkania czy wybudowanie domu bez zezwolenia.

Dziś 70 proc. rodzin nie ma zdolności kredytowej, a 40 proc. jest w luce czynszowej. Zagwarantowanie przez państwo wkładu własnego do kwoty 100 tys. zł przez okres maksymalnie 15 lat pomoże tym najlepiej sytuowanym z tych 70 proc. Czyli pomoc dostaną najlepiej zarabiający, a nie ci w największej potrzebie. Ja nie mówię, by nie pomagać, tylko wskazuję na zawężenie pomocy na starcie. Po drugie, na nieco podobnej zasadzie działały programy Rodzina na swoim, Mieszkanie dla młodych. Te programy stymulują popyt, a nie zmieniają podaży, a to z podażą mieszkań jest największy problem. Jak więc przełoży się to na ceny? Popytowo, ceny wzrosną. To jest leczenie raka apapem. Co do 70-metrowych domów. My, jako społeczeństwo, płacimy dziś 70 mld zł rocznie za chaos przestrzenny. Jeśli więc zdejmujemy

eprasa.pl 31955fcd36

ograniczenia urbanistyczne, to chaos przestrzenny wzrośnie i koszty z tym związane także. Wystarczy przekroczyć granicę ze Słowacją czy Litwą, by zobaczyć, że polski model rozwoju urbanistycznego to coś niespotykanego na skalę europejską. W Europie własność to prawa i obowiązki. A w Polsce to tylko prawa. Bez obowiązków. Można sobie kupić łan na obrzeżach, jak pani Chodakowska, zamienić go na osiedle i nikomu to nie przeszkadza. Rozjazd między dobrem publicznym, dobrem wspólnoty a interesem indywidualnym opartym na własności jest tak przegięty w kierunku indywidualizmu i interesu jednostkowego, że to nam rozwala państwo. Dziwię się, że PiS, które ma na sztandarach państwowość, robi taki desperacki ruch. No ale skoro lobby deweloperskie torpeduje wszystko na poziomie państwowym, to może tylko desperacja zostaje. To rozwiązania krótkoterminowe, które niewielu pomogą, a w dłuższej perspektywie zaszkodzą wszystkim.

A jak zawalczyć o młodych, by to w Polsce widzieli swoją przyszłość?

Młodzi mają absolutnie przerąbane. III RP obiecywała, że wezmą kredyt, pójdą do pracy, będą zapieprzać, ale na starość nie umrą pod mostem. Niezbyt to było szczodre. Ale teraz ceny nieruchomości rozjechały się całkiem z zarobkami, doszło uśmieciowienie rynku, młodzi nie mogą nawet mieć zdolności kredytowej, nie są też w stanie odłożyć 100 tys. zł na wkład własny, więc stracili w ogóle szansę na jakąkolwiek stabilizację w postaci własnego domu. A bez własnego mieszkania mają perspektywę jak w Chile i Ameryce, czyli pracę aż do śmierci, bo z emerytury na wynajem już nie wystarczy. Emeryci dostają 60 proc. ostatniej pensji, a za 20 lat będą dostawać 20 proc. Pokolenie dzisiejszych 20-latków straciło szansę na awans i stabilizację życiową. Grozi im życie bez tej stabilności, bo będą musieli wynajmować za 1/3 pensji mieszkanie od człowieka, który w każdej chwili może ich wyrzucić. To są warunki rewolucyjne. Ale młodych jest bardzo mało, więc nie mają głosu w polityce. Wybory wygrywa się emerytami.

A mimo to np. lewica częściej mówi o rewolucji ideologicznej niż o problemach młodych.

Lewica obsługuje dziś nie słabszych, bo oni są przy PiS, a wielkomiejską klasę średnią, która jest zabezpieczona finansowo, i to, o czym mówimy, jest dla niej drugorzędne. Poza tym liberałowie z PO i lewica rządzą w wielu samorządach, ale nie widać alternatywnego programu. Młodzi ludzie mogą dziś głosować na partie skrajne lub antysystemowe. Dlatego wśród młodych najpopularniejsi są Hołownia i Konfederacja.

> Ostatecznie PiS wygra na Polskim Ładzie, bo ludzie poczują, że mają więcej w kieszeni. To zadziała jak 500+. Nikt nie wierzył, że to się uda, ale się udało

Trudno się spodziewać po liberałach alternatywnego programu, skoro gwiazdą Campusu Polska Przyszłości, czyli imprezy dla młodych, był Leszek Balcerowicz.

To klęska i klątwa Polski, że główna partia opozycyjna tkwi mentalnie w latach 90. I nic nie zrozumiała z tego, co wydarzyło się w ostatnich latach w Polsce i na świecie. Można sobie żartować i nazywać ich grupą rekonstrukcyjną Burbonów czy Unii Wolności, ale problem polega na tym, że oni chcą przywrócenia status quo, którego już nikt nie chce. Nawet ci, którzy z całego serca nienawidzą PiS.

Z jednej strony młodzi mają pod górkę, ale z drugiej w Polsce nie ma problemu bezrobocia. Wystarczy przejść się po mieście. Wszędzie ogłoszenia o pracę.

Ale nie ma mieszkań, wzięcie kredytu jest niemal niemożliwe, usługi publiczne są na niskim poziomie. Nawet jeśli rosną pensje, to ochrona zdrowia ledwo zipie. Ludzie leczą się prywatnie. Następuje też faktyczna prywatyzacja edukacji. Jeśli chcemy, by młodzi nie wyjeżdżali, to musimy odbudować sferę usług publicznych, by były one prawdziwie za darmo. To jest gwarancja sukcesu państwa. Nie da się tego osiągnąć przy degresywnym systemie podatkowym.

Trudno jednak sobie wyobrazić, że jakaś partia wygra wybory, zapowiadając wzrost podatków.

W ramach Polskiego Ładu PiS miało wprowadzić progresję podatkową, ale się z tego wycofało. Miało być wyższe opodatkowanie najbogatszych, nie będzie. Po wprowadzeniu Polskiego Ładu etatowcy będą płacić 9 proc. składki, a ludzie prowadzący działalność gospodarczą 4,9 proc. Progresji nie będzie, a szkoda, bo to jedyny rząd, który mógł to zrobić. Żaden inny nie opierał się w takim stopniu na sile ludzi żyjących z pracy właśnie, a nie z kapitału. Jak można zbudować europejskie sprawiedliwe państwo, przyjazne młodym, na systemie, w którym bogaci płacą radykalnie niższe podatki niż ludzie, którzy utrzymują się z pracy? Jestem np. przeciwnikiem liniowego podatku od jednoosobowej działalności gospodarczej. Pani sprzątaczka z małym dochodem powinna płacić niższy podatek niż lekarz, który zarabia 40 tys. zł miesięcznie. A oboje płacą takie same podatki. To jest absolutnie niesprawiedliwe i niszczy państwo. Komunikacyjnie rząd przegrywa, bo słyszymy, jak to wszystkim będzie źle z Polskim Ładem, a porażka komunikacyjna wynika z hegemonii narracji wielkiego biznesu i liberalnych mediów. Ostatecznie PiS wygra na Polskim Ładzie, bo ludzie poczują, że mają więcej w kieszeni. To zadziała jak 500+. Nikt nie wierzył, że to się uda, ale się udało.

eprasa.pl 31955fcd36

Gazowy szantaż

Wszystko wskazuje na to, że za gwałtowny skok cen gazu w Europie odpowiada rosyjski Gazprom, który rozmyślnie ograniczył dostawy do Unii, aby wymusić w ten sposób jak najszybsze uruchomienie zbudowanego już gazociągu Nord Stream 2. Gazowy szantaż Kremla coraz mocniej uderza w unijną gospodarkę

KONRAD KOŁODZIEJSKI

Zbyt ambitna polityka klimatyczna przyjęta przez Unię Europejską jeszcze tej zimy może się przyczynić do deficytu energii, wzrostu cen i wywołania perturbacji gospodarczych na naszym kontynencie. Od kilku tygodni mamy bowiem do czynienia z bezprecedensowymi, sięgającymi kilkuset procent na przestrzeni ostatnich miesięcy, podwyżkami cen gazu na rynku energetycznym.

Powodów tego stanu rzeczy jest kilka, wśród nich ożywienie gospodarcze po zeszłorocznym uderzeniu pandemii, które znacząco zwiększyło światowy popyt na gaz, niewystarczające zapasy tego paliwa w europejskich magazynach oraz ciągle rosnące ceny za emisję dwutlenku węgla, które ograniczają opłacalność produkcji energii z innych paliw kopalnych.

Jednak wszystko wskazuje na to, że za gwałtowny skok cen tego paliwa w największej mierze odpowiada rosyjski Gazprom, który pomimo wzrostu popytu na gaz rozmyślnie ograniczył dodatkowe dostawy do Europy, aby wymusić w ten sposób jak najszybsze uruchomienie zbudowanego już gazociągu Nord Stream 2.

Tymczasem, zgodnie z założeniami unijnej polityki klimatycznej, gaz ma stanowić główne paliwo pomostowe na drodze do dekarbonizacji i pełnej transformacji energetycznej wspólnoty. Rosjanie, którzy dostarczają dziś ok. 43 proc. całego gazu używanego w Unii Europejskiej, zyskują więc doskonałe narzędzie nacisku na państwa wspólnoty i – jak widać – nie zawahają się go użyć, aby osiągnąć swoje cele.

CENY ZWARIOWAŁY

Gaz na rynkach sprzedawany jest w przeliczeniu na megawatogodziny (MWh). 6 października cena megawatogodziny na rynku hurtowym w Holandii skoczyła do 161 euro, czyli tyle kosztowała ilość gazu potrzebna do wyprodukowania jednej megawatogodziny energii. Dla porównania trzy miesiące wcześniej za taką samą ilość gazu płacono zaledwie 32 euro. Daje nam to pojęcie o skali podwyżki. Cytowany przez portal energetyka24.cm analityk francuskiej grupy energetycznej Engie przyznał, że w ciągu swojej kilkunastoletniej kariery nigdy nie widział tak wysokich cen gazu. Wprawdzie ceny

eprasa.pl 31955fcd36

potem nieco spadły, ale i tak utrzymały się w okolicy 100 euro za MWh.

Konsekwencją tych podwyżek mogą być nie tylko wyższe koszty ogrzewania, gdy zimą – zwłaszcza w naszej części Europy – wzrasta zapotrzebowanie na gaz, lecz również problemy w innych sektorach unijnej gospodarki. Gaz coraz częściej wykorzystywany jest do produkcji energii elektrycznej, uważa się go bowiem za paliwo bezpieczniejsze dla środowiska naturalnego od węgla. Nic więc dziwnego, że w ślad za deficytem gazu gwałtownie rosną ceny energii elektrycznej. Przykładowo w Hiszpanii i Portugalii w ciągu ostatniego pół roku energia podrożała aż trzykrotnie. Z kolei w Belgii – jak podał tamtejszy regulator rynku energetycznego CREG – rachunki za energię mogą skoczyć o 700 euro w ciągu roku.

Dodatkowo gaz jest szeroko wykorzystywany w przemyśle chemicznym, m.in. przy produkcji nawozów sztucznych. Wzrost cen nawozów wraz ze wzrostem cen energii elektrycznej musi się więc przełożyć na wyższe ceny żywności i innych towarów. Im dłużej potrwa kryzys na rynku gazu, tym konsekwencje będą dłuższe i poważniejsze.

W Polsce również widać podwyżki na rynku. Od stycznia do września ceny gazu dla odbiorców przemysłowych skoczyły średnio o 200 proc. W sierpniu na Towarowej Giełdzie Energii za jedną megawatogodzinę płacono powyżej 200 zł, tymczasem na początku października cena skoczyła do 560 zł. Na razie podwyżki omijają klientów indywidualnych, przynajmniej tych, którym gaz dostarcza państwowe PGNiG. Jeśli zaś chodzi o udział gazu w produkcji energii elektrycznej, to jest on w Polsce stosunkowo niewielki i według danych z 2020 r. wynosi ponad 10 proc., ale skoro płacimy coraz wyższe opłaty emisyjne za energię pochodzącą z węgla (w Polsce blisko 70 proc. produkcji prądu pochodzi z węgla kamiennego i brunatnego), to nasze rachunki za prąd też będą rosły.

KOSZTOWNA EKOLOGIA

Wiele wskazuje na to, że Europę może czekać w tym roku ciężka zima. Zapewne byłoby inaczej, gdyby Bruksela nie zdecydowała się na tak ambitną transformację energetyczną. Gwałtowne odchodzenie od węgla i obłożenie energii wytwarzanej z tego surowca wysokimi opłatami emisyjnymi sprawiło że Europa zmaga się z coraz większym deficytem energii. Rozwiązaniem problemu mogłaby być energetyka jądrowa, ale elektrownie atomowe również są na cenzurowanym. Niemcy promują denuklearyzację kontynentu i wygaszają swoje siłownie, a projekty budowy nowych elektrowni atomowych, realizowane np. w Polsce, są coraz ostrzej zwalczane.

Alternatywą mają być odnawialne źródła energii, ale ich wadą jest to, że produkują energię jedynie w sprzyjających warunkach pogodowych. Gdy na dłuższy czas zabraknie słońca lub wiatru, co w naszych warunkach klimatycznych jest zjawiskiem spotykanym dość często, prądu po prostu nie ma. I dopóki postęp technologiczny nie umożliwi magazynowania zielonej energii w specjalnych akumulatorach, farmy wiatrowe i słoneczne nie zapewnią stabilnych dostaw.

Za tak gwałtowną transformacją energetyczną stoi oczywiście zielona ideologia, ale nie tylko. Transformacja – i szerzej cała polityka klimatyczna – jest bowiem kolejnym skokiem na kasę, który utrwali przewagę najbogatszych państw i pozwoli wyciągnąć z kieszeni biedniejszych jeszcze więcej pieniędzy. Europejskimi liderami w zielonych technologiach są Niemcy i to one potencjalnie najbardziej zyskają w Unii na nowej polityce klimatycznej. To również dlatego ostro atakuje się brudną energetykę węglową i znacznie mniej brudną, a przez to konkurencyjną, energetykę atomową.

Problem w tym, że promowane przez Niemcy i Unię odnawialne źródła energii dostarczają dziś w Europie nie więcej niż 38 proc. energii i zapewne minie jeszcze sporo czasu, zanim – jeśli w ogóle tak się stanie – będzie można oprzeć na nich gospodarkę kontynentu. Z tego powodu konieczne jest paliwo przejściowe, na którym dojedziemy do końca zielonej transformacji. Takim paliwem jest dziś gaz, na który – wraz z odchodzeniem od węgla i atomu – zapotrzebowanie jest coraz większe.

Według danych BP za rok 2018 największym konsumentem gazu w Europie są Niemcy (88 mld m^3), przed Wielką Brytanią (79 mld m^3) i Włochami (69 mld m^3). Dalej jest Francja (43 mld m^3), Holandia (36 mld m^3) i Hiszpania (32 mld m^3). Dla porównania roczne zużycie gazu w Polsce wynosiło w tym czasie ok. 19 mld m^3.

> Gaz ma stanowić główne paliwo pomostowe na drodze do dekarbonizacji i pełnej transformacji energetycznej Europy. Rosjanie zyskują więc doskonałe narzędzie nacisku na państwa Unii

PRESJA KREMLA

Na rozwoju energetyki gazowej najbardziej korzysta Rosja, która jest głównym dostawcą tego surowca do Europy, w tym Niemiec, które dzięki dwóm nitkom gazociągu Nord Stream stają się głównym dystrybutorem gazu w Unii. Nie powinna więc nikogo dziwić determinacja Berlina, aby pomimo agresywnej polityki Kremla oraz nałożonych na Rosję sankcji, sfinalizować budowę Nord Stream 2 i uruchomić tym rurociągiem przesył gazu.

Okazało się jednak, że o ile po objęciu władzy w Białym Domu przez Joego Bidena udało się wycofać amerykański sprzeciw wobec Nord Stream 2 i skończyć jego budowę, o tyle uruchomienie gazociągu i rozpoczęcie dostaw wymaga jeszcze stoczenia kilku bitew wewnątrz Unii Europejskiej. Chodzi przede wszystkim o stwierdzenie zgodności działania Nord Stream 2 z unijnymi przepisami antymonopolowymi. W tej sytuacji Rosjanie najwyraźniej postanowili przyspieszyć proces decyzyjny, ograniczając dostawy i wywołując w ten sposób kryzys gazowy na kontynencie.

Moskwa tłumaczy oficjalnie, że Gazprom wywiązuje się z długoterminowych kontraktów (takich jak wygasający z końcem przyszłego roku kontrakt jamalski z Polską). Problemy są jedynie z dodatkowymi dostawami, które – zdaniem Rosjan

Fot. Axel Schmidt/Nord Stream 2

eprasa.pl 31955fcd36

– nie mogą być na razie zrealizowane z powodu większego zapotrzebowania krajowego i konieczności zapełnienia własnych magazynów gazu po ubiegłorocznej mroźnej zimie. Te wyjaśnienia to w rzeczywistości jedynie zasłona dymna, Rosja zwleka bowiem ze zwiększeniem dostaw do czasu uruchomienia gazociągu Nord Stream 2, co niemalże wprost przyznał rosyjski minister energetyki Aleksander Nowak, mówiąc, że obecną sytuację na unijnym rynku mogłoby zmienić dopiero uruchomienie Nord Stream 2.

Wprawdzie rzecznik Kremla Dmitrij Pieskow, a potem sam Władimir Putin zasugerowali, że być może możliwe byłyby dodatkowe dostawy istniejącymi szlakami, to przekaz płynący z Rosji jest czytelny – bez odblokowania Nord Stream 2 stabilizacji na rynku gazowym w Europie nie będzie. Zwłaszcza że istniejące rurociągi, o których wspomniał Putin, mają jeszcze spore rezerwy przepustowości, ale mimo to Rosja z nich – jak dotąd – nie skorzystała. Widać więc, że nie chodzi tu o kwestie techniczne, lecz o wywarcie politycznej presji.

Gazprom traci na tym finansowo, bo przecież, korzystając ze zwiększonego popytu w Europie, mógłby teraz sprzedać dodatkowy gaz za znacznie większe pieniądze. Ale Gazprom jest jedynie narzędziem ekspansywnej polityki Kremla, więc straty finansowe nie mają znaczenia wobec spodziewanych zysków politycznych.

AMBASADOR PISZE DO ONETU

Na pytanie, czego domaga się Rosja w zamian za dodatkowy gaz, niemal wprost odpowiedział ambasador Rosji w Polsce Siergiej Andriejew. W swoim liście opublikowanym na łamach portalu Onet.pl dyplomata obarczył winą za deficyty na rynku dostawców gazu skroplonego (czytaj: Amerykanów), którzy jakoby wolą sprzedawać go drożej w Azji niż w Europie. Jednocześnie jednak przyznał, że Rosja nie może dłużej nie dostrzegać wymierzonych w nią „nielegalnych sankcji", „bezczelnej kampanii" dyskredytującej Gazprom oraz „prób wypchnięcia" koncernu z rynku europejskiego pod pozorem dywersyfikacji. Jest to oczywiście zawoalowane uderzenie w państwa Europy Środkowo-Wschodniej, przede wszystkim w Polskę, w kraje bałtyckie i Ukrainę. W tej sytuacji – jak twierdzi ambasador – nie należy oczekiwać, że Rosja będzie pilnie podejmować jakieś nadzwyczajne środki, aby zapobiec kryzysowi energetycznemu w Europie.

Jest jednak rozwiązanie, które zapewni bezpieczeństwo dostaw – to oczywiście Nord Stream 2. Ambasador zachwala nowy gazociąg jako „krótszy, bezpieczniejszy, tańszy i bardziej ekologiczny sposób przesyłu gazu do Europy Zachodniej, pozwalający w sytuacjach kryzysowych szybko i na wzajemnie korzystnych warunkach zaspokoić rosnące potrzeby naszych partnerów, mimo przeszkód różnego rodzaju". Po przeczytaniu tego listu wszystko jest więc jasne: albo Europa Zachodnia uspokoi Polaków oraz Litwinów i odblokuje wreszcie Nord Stream 2, albo będzie musiała się liczyć z dalszymi zakłóceniami dostaw gazu.

> Odnawialne źródła energii dostarczają dziś w Europie nie więcej niż 38 proc. energii i minie jeszcze sporo czasu, zanim – jeśli w ogóle tak się stanie – będzie można oprzeć na nich gospodarkę Unii

Kwestią otwartą pozostaje pytanie, czy w obliczu dalszych wzrostów cen energii i wywołanego tym niezadowolenia Europa Zachodnia ugnie się pod gazową presją Kremla i skapituluje, zwłaszcza że Nord Stream 2 jest już przecież ukończony. W Berlinie – jeśli nie liczyć Zielonych uważających gaz za nie dość czyste źródło energii – właściwie wszystkie liczące się siły polityczne chcą uruchomienia drugiej nitki Nord Stream. Jednak Bruksela ma jeszcze opory, zapewne zdając sobie sprawę z tego, że pójście na ustępstwa może w przyszłości jeszcze bardziej rozzuchwalić Rosję.

Ambasador Unii w Moskwie Markus Ederer ostrzegł więc Rosjan, że ich strategia jest ryzykowna, bo obecna sytuacja może zagrozić ich wiarygodności i przyspieszyć proces odchodzenia od gazu na rzecz odnawialnych źródeł energii. „Nie mówię nawet o tym, że brak reakcji może zostać potraktowany jako próba wywarcia presji w celu przyspieszenia oddania do użytku Nord Stream 2" – zaznaczył. Moskwa jednak niezbyt przejmuje się tymi słowami, bo dobrze wie, iż Niemcy, które oparły swoją politykę energetyczną na rosyjskich surowcach, nie pozwolą jej wypchnąć z unijnego rynku. A gdy gaz przestanie się liczyć jako podstawowe źródło energii, prawdopodobnie zastąpi go rosyjski wodór. Obopólny interes będzie się więc kręcił dalej. Po co więc to psuć?

WOLNI OD SZANTAŻU

Niezależnie od tego, jaki będzie ostateczny wynik wojny gazowej, Polska jest w o tyle lepszej sytuacji od innych państw Unii, że znając metody Kremla, zdołała sobie w ostatnich latach zapewnić alternatywne źródła gazu. Chodzi tu przede wszystkim o kontrakty na dostawy gazu skroplonego LNG ze Stanów Zjednoczonych i Kataru, które mają zapewniać docelowo 12 mld m^3 gazu oraz o budowę gazociągu Baltic Pipe z Norwegii o rocznej przepustowości 10 mld m^3, który – według planów – zostanie uruchomiony w przyszłym roku. W ten sposób, włączywszy krajowe wydobycie gazu na poziomie 4 mld m^3 rocznie, jesteśmy w stanie zapewnić sobie całkowitą niezależność od dostaw z Rosji, a zarazem stopniowo zwiększać zużycie gazu (docelowo do poziomu 30 mld m^3 gazu rocznie wobec 20 mld m^3 dzisiaj) i jego udział w krajowym miksie energetycznym. Obecnie obowiązujący kontrakt jamalski, który przewidywał dostawy gazu z Rosji, wygaśnie z końcem przyszłego roku.

Nie oznacza to niestety, że energia pochodząca z bezpiecznych, przewidywalnych źródeł będzie znacząco tańsza od rosyjskiej. Możemy być za to pewni, że nikt nie zakręci nam kurka i posługując się gazem, nie wywoła kryzysu. Jest tylko pytanie, czy w obliczu obecnej presji ze strony Rosji do podobnych wniosków dojdzie również cała Unia.

eprasa.pl 31955fcd36

System kaucyjny jako skuteczny model gospodarki odpadowej

Z uwagi na systematycznie rosnącą masę odpady stają się coraz większym zagrożeniem dla środowiska, a jednocześnie ciężarem dla portfeli konsumentów. Jako społeczeństwo mamy obowiązek poszukiwać i wdrażać coraz skuteczniejsze metody gospodarowania odpadami, pozwalające obywatelom na poczynienie oszczędności i poprawę jakości ich życia, a producentom zapewniające realizację poziomów recyklingu, czyli wymogów dotyczących procentu odzyskiwanych surowców

W ostatnich tygodniach Ministerstwo Klimatu opublikowało założenia systemu kaucyjnego. Polega on na zamkniętym obiegu surowców, w którym opakowania po napojach, zamiast trafiać do śmieci, oddawane są w zamian za zwrot kaucji do sklepów i ponownie wykorzystywane do produkcji nowych opakowań. Z badań wynika, że jest to jedyny model zbiórki odpadów, który umożliwi producentom produktów w opakowaniach spełnienie ich obowiązków w zakresie recyklingu. W systemie kaucyjnym udział butelek PET wykorzystywanych do ponownego użycia sięga 86 proc. Efektywność tego systemu pozwoli na osiągnięcie wymaganego poziomu recyklingu dla opakowań z tworzyw sztucznych na poziomie 55 proc. do roku 2030. Jednocześnie masa pozyskiwana w systemie kaucyjnym znacznie się przyczyni do ograniczenia ilości odpadów gromadzonych w altanach śmietnikowych, co powinno się przełożyć na niższe koszty dla mieszkańców.

Polska jest zobligowana do osiągnięcia docelowo poziomu 90 proc. recyklingu butelek po napojach z tworzyw sztucznych (tzw. butelek PET). Realizacja tego ambitnego celu wymaga wdrożenia skutecznego i efektywnego systemu kaucyjnego. Chodzi tu o model, który zagwarantuje prosty i szybki zwrot przez obywateli pustych butelek po napojach i płynach, szeroką dostępność punktów odbioru zużytych opakowań, a w dodatku będzie opłacalny dla producentów i przejrzyście działający dla konsumentów. Maksymalizację korzyści dla wszystkich uczestników systemu może zapewnić jedynie system oparty na zasadach wolnorynkowych. Wprawdzie kaucja i zasady powinny być dla wszystkich takie same, ale modele funkcjonowania systemu już różne, po to, aby znaleźć najlepsze ekonomiczne rozwiązania w celu osiągnięcia możliwie najwyższej liczby oddanych butelek.

Wygodny dla konsumentów zwrot butelek mogą zapewnić jedynie automaty, które mimo wysokich kosztów inwestycyjnych zasadniczo zmniejszają koszty funkcjonowania systemu. Zapobiegają ponadto oszustwom, gwarantują oszczędność pracy personelu sklepów i są powszechnie dostępne. Jednocześnie obciążenie tymi inwestycjami wyłącznie producentów produktów w opakowaniach wydaje się na tyle ryzykowne, że w rezultacie kosztami mogą zostać obciążeni konsumenci. Koszty te, w celu optymalizacji, powinny być zatem rozłożone na większą liczbę podmiotów tworzących system, jak również uwzględniać fundusze pozyskiwane od inwestorów zewnętrznych, aby zbudować model ekonomiczny skuteczny i efektywny. Taki model działania wymaga odpowiednich warunków umożliwiających pozyskanie dodatkowych funduszy od różnych interesariuszy. Ponadto budowanie efektywnych lokalnych systemów uwzględniających transport, magazynowanie i potrzeby logistyczne wydaje się bardziej ekonomicznie uzasadnione niż tworzenie centralnego, mało elastycznego systemu kaucyjnego dla całej Polski.

Swoboda gospodarcza zasadniczo wpływa na efektywność rynku i orientację prokonsumencką. Kilku operatorów systemu gwarantuje większe możliwości wszystkim uczestnikom rynku. W takim modelu sieci handlowe będą mogły stosować indywidualne skuteczne rozwiązania w zakresie zwrotu butelek, a producenci uzyskają dostęp do recyklatu, który wykorzystają do produkcji swoich opakowań. Mnogość automatów w przeciwieństwie do zbiórki manualnej w sklepach zapewni konsumentom szybki i łatwy zwrot butelek. Rolą operatora będzie sprawne i ekonomiczne połączenie wszystkich elementów systemu w celu osiągnięcia możliwie najwyższej skuteczności. Sprawnie działające systemy zapewnią również wysokie stopy zwrotu opakowań, czyli maksymalną liczbę butelek oddawanych do sklepów.

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 14/0521/F

eprasa.pl 31955fcd36

Triumf prawicy, klęska lewicy

GRZEGORZ GÓRNY

Wyniki wyborów w Czechach sprawiły, że we wszystkich krajach Grupy Wyszehradzkiej będzie rządzić prawica lub centroprawica

Do ostatniej chwili nie było pewne, kto zostanie zwycięzcą wyborów parlamentarnych w Czechach. Sondaże wskazywały na niezwykle wyrównaną walkę między obozem popierającym urzędującego premiera Andreja Babiša a jego przeciwnikami, skupionymi w dwóch blokach: prawicowym i centrowym.

NAJWIĘKSZY WYGRANY: PRAWICA

Ostatecznie triumf odniosła opozycja, w której największe poparcie (27,8 proc.) zdobyła koalicja SPOLU (Razem), składająca się z Obywatelskiej Partii Demokratycznej (ODS), chadecko-ludowej unii KDU-ČSL oraz liberalno-konserwatywnej partii TOP 09. Wszystko wskazuje na to, że to ona utworzy rząd wraz z drugim blokiem o nazwie PirSTAN, tworzonym przez libertariańsko-lewicową Czeską Partię Piratów oraz centrowy i samorządowy ruch Burmistrzowie i Niezależni (STAN), który uzyskał 15,6 proc. głosów. Oznacza to, że obie formacje złożone łącznie z pięciu partii dysponować będą 108 mandatami w 200-osobowej Izbie Poselskiej.

Partia ANO premiera Andreja Babiša przegrała ze SPOLU nieznacznie, liczbą zaledwie 30 tys. głosów (27,1 proc. poparcia), jednak będzie miała o jednego posła więcej w parlamencie, co wynika ze specyfiki tamtejszej ordynacji. Nie zdoła jednak utrzymać się przy władzy głównie z powodu braku koalicjanta. Nie przekroczyły bowiem 5-procentowego progu wyborczego lewicowe ugrupowania współpracujące dotychczas z ANO: Czeska Partia Socjaldemokratyczna (ČSSD) i Komunistyczna Partia Czech i Moraw. (KSČM). Obie po raz pierwszy po transformacji ustrojowej nie będą miały swojej reprezentacji w Izbie Poselskiej. Zyskały odpowiednio: 4,6 i 3,6 proc.

Największym zwycięzcą wyborów okazała się zatem prawica, której twarzą jest 57-letni Petr Fiala, najprawdopodobniej przyszły premier Czech. W roku 2014 stanął on na czele ODS – dawnej partii Václava Klausa, która okres świetności wydawała się mieć już za sobą. W tamtym czasie przeżywała ona potężny kryzys po upadku rządu Petra Nečasa i przedterminowych wyborach, w których zyskała zaledwie 7,72 proc. głosów. Wówczas kierownictwo ugrupowania objął ceniony naukowiec z Moraw, politolog i filozof, były rektor Uniwersytetu Masaryka w Brnie, prof. Petr Fiala. Choć zarzucano mu akademickość i brak politycznego sprytu, zdołał wyprowadzić partię z zapaści, nadając jej bardziej konserwatywne i chrześcijańskie oblicze. Doprowadził też do stworzenia bloku SPOLU, który ostatecznie wyniósł go do władzy.

Do parlamentu dostało się jeszcze jedno prawicowe ugrupowanie: narodowa, eurosceptyczna i antyimigrancka formacja Wolność i Demokracja Bezpośrednia, zdobywając 9,6 proc. głosów i 20 mandatów. Wspomniana partia, założona i kierowana przez pół Czecha, pół Japończyka Tomia Okamurę, jest jednak ze względu na swój radykalny program odrzucana jako potencjalny koalicjant przez wszystkie inne siły polityczne.

NAJWIĘKSZY PRZEGRANY: LEWICA

Największym przegranym wyborów okazała się natomiast lewica, która od lat traci wyborców głównie z trzech powodów. Po pierwsze, odchodzą z tego świata tradycyjni zwolennicy tych formacji, wywodzący się ze starszych pokoleń. Po drugie, elektorat socjalny przejęła populistyczna ANO Andreja Babiša. Po trzecie, rolę nowej lewicy, skupionej na sprawach obyczajowych, odgrywają dziś Piraci, którzy przyciągają głównie młodzież z większych miast.

W ten sposób najstarsza czeska partia, czyli socjaldemokracja, która jeszcze osiem lat temu była w stanie zdomi-

eprasa.pl 31955fcd36

Największym zwycięzcą wyborów okazała się prawica, której twarzą jest 57-letni Petr Fiala (w środku), najprawdopodobniej przyszły premier Czech

Fot. Michal Cizek/AFP

nować tamtejszą scenę polityczną, dziś nie ma ani jednego posła. Politolog Jan Rovný uważa, że obecnie ważniejsze od problemów socjalnych czy ekonomicznych są dla wyborców kwestie kulturowe, np. stosunek do imigrantów, globalizacji, integracji europejskiej czy zmian klimatycznych. Tymczasem w żadnej z tych spraw socjaldemokraci nie byli w stanie zająć jednoznacznego stanowiska, ponieważ sami byli między sobą głęboko podzieleni. W efekcie nie potrafili przyciągnąć do siebie żadnej ze stron najbardziej gorących sporów ideowych.

Wybory w 2021 r. zamykają też pewien rozdział w historii tamtejszej partii komunistycznej, która jako jedyna tego typu formacja w Europie Środkowej nie przekształciła się po transformacji ustrojowej w socjaldemokrację, lecz pozostała przy starym szyldzie i potrafiła przez 30 lat wprowadzać swych reprezentantów do parlamentu. W 2002 r. zdobyła nawet 18,5 proc. głosów i 41 mandatów. Jej obecność komplikowała jednak mocno tworzenie większości rządowej, ponieważ nikt nie chciał wchodzić z nią w koalicje.

Tym razem jednak komunistów w Izbie Poselskiej zabraknie. Oni także – ze swym wymierającym elektoratem, pełnym nostalgii za małą stabilizacją realnego socjalizmu – nie potrafili się odnaleźć w nowych czasach. Część ich dotychczasowych wyborców, z jednej strony antyzachodnich i prorosyjskich, z drugiej zaś nacjonalistycznych i antyimigracyjnych, przerzuciła swoje poparcie na inne ugrupowania, wolne od tęsknot za totalitarną przeszłością. Nie sprzyja tej partii także antyrosyjski zwrot, jaki dokonał się w ostatnich latach w czeskim społeczeństwie, a uwidocznił się zwłaszcza po kwietniu tego roku, gdy wyszło na jaw, iż to Moskwa stała za wybuchami w składach amunicji we Vrběticach.

ROZCZAROWANIE: PARTIA PIRATÓW

O porażce lewicy świadczy również wynik Partii Piratów, która jeszcze wiosną prowadziła w sondażach przedwyborczych, mając ponad 30 proc. poparcia. Choć znalazła się w obozie zwycięzców, może mówić o przegranej. Na 37 mandatów, które zdobyła koalicja PirSTAN, aż 34 przypadły bowiem przedstawicielom ruchu Burmistrzowie i Niezależni, a zaledwie cztery Piratom. Ci ostatni w porównaniu z zeszłymi wyborami stracili aż 18 posłów. Gdyby startowali do parlamentu samodzielnie, znaleźliby się poniżej progu.

Dlaczego tak się stało? Wydaje się, że partia ta popełniła podobny błąd co Zieloni w Niemczech, którzy wiosną także wydawali się głównym faworytem wyborów. Ich przewodnicząca Annalena Baerbock przymierzana była nawet do kanclerskiego fotela. Jednak ugrupowanie zyskało wynik znacznie poniżej oczekiwań, ponieważ zbyt pewne wygranej za wcześnie odsłoniło swoje rzeczywiste plany. Niemieccy mieszczanie, przyzwyczajeni do jedzenia sznycli i kiełbasek oraz spędzania wakacji na Majorce, nagle się dowiedzieli, że typowana do zwycięstwa partia chce z powodów ekologicznych zakazać jedzenia mięsa i zlikwidować tanie linie lotnicze. Nastąpił więc radykalny odpływ zwolenników.

Analogicznie pewni siebie Piraci przestraszyli czeskich wyborców całą serią publicznych wypowiedzi. Poseł Ondřej Profant zaproponował np., by z dowodów osobistych znikły dane dotyczące płci, ponieważ ich obecność powoduje cierpienie „osób trans i niebinarnych". Kiedy zaś Izba Poselska nie zatwierdziła „małżeństw homoseksualnych", nazwał ją „gniazdem białych homofobów o faszystowskich tendencjach". Inny poseł Marcel Kolaja przyznał, że celem jego partii jest zniesienie prawa weta w Unii Europejskiej i wzmocnienie uprawnień europarlamentu kosztem parlamentu czeskiego, którego znaczenie porównał do roli sejmiku wojewódzkiego. Ten sam polityk oskarżył ODS, iż kroczy „drogą homofobicznej dyktatury". Eurodeputowany Mikuláš Peksa skrytykował z kolei Zielony Ład, forsowany przez Brukselę, jako zbyt umiarkowany, domagając się

eprasa.pl 31955fcd36

szybszej obniżki emisji gazów cieplarnianych, co dla czeskiej gospodarki oznaczać może tylko katastrofę. Wzywał też do ostrzejszego działania UE przeciw rządom w Warszawie i Budapeszcie.

Tego typu wystąpień Piratów zebrać można znacznie więcej. Wszystkie one wpłynęły na wizerunek tej partii jako formacji nieprzewidywalnych radykałów. Nawet dla zsekularyzowanych i dalekich od konserwatyzmu Czechów było to stanowczo za dużo. Uznali, że ugrupowanie stanowi zagrożenie dla czeskiego stylu życia. Woleli więc głosować na umiarkowany i centrowy ruch Burmistrzów i Niezależnych, który nad toczenie wojen kulturowych przedkłada realizowanie polityki miejskiej.

JAKA PRZYSZŁOŚĆ ANDREJA BABIŠA

Dla Andreja Babiša zdobycie największej liczby mandatów w obecnej Izbie Poselskiej to słabe pocieszenie. Nad oligarchą od dawna zbierają się bowiem czarne chmury. Kilka dni przed wyborami Międzynarodowe Konsorcjum Dziennikarzy Śledczych opublikowało wyniki dochodzenia na temat m.in. 35 obecnych lub byłych przywódców państw, którzy zgromadzili duże sumy pieniędzy lub aktywa dzięki inwestycjom i firmom w rajach podatkowych. Wśród bohaterów afery Pandora Papers znalazł się także Andrej Babiš, któremu zarzucono, iż wyprał 15 mln euro, kupując m.in. pałacyk pod Cannes i kilka luksusowych nieruchomości na francuskiej Riwierze.

Nie to jest teraz jego największym zmartwieniem. Sen z oczu spędza mu prędzej toczące się obecnie postępowanie karne w sprawie Bocianiego Gniazda, czyli ekskluzywnego ośrodka wypoczynkowego, na którego budowę wykorzystano 50 mln koron pochodzących z funduszy unijnych, przeznaczonych dla małych i średnich przedsiębiorstw. Ośrodek jest częścią holdingu Agrofert Andreja Babiša, który nie miał prawa ubiegać się o taką dotację. W związku z tym miliarderowi grozi oskarżenie o wyłudzenie europejskich pieniędzy. W polityce prowadzi więc grę nie tylko o władzę, lecz także o wolność osobistą. Stanowisko premiera zapewniało mu nieformalny immunitet oraz możliwość wpływania na prowadzenie dochodzeń w swoich sprawach.

W tej sytuacji Babiš nie może przejść na polityczną emeryturę, lecz musi walczyć o przetrwanie. Po przegranych wyborach wysłał więc sygnał, że jest gotów kandydować na stanowisko prezydenta kraju. Kolejna elekcja głowy państwa planowana jest na początek roku 2023, jednak może dojść do niej wcześniej, ponieważ 77-letni Miloš Zeman jest schorowany, od kwietnia porusza się niemal wyłącznie na wózku inwalidzkim, a po ostatnich wyborach trafił do szpitala.

> Największym przegranym wyborów okazała się lewica, która od lat traci wyborców głównie z trzech powodów. Po pierwsze, odchodzą z tego świata tradycyjni zwolennicy tych formacji. Po drugie, elektorat socjalny przejęła populistyczna ANO Andreja Babiša. Po trzecie, rolę nowej lewicy, skupionej na sprawach obyczajowych, odgrywają dziś Piraci

Babiš podliczył, że na zwycięską koalicję padło teraz 2,33 mln głosów, podczas gdy na blok partii popierających go (łącznie z tymi, które nie dostały się do parlamentu) – 2,87 mln. Oznacza to przewagę ponad pół miliona głosów na jego korzyść. Szef ANO liczy, iż uda mu się przyciągnąć dodatkowych wyborców, gdy jako lider opozycji będzie punktował niepopularne decyzje lub błędy przyszłego rządu. To może wynieść go do fotela prezydenta.

CO DALEJ Z TUROWEM?

Z polskiego punktu widzenia czeskie wybory miały szczególne znaczenie z powodu sporu o kopalnię w Turowie. W pierwszych komentarzach przedstawiciele władz w Warszawie podkreślali, że zwycięstwo ODS i porażka ANO mogą napawać umiarkowanym optymizmem. W ich optyce Andrej Babiš stracił bowiem jakąkolwiek wiarygodność jako negocjator. Kierując się przedwyborczymi kalkulacjami, zdecydował się na czołowe zderzenie z Polską i naraził na szwank spójność Grupy Wyszehradzkiej.

Inaczej wygląda sytuacja z ODS. Ze wszystkich partii u naszych południowych sąsiadów to właśnie ugrupowanie Petra Fiali jest najbardziej nastawione na współpracę z Polską i tylko jego przedstawiciele (np. Jan Zahradil) deklarowali podczas kampanii wyborczej jak najszybsze porozumienie w sprawie Turowa. Zawarcie ugody może ułatwić to, że ODS i PiS wspólnie należą do frakcji EKR w europarlamencie.

W tym kontekście dodatkowego znaczenia nabiera fatalny wynik Partii Piratów, która najsilniej domaga się od Polski natychmiastowego zamknięcia kopalni w Turowie. Co prawda znalazła się ona w zwycięskiej koalicji, ale jako najsłabszy element. To powoduje, że jej siła sprawcza będzie w przyszłym obozie władzy niewielka. Piraci nie mogą nawet szantażować pozostałych sojuszników wyjściem z koalicji rządowej, ponieważ odejście ich czterech posłów nie zachwieje większością parlamentarną. Z rozmów koalicyjnych wynika zaś, że mogą liczyć na dwa ministerstwa: pracy i spraw socjalnych oraz rozwoju regionalnego lub cyfryzacji. W gestii żadnego z tych resortów nie leży kwestia Turowa.

Vít Dostál, ekspert czeskiego think tanku AMO, zbliżonego do prawicy i specjalizującego się w polityce zagranicznej, stwierdził po wyborach: „Byłoby pięknie, gdyby nowy minister spraw zagranicznych udał się najpierw do Polski, aby podpisać porozumienie wokół Turowa". Najwięcej zależeć będzie od woli politycznej przyszłego premiera Petra Fiali, który zapowiedział, że do 8 listopada powinna zostać podpisana umowa koalicyjna.

eprasa.pl 31955fcd36

Do ARiMR po dofinansowanie na inwestycje w przetwórstwo

Od 31 października br. Agencja Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa będzie przyjmowała wnioski o wsparcie finansowe dla zakładów przetwórczych. Ten nabór jest adresowany do dwóch grup przedsiębiorców

O pomoc w ramach „Wsparcia inwestycji w przetwarzanie produktów rolnych, obrót nimi i ich rozwój" finansowanego z PROW na lata 2014–2020 mogą się ubiegać:

- przedsiębiorcy prowadzący działalność w zakresie wytwarzania pasz na bazie surowców niemodyfikowanych genetycznie (bez GMO) – mikro-, małe i średnie przedsiębiorstwa oraz przedsiębiorstwa duże,
- przedsiębiorcy prowadzący działalność w zakresie przetwarzania i sprzedaży hurtowej ziół (nowo wprowadzany sektor) – mikro-, małe i średnie przedsiębiorstwa.

Wsparcie przyznawane jest w formie refundacji do 50 proc. kosztów kwalifikowanych poniesionych na realizację danej inwestycji. Zaliczają się do nich m.in. wydatki na budowę lub modernizację budynków wykorzystywanych do prowadzenia działalności. Dofinansowanie można otrzymać także na zakup (wraz z instalacją) maszyn lub urządzeń do przetwarzania produktów rolnych, magazynowania ich czy przygotowania do przetwarzania. W takim przypadku dofinansowane mogą być także koszty leasingu zakończonego przeniesieniem prawa własności.

Wysokość pomocy, jaką można otrzymać, zależy od rodzaju podmiotu ubiegającego się o dofinasowanie.

W przypadku przedsiębiorstw zajmujących się przetwarzaniem i wprowadzaniem do obrotu produktów rolnych maksymalne wsparcie wynosi 10 mln zł.

Natomiast gdy o dofinansowanie ubiega się przedsiębiorstwo, które na podstawie odpowiednich przepisów jest związkiem grup producentów rolnych lub zrzeszeniem organizacji producentów, limit to 15 mln zł.

Minimalna wysokość pomocy przyznana na realizację jednej operacji wynosi 100 tys. zł.

Na złożenie dokumentów przedsiębiorcy będą mieli czas od 31 października do 29 listopada br. O kolejności przysługiwania pomocy będzie decydować suma uzyskanych punktów.

Wnioski o przyznanie wsparcia będą przyjmowały oddziały regionalne ARiMR. Dokumenty będzie można składać osobiście, rejestrowaną przesyłką pocztową lub na elektroniczną skrzynkę podawczą Agencji.

Dotychczas w ramach „Wsparcia inwestycji w przetwarzanie produktów rolnych obrót nimi lub ich rozwój" z PROW na lata 2014–2020 odbyły się cztery nabory wniosków skierowane do mikro-, małych i średnich przedsiębiorstw z branży przetwórczej. ARiMR przyjęła łącznie ponad 3,1 tys. wniosków o przyznanie pomocy na kwotę ponad 9,5 mld zł, z czego zawarto ponad 1,1 tys. umów na blisko 3 mld zł.

Agencja Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 21/1021/F

eprasa.pl 31955fcd36

Co wolno biskupowi

Arcybiskup San Francisco Salvatore Cordileone mógł się poczuć dziwnie, gdy zobaczył zdjęcie. To, na którym papież Franciszek trzyma rękę amerykańskiej polityk Nancy Pelosi, spikerki Izby Reprezentantów Stanów Zjednoczonych, podczas gdy ona patrzy w obiektyw spojrzeniem, które jasno mówi, że jest pod wrażeniem spotkania z Ojcem Świętym

GORAN ANDRIJANIĆ

Zdjęcie zostało zrobione w sobotę 9 października w Watykanie podczas prywatnej audiencji, na której papież przyjął jednego z najbardziej wpływowych polityków Partii Demokratycznej. Arcybiskup Cordileone pozostaje z nią w mniej lub bardziej otwartym konflikcie. Powód?

ZWOLENNICZKA ABORCJI

Izba, której przewodniczy Pelosi, niedawno uchwaliła ustawę o ochronie zdrowia kobiet, uznającą aborcję za „ustawowe prawo kobiet", odnosząc się jednocześnie do „prawa" lekarzy do wykonywania aborcji. Jest to zdecydowanie najbardziej radykalne prawo proaborcyjne (najprawdopodobniej nie przejdzie w Senacie), jakie dotychczas uchwalono w Stanach Zjednoczonych. Pelosi jest jedną z głównych zwolenniczek tej ustawy.

Cordileone określił to prawo jako „składanie ofiar z dzieci", a w jego liście otwartym pojawia się takie określenie, jak „katoliccy politycy zaangażowani w zło". To jasne, że chociaż oficjalnie nie padło nazwisko Pelosi, właśnie ją hierarcha miał na myśli. Wcześniej wezwał wiernych do modlitwy i postu w celu nawrócenia spikerki Izby.

Pelosi na tę krytykę odpowiedziała, że Bóg, w którego wierzy jako katoliczka, dał ludziom „wolną wolę" do samodzielnego decydowania, czy chcą mieć dzieci, czy nie.

Cordileone wiele zaryzykował, otwarcie konfrontując się z jedną z obecnie najpotężniejszych kobiet w Stanach Zjednoczonych. Lewicowo-liberalne media, które działają w politycznym interesie Partii Demokratycznej, otwarcie go zaatakowały. Cordileone mógł się więc poczuć trochę osamotniony, gdy zobaczył zdjęcia z serdecznego spotkania papieża i Pelosi, opublikowane bez żadnego wyjaśnienia i, co ważniejsze, bez dystansu Stolicy Apostolskiej do jej proaborcyjnych poglądów.

Sytuacja, w jakiej znalazł się Cordileone, nie jest wyjątkiem. W ostatnich latach kilku ważnych hierarchów zostało zepchniętych na margines lub ukaranych przez usunięcie z urzędu, ponieważ upierali się przy nauczaniu Kościoła w kwestiach społecznych i teologicznych. Ich przykłady są niepokojące, ponieważ pokazują, że Stolica Apostolska w relacjach z biskupami kieruje się niekiedy bardziej względami politycznymi niż duszpasterskimi czy teologicznymi.

METROPOLITA I PREFEKT ODPRAWIENI

Zatrzymajmy się w Stanach Zjednoczonych i przytoczmy przykład emerytowanego arcybiskupa Filadelfii Charlesa Chaputa. Został on metropolitą tej ważnej archidiecezji w 2011 r., kiedy powołał go na to stanowisko Benedykt XVI. Wcześniej był biskupem Denver i Rapid City.

Fot. EAST NEWS/AFP

eprasa.pl 31955fcd36

Chociaż większość jego poprzedników na fotelu metropolity Filadelfii została mianowana kardynałami, jemu się to nie przydarzyło. Jak twierdzili analitycy wydarzeń kościelnych, był na to zbyt „konserwatywny".

Mianowicie od samego początku swojej posługi biskupiej Chaput był postrzegany jako jeden z najgłośniejszych teologicznie głosów w episkopacie amerykańskim. Biskup, który nie boi się „wojny kulturowej" i który jest zawsze gotowy do wyrażenia jasnego stanowiska Kościoła w trudnych kwestiach społecznych.

Był i pozostaje ostrym krytykiem ideologii LGBTQ. Przekonywał, że na określenie LGBTQ nie ma miejsca w dokumentach kościelnych, ponieważ człowieka nie można zdefiniować na podstawie jego preferencji seksualnych.

„Nie ma czegoś takiego jak »katolik LGBTQ« czy »katolik heteroseksualny«, tak jakby nasze seksualne apetyty decydowały o tym, kim jesteśmy. To nigdy nie było prawdą w życiu Kościoła i nie jest prawdą nawet dzisiaj" – powiedział trzy lata temu podczas synodu o młodzieży w Watykanie. Powiązał wtedy wykorzystywanie seksualne w Kościele z homoseksualnymi drapieżnikami.

Tym, co najbardziej zirytowało lewicowe media, była jego ostra krytyka katolików z Partii Demokratycznej oraz ich proaborcyjnych poglądów. Nie wahał się mówić o karach kanonicznych dla takich osób, jak John Kerry, Nancy Pelosi czy Joe Biden.

Wydaje się, że właśnie ta bezkompromisowość nie podobała się niektórym w Watykanie.

W styczniu 2020 r. skończył 75 lat, spełniając tym samym warunek przejścia na emeryturę. Jego prośba o emeryturę została zaakceptowana przez papieża, choć w takich przypadkach najczęściej się zdarza, że arcybiskup pozostaje na urzędzie, chyba że jest poważnie chory. Chaput jest zdrowy, o czym świadczą jego publiczne wystąpienia, które są częstsze, niż bywało to wcześniej.

Innym prałatem, który często publicznie zabiera głos, jest kard. Gerhard Ludwig Müller, były prefekt Kongregacji Nauki Wiary, który w 2017 r. w dość dziwnych okolicznościach opuścił urząd.

Niemiec spędził tylko jedną kadencję jako prefekt najważniejszej kongregacji watykańskiej – tej, która dba o ortodoksję nauki katolickiej. Kiedy został usunięty, w mediach pojawiły się doniesienia, że jest to nowa polityka papieża, który chciał, aby prefektowie tej kongregacji wykonywali swoje obowiązki tylko przez jedną kadencję.

Müller powiedział jednak później, że papież Franciszek poinformował go o zwolnieniu w ostatnim dniu jego kadencji, nie wyjaśniając swojej decyzji, a spotkanie trwało tylko minutę. „Sposób, w jaki zostałem zwolniony, jest nie do przyjęcia" – oświadczył wtedy kardynał.

Chociaż papież nic nie powiedział kardynałowi, było jasne, dlaczego Müller został usunięty. Powodem są napięcia wywołane przez papieską adhortację „Amoris laetitia", a dokładniej tę część dokumentu, która otworzyła drzwi do komunii św. dla katolików znajdujących się w „nieregularnych sytuacjach" (drugie małżeństwo cywilne, po kościelnym).

W tych sporach Müller, jako prefekt Kongregacji Nauki Wiary, starał się ważyć każde słowo. Chociaż było jasne, że adhortacja zmienia stosunek do komunii św., kardynał nalegał na jej interpretację zgodnie z tym, co mówili św. Jan Paweł II i Benedykt XVI – komunia św. dla rozwiedzionych nie jest teologicznie ani moralnie uzasadniona. Wydaje się, że to był właśnie powód, dla którego hierarcha został zwolniony.

Müller nadal z wielkim szacunkiem wypowiada się o papieżu, a ostatnio pochwalił jego posynodalną adhortację „Querida Amazonia". Jest jednak całkiem jasne, że ten ważny teolog został przez hierarchię kościelną odsunięty na boczny tor.

PERSONA NON GRATA

Nieco trudniejsza sytuacja jest z kardynałem Raymondem Leo Burkiem. Amerykański hierarcha został opisany w lewicowo-liberalnych mediach jako „przywódca konserwatywnego oporu wobec papieża Franciszka".

Faktem jest, że Burke był uczestnikiem kilku inicjatyw, które rewidowały decyzje Watykanu. Był też jednym ze współautorów książki „Pozostać w prawdzie Chrystusa", która w przededniu synodu o rodzinie postulowała doktrynę o niemożności komunii św. dla rozwiedzionych. Po opublikowaniu adhortacji „Amoris laetitia" był jednym z czterech kardynałów, którzy zwrócili się do papieża z pytaniem, czy ten dokument należy rozumieć jako zmianę doktryny o komunii św. (nigdy na swoje pytania nie otrzymali odpowiedzi). Skrytykował także inne decyzje Stolicy Apostolskiej, m.in. o porozumieniu z chińskimi komunistami czy dokument przygotowawczy synodu w sprawie Amazonii.

W tym wszystkim pisał o papieżu z najwyższym szacunkiem, a sam Franciszek powiedział kiedyś, że „nie uważa Burke'a za wroga".

Rzeczywistość jest trochę inna. Burke został usunięty ze stanowiska prefekta Trybunału Sygnatury Apostolskiej w 2014 r. Otrzymał potem funkcję patrona Suwerennego Zakonu Maltańskiego, co ma jedynie znaczenie symboliczne.

W wielu diecezjach traktowany jest jako persona non grata. Mogłem się o tym przekonać podczas jego wizyty w Chorwacji w 2016 r., kiedy był gościem konserwatywnej konferencji.

Nikt z archidiecezji zagrzebskiej nie chciał go wtedy przyjąć, a katolickie media, które przeprowadziły z nim wywiad, nie zdecydowały się na jego publikację po „interwencji" środowisk kościelnych.

Portal, który wówczas redagowałem, opublikował jednak świetny wywiad z arcybiskupem, który wywołał wielkie oburzenie we wspomnianych już kręgach. Jednym słowem – wzniesiono wówczas mur wokół katolickiego kardynała.

W dzisiejszych czasach toczy się wiele dyskusji na temat synodalności Kościoła i potrzeby „słuchania" towarzyszącego temu procesowi. Przytoczone tu przykłady biskupów mówią nam jedną ważną rzecz. Często się dzieje tak, że Stolica Apostolska chce słuchać tylko wtedy, gdy mówi się jej to, co chce usłyszeć.

eprasa.pl 31955fcd36

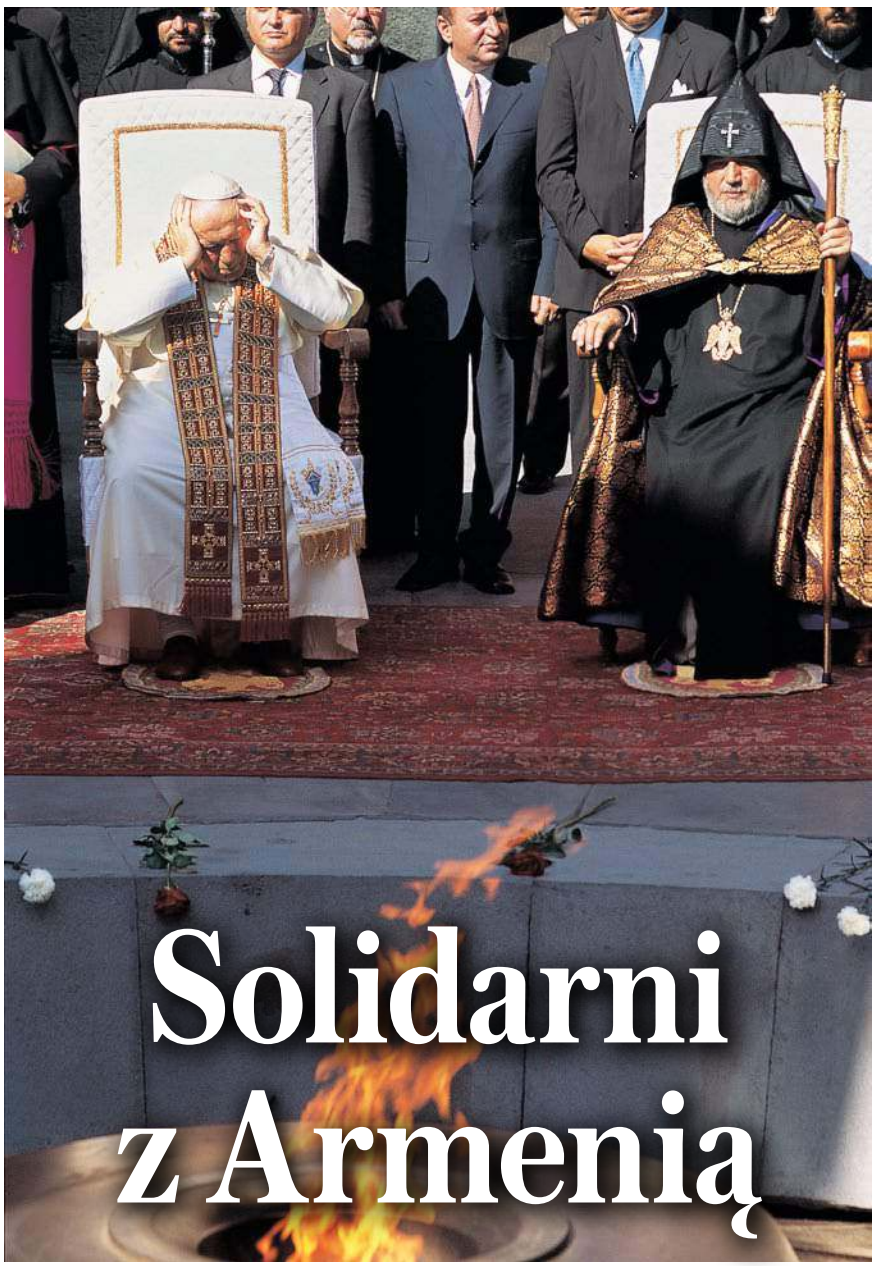

Solidarni z Armenią

Fot. Adam Bujak

Minęło 20 lat od przełomowej pielgrzymki Jana Pawła II do Armenii (25–27 września 2001 r.). Jej głównym przesłaniem były uroczyste obchody z okazji 1700. rocznicy ogłoszenia chrześcijaństwa w Armenii

> Głęboko przejęci straszliwą przemocą zadaną narodowi ormiańskiemu pytamy z przestrachem, czy świat może jeszcze doświadczyć tak nieludzkiego okrucieństwa?
>
> **Jan Paweł II,**
> *Erywań, pomnik Ofiar Ludobójstwa*

Jan Paweł II w czasie swojego pontyfikatu odbył 104 podróże zagraniczne, odwiedzając 130 krajów, ale do dzisiaj międzynarodowa społeczność ludzi dobrej woli, a także dziennikarze podkreślają, że wizyta w Armenii była wyjątkowa. Oto Pielgrzym Pokoju, który przybył dokładnie 20 lat temu do Muzeum Ludobójstwa Ormian, oddał honor i uczcił tragiczny los prawie 2 mln zamordowanych Ormian w XX w.

METZ YEGHERN

Przypomnijmy, że niezwykłe muzeum znajduje się na wzgórzu Cicernakaberd w Erewaniu, stolicy Armenii. Jan Paweł II modlił się po ormiańsku, wypowiadając słowa: „Metz Yeghern", czyli wielkie ludobójstwo. Na tym niezwykłym spotkaniu papież, dziękując za zaproszenie, powiedział do patriarchy ormiańskiego Georgina II: „W 1700. rocznicę ogłoszenia chrześcijaństwa jako oficjalnej religii tego umiłowanego kraju cały Kościół katolicki dzieli z tobą głęboką radość wszystkich Ormian". Ojciec Święty przekazał muzeum oryginał listu Benedykta XV, w którym zwrócił się do sułtana tureckiego z apelem o zaprzestanie mordów.

Warto podkreślić, że Jan Paweł II był także jednym z pierwszych współczesnych autorytetów międzynarodowych, którzy odważnie mówili o ludobójstwie bohaterskich Ormian.

Jako Pielgrzym Pokoju przypomniał całemu światu niezwykłe świadectwo życia Ormiańskiego Kościoła Apostolskiego na przestrzeni wieków, stwierdzając: „Głęboko przejęci straszliwą przemocą zadaną narodowi ormiańskiemu pytamy z przestrachem, czy świat może jeszcze doświadczyć tak nieludzkiego okrucieństwa?".

WOJNA TRWA

Okazuje się, że pytanie Jana Pawła II jest niestety aktualne: 19 lat później podjęto działania zbrojne, mimo światowej pandemii koronawirusa, na granicy Karabachu z Azerbejdżanem. 27 września 2020 r. wybuchły krwawe walki z wykorzystaniem sprzętu lądowego i lotniczego. Wojna pochłonęła setki ofiar śmiertelnych po obu stronach. Jak

eprasa.pl 31955fcd36

podało Ministerstwo Obrony Armenii, agresorem był nie tylko Azerbejdżan, lecz także Turcja, gdyż w działaniach wojennych uczestniczyli najemnicy i samoloty z tego kraju. Celem nalotów był nie tylko Arcach, lecz i niektóre rejony prowincji Gegharkunik w okolicach miasta Wardenis we wschodniej Armenii.

„Dla Azerbejdżanu sprawa Karabachu jest kwestią ambicji, a dla Ormian z Karabachu to sprawa życia i śmierci" – te poruszające słowa znanego w świecie laureata Pokojowej Nagrody Nobla Andrieja Sacharowa są wciąż aktualne, ponieważ mimo podpisanego z 9 na 10 listopada 2020 r. trójstronnego (Armenia, Azerbejdżan oraz Rosja) porozumienia o zawieszeniu broni, na granicy azersko-ormiańskiej w ostatnich miesiącach dochodzi do licznych incydentów zbrojnych, co może doprowadzić do ponownego wybuchu wojny.

APELE O POMOC

Natychmiast po zbrojnym ataku na Arcach patriarcha Garegin II zwrócił się do diaspory ormiańskiej, rozsianej po całym świecie, z prośbą o zorganizowanie nadzwyczajnej pomocy dla Górskiego Karabachu (po ormiańsku Artakh: Arcach). Zwierzchnik Ormiańskiego Kościoła Apostolskiego napisał listy do eparchii, diecezji za granicą, a także diecezji w Armenii, prosząc o zbiórkę środków finansowych dla Artakh za pośrednictwem dobroczynnej Fundacji „Hajastan", w ramach programu „My i nasza granica. Wszystko dla Artakh".

Patriarcha poprosił również kapelanów wojskowych, aby cały czas przebywali razem z żołnierzami, natomiast księża w swoich diecezjach cały czas troszczyli się o rodziny żołnierzy i ochotników, którzy są na wojnie. Kapłani udzielają pomocy duchowo-materialnej osobom, które w czasie wojny straciły swoich mężów, synów i braci.

W ubiegłym roku o pomoc apelował również biskup apostolskoormiański Tawuszu Bagrat Galstanian, mówiąc: „To nie jest tylko walka Ormian, to walka cywilizacji. Nadszedł czas dla ludzi dobrej woli, takich jak Polacy, aby stanąć po stronie sprawiedliwości i uznać prawo do niepodległości i wolności ludzi Arcachu". Przypomnijmy, że patriarcha przybył do Stepanakertu, stolicy Arcachu, aby wesprzeć duchowo swoich rodaków. „To moja ojczyzna, nie ma żadnej różnicy między Armenią i Arcachem. Zagrożenie dla Arcachu jest zagrożeniem dla naszej egzystencji jako Ormian i chrześcijan" – zaznaczył w swojej wypowiedzi biskup Galstanian.

Stepanakert, miasto atakowane i niszczone przez żołnierzy azerbejdżańskich, od starożytności było zamieszkane przez Ormian, jednak Azerbejdżan uważa je za część swojego terytorium.

Warto w tym miejscu przypomnieć, że 101 lat temu Stalin zawarł pakt z Turcją, na mocy którego przyłączył ormiańskie terytorium do Azerbejdżanu. Kiedy Związek Radziecki się rozpadał, to Autonomiczny Górski Karabach zgodnie z sowieckim prawem ogłosił niepodległość, tak jak zrobiły to Armenia i Azerbejdżan. Jednakże azerskie władze nie uznały tego faktu i rozpoczęły krwawą wojnę, którą przegrały. W 1994 r. został zawarty rozejm.

27 września minął rok, od kiedy Azerbejdżan ponownie zbrojnie napadł na Arcach.

OSTATNI BASTION

Biskup Galstanian podkreślił w swoich wypowiedziach, że wojna ta nie ma charakteru konfliktu religijnego między chrześcijaństwem a islamem. „My pokojowo żyliśmy i żyjemy w dalszym ciągu z naszymi muzułmańskimi sąsiadami, chociażby z Iranem. Było też wiele muzułmańskich rodzin, które dały nam schronienie w czasie ludobójstwa w Turcji sto lat temu" – wyjaśniał społeczności międzynarodowej duchowny. Nie oznacza to jednak, że chrześcijaństwo na południowym Kaukazie nie jest zagrożone. „Podkreślałem to wielokrotnie, że Armenia jest ostatnim bastionem cywilizacji chrześcijańskiej, nie samej religii, ale cywilizacji. W Syrii i w wielu innych krajach na Bliskim Wschodzie ta nasza kwitnąca jeszcze niedawno chrześcijańska cywilizacja już znikła. Tak samo w Turcji nic z niej nie zostało, jesteśmy teraz ostatnią granicą" – duchowny mówił rok temu po wybuchu wojny na granicy.

Ormiański hierarcha był rozczarowany postawą międzynarodowej społeczności i brakiem konkretnej pomocy przeciwko tureckiej agresji wobec Ormian. „Najwyższy czas, aby niepodległość Arcachu została uznana i oczekujemy tego nie tylko od chrześcijan, lecz od wszystkich ludzi dobrej woli. To jedyna droga do sprawiedliwości i pokoju. Niestety, reakcje międzynarodowe, zwłaszcza dużych mocarstw, cechuje straszna hipokryzja. Gdzie prawa człowieka?" – pytał zawiedziony obojętnością patriarcha, kiedy po raz kolejny wybuchała wojna.

Biskup uważa też, że jest możliwe pojednanie między Ormianami a Azerami. „My tego chcemy, ale pod jednym warunkiem, że oni muszą zmienić swoje podejście i uznać nasze prawa jako ludzi, którzy zażądali życia w wolności, a także zrozumieć, że nikt nie nam prawa dyktować, jak mamy żyć" – wyjaśnia. „Naród Arcachu ogłosił niepodległość nie od Azerbejdżanu, bo takie państwo wówczas nie istniało, ale od byłego Związku Radzieckiego, stało się to zgodnie z obowiązującym wówczas prawem. Dlatego Arcach ma prawo żyć jako niepodległe państwo. Kto może im to odbierać, na jakiej podstawie? Takie decydowanie, kto ma prawo żyć jako wolny naród, a kto nie, to hipokryzja" – powiedział biskup diecezji Tawusz.

Patriarcha Galstanian zwrócił się również z przesłaniem do nas, Polaków, mówiąc, że polscy Ormianie, którzy tu mieszkają, znają swoją historię i wiedzą, do jakiego narodu należą. „Jestem pewny i wierzę, że robią co tylko mogą w tej trudnej sytuacji" – oświadczył biskup. „Całemu narodowi polskiemu chcę powiedzieć, że czas stanąć po stronie sprawiedliwości i uznać prawo ludzi, którzy powstali i oddają swoje młode życia, walcząc o godne i wolne życie na tej ziemi. To nie jest tylko walka Ormian, to walka o chrześcijańską cywilizację. Nadszedł czas dla ludzi dobrej woli takich jak Polacy, by stanąć po stronie sprawiedliwości i uznać prawo do niepodległości i wolności ludzi Arcachu" – zaapelował dokładnie rok temu, biskup Bagart Galstanian.

Dlatego solidarni z Armenią, krajem męczonym prześladowaniami i wojną, pamiętajmy o niezwykłej podróży Jana Pawła II sprzed 20 lat i o tym, że Ormianie potrzebują naszej pamięci i wsparcia jako naród, który jest bastionem obrony chrześcijaństwa na Bliskim Wschodzie.

Iwona Flisikowska

eprasa.pl 31955fcd36

W Warszawie odbył się Kongres 590. Było to duże zgromadzenie polityków, wysokich urzędników państwowych, ekspertów i naukowców, Obradowano pod hasłem „Nowe możliwości" w siedmiu obszarach tematycznych: nowe państwo, nowe sektory, demografia, zdrowie, nauka wraz z sektorem badań i rozwoju oraz nowy obraz Polski. Ku memu zdziwieniu organizatorzy Kongresu po macoszemu potraktowali problematykę obronności i wojska. Odbył się jeden wątły panel pt. „Żołnierz nowego wzoru"

Z pętlą (decyzyjną) na szyi

ROMUALD SZEREMIETIEW

Zostałem zaproszony do udziału w tym panelu, drugim jego uczestnikiem był mec. Jacek Bartosiak, propagujący od pewnego czasu koncepcję budowania armii „nowego wzoru". Tytuł panelu był wyraźnie skonstruowany pod niego. Poza naszą dwójką więcej uczestników nie było.

Kiedy zjawiłem się na sali, okazało się, że nie ma żadnego prowadzącego spotkanie, który czuwałby, aby paneliści wypowiadali się na podany temat. Dlatego pewnie nie dowiedziałem się od dr. Bartosiaka, jaki ma być ten żołnierz „nowego wzoru". Mówił on tylko o swoim pomyśle armii.

Usłyszałem, że od strony Rosji grożą Polsce co najwyżej jakieś incydenty zbrojne, za których pomocą Rosja będzie usiłowała zapewnić sobie korzystną pozycję w grze o wpływy na kontynencie europejskim. Przy tym p. Bartosiak twierdził, że Rosja ma słabą armię, morale jej żołnierzy jest dużo niższe niż polskich, a ma ogromne terytorium i za mało sił, aby wszędzie je zabezpieczyć. Wysnuł stąd wniosek, że nie stać Rosji na dużą i długą wojnę i na pewno nie grozi nam z jej strony, że zechce Polskę okupować. W tym położeniu, aby ustrzec się przed rosyjskimi zagrożeniami militarnymi – w istocie małymi i ograniczonymi w czasie – należy stworzyć armię „nowego wzoru". Małą, świetnie uzbrojoną, profesjonalną i w pełni ukompletowaną, zdolną do działań ofensywnych, która będzie zwyciężać z wojskami Rosji na terenie przestrzeni geopolitycznej w Europie Środkowo-Wschodniej. Zwycięstwa, według mojego interlokutora, zapewni Wojsku Polskiemu tzw. pętla decyzyjna lepsza od pętli realizowanej w armii rosyjskiej.

KTO NA TYM ZYSKA

Wymieniona pętla to model cyklu podejmowania decyzji OODA (observe, orient, decide, act) opracowany w latach 70. przez Amerykanina Johna Boyda, stanowiący inspirację rozwoju doktryn armii amerykańskiej i pojawiający się jako wzorzec myślenia strategicznego w biznesie. Istota pętli zapewniająca podejmowanie decyzji owocujących sukcesem zawiera się w procesach zdobywania i przetwarzania informacji przeważnie zachodzących równolegle we wszystkich czterech obszarach: obserwacja, orientacja, decyzja, akcja.

Supermocarstwo USA posiada ogromne zdolności zdobywania i przetwarzania informacji, więc stosowanie pętli OODA powinno Amerykanom gwarantować obiecywany efekt. Powstaje pytanie, czy pętla decyzyjna jest w użyciu w przypadku US Army i jak ona zadziałała w Afganistanie, zwłaszcza w czasie ewakuacji sił USA z tego kraju? Nie trzeba też nadzwyczajnej wiedzy, by stwierdzić, że Polska nie ma i nie będzie miała amerykańskich zdolności w sferze pozyskiwania i przetwarzania informacji. Co gorsza, należy też założyć, że Rosja będzie je miała większe niż Polska. Skąd więc przekonanie dr. Bartosiaka, że przy zastosowaniu modelu OODA to Polska, a nie Rosja, będzie odnosić sukcesy?

Armia „nowego wzoru" ma być mała – to nic nowego; w III Rzeczypospolitej tematem często poruszanym była/jest liczebność (wielkość) naszej armii. Co pewien czas słyszymy o konieczności kolejnych redukcji stanów osobowych WP. Nikt już nie pamięta, że w limitach przyznanych Polsce w traktacie CFE-1 (jest taki traktat) zapisano dla naszego kraju 250 tys. żołnierzy. Dotąd słyszeliśmy, że Polski nie stać na utrzymanie licznych sił zbrojnych, a zmniejszenie liczebności WP miało dać oszczędność środków i pozwolić wystawić armię mniejszą, ale za to nowocześniejszą.

Dr Bartosiak twierdzi, że wydajemy dużo pieniędzy na wojsko, ale źle to robimy – tu można się z nim zgodzić. Jednak tym mocniej podkreśla, że jego armia „nowego wzoru" powinna być mała, a rozumie przez to w zasadzie tylko lądowe wojska operacyjne (w USA siły lądowe nazywają się Army,

Fot. Andrzej Wiktor

80/0921/F

REKLAMA

LECZENIE BEZ KOLEJEK

Indywidualne Ubezpieczenia Zdrowotne w placówkach Kasy Stefczyka

SALTUS UBEZPIECZENIA

Informacja o charakterze reklamowym i marketingowym

www.saltus.pl/zdrowotne

eprasa.pl 31955fcd36

a są jeszcze Air Forces – lotnictwo, Navy – marynarka wojenna, Marines – piechota morska).

MAŁA ARMIA

W latach 20. XX w. zwolennikiem małej armii „nowego wzoru" był niemiecki generał Hans von Seeckt. Zakładał on błyskawiczne natarcie takiej profesjonalnej i świetnie uzbrojonej armii, zniszczenie nieprzyjaciela, zanim zmobilizuje on swoje siły. Ta teoria organizacji sił zbrojnych została niejako na Niemcach wymuszona. Traktat wersalski zakazał Rzeszy Niemieckiej posiadania dużej armii. Wraz z odrzuceniem zobowiązań z Wersalu przez Hitlera Niemcy szybko zapomniały o koncepcji małej armii. Dodajmy jeszcze, że sukces takiej małej armii w wojnie zależał według von Seeckta od gwałtownego i niespodziewanego ataku. Ataku bez wypowiadania wojny! Współcześnie, w polskich warunkach, taki sposób użycia wojska nie może mieć zastosowania.

W przypadku Polski w przeszłości ćwiczyliśmy obronę za pomocą małej armii. Było to w okresie Sejmu Czteroletniego. W wojnie z Rosją, w 1792 r. Polska wystawiła ponad 50 tys. żołnierzy. Było to wojsko dobrze wyszkolone, zaopatrzone i odpowiednio wyposażone. Nie ustępowało wojskom rosyjskim, np. wysoką wartość bojową prezentowała polska artyleria, czego dowodem były bitwy pod Mirem, Zieleńcami, Dubienką. Historyk wojskowości gen. Marian Kukiel wysoko oceniał walory tego wojska. W wojnie z Rosją wystąpiły braki w dowodzeniu (zwłaszcza strategicznym), były przykłady zdrady wśród dowódców, jednak najważniejszym brakiem okazała się liczebność polskich wojsk. Gdyby Polska zgodnie z zamiarami rzeczywiście stworzyła 100-tysięczną armię, to sytuacja na polach bitewnych byłaby inna. Norman Davies pisze („Boże igrzysko, Historia Polski"): „W r. 1791 stosunek liczby przeszkolonych żołnierzy państwa [Polski] do ogółu dorosłej ludności męskiej osiągnął liczbę 1:472. Ta godna pożałowania statystyka nie wytrzymuje porównania z analogiczną liczbą 1:153 we Francji, 1:90 w Austrii, 1:49 w Rosji czy wreszcie 1:26 w Prusach". Nic więc dziwnego, że w 1792 r. Polska nie mogła wyprowadzić zbyt wielu żołnierzy. Zabrakło po prostu wyszkolonych rezerw.

W czasie pokoju armia ma do spełnienia w zasadzie dwa zadania: powinna skutecznie odstraszać potencjalnego wroga swoimi zdolnościami obronnymi i szkolić możliwie wielu ludzi, aby można było wystawić odpowiednio liczne siły zbrojne w przypadku wojny. Przy tym nie warto kopiować systemów militarnych mocarstw, trzeba raczej szukać wzorów dla naszego państwa średniej wielkości, spoglądając na Szwajcarię czy Izrael, które dysponują skutecznymi systemami obronnymi. Dysponują armiami, które mogą w stanie zagrożenia rozwinąć się do rozmiarów poważnych liczebnie. Dbając o proporcjonalną do wielkości Polski liczbę żołnierzy, uwzględniając środki na obronę i jej wymogi, musimy sobie uświadomić, że nasza armia nie może być mała, a w jej składzie mają być nie tylko wysoko opłacani profesjonaliści. Trzeba przecież ustalić, jak armia czasu „P" (pokój) zagwarantuje stosowne przeszkolenie i przygotowanie rezerw, muszą w niej być bowiem przede wszystkim żołnierze terytorialni, na co dzień zwykli obywatele. Polska musi stworzyć własną, odpowiednią do warunków, strategię odstraszania, aby nie była postrzegana jako łatwa zdobycz. Mała armia, nawet najbardziej nowoczesna, nie może spełnić takiej odstraszającej funkcji. Nie możemy rywalizować z Rosją w liczbie czołgów, rakiet czy samolotów. Możemy jednak przygotować wariant obrony i odpowiednią armię, która będzie wiarygodnym instrumentem naszej siły, gdyż można niszczyć drogie, ciężkie uzbrojenie przeciwnika stosunkowo tanimi środkami bojowymi. Przenośne wyrzutnie rakiet, miny i amunicja precyzyjnego rażenia, drony i roboty bojowe, wreszcie cyberprzestrzeń pozwalają tworzyć siły bardzo skuteczne w obronie.

> Polska musi stworzyć własną, odpowiednią do warunków, strategię odstraszania, aby nie była postrzegana jako łatwa zdobycz. Mała armia, nawet najbardziej nowoczesna, nie może spełnić takiej odstraszającej funkcji

W 1995 r. Mirosław Cielemęcki w tygodniku „Wprost" zarzucił dowództwu WP uprawianie „kultu armatniego mięsa", ponieważ Sztab Generalny sprzeciwiał się dalszym redukcjom wojska. Autor artykułu twierdził, że w tej kwestii MON i SG WP różnią się w poglądach. Zdaniem Cielemęckiego minister obrony chce redukować wojsko, gdy sztabowcy to blokują. Pogląd red. Cielemęckiego poparł gen. bryg. Stanisław Koziej, wówczas dyrektor Departamentu Systemu Obronnego MON.

Zwolennicy małej polskiej armii nie rozumieją kwestii podstawowej – liczba żołnierzy nie tylko decyduje, czy napastnik będzie w stanie stabilizować sytuację, okupując napadnięty kraj, ale liczba obrońców też rozstrzyga, czy on w ogóle odważy się na agresję.

Rosja otwarcie deklaruje, że będzie używać działań asymetrycznych w swoich akcjach ofensywnych na obcym terytorium i do takich działań przygotowuje wojska specjalne. Jedną z takich akcji było zajęcie Krymu w 2014 r. Pamiętając o tym, trzeba uświadomić sobie, że rosyjskich dywersantów nie da się wyeliminować, ścigając ich na czołgach Abrams i celując w nich rakietami Patriot. Potrzebne będą do tego siły terytorialne, obywatelskie rozmieszczone wszędzie, zakorzenione w lokalnych społecznościach.

Józef Piłsudski ostrzegał przed kopiowaniem „obcych wzorków". Wymyślona w USA pętla decyzyjna, zastosowana w polskich warunkach, może się okazać pętlą na szyi polskiej obrony, którą zaciśnie nam Moskwa.

eprasa.pl 31955fcd36

„Rysa", która rozcięła i zburzyła życie serialowej bohaterki, karierze Julii Kijowskiej zdecydowanie wyszła na dobre. Podobnie jak „Układ", z którego próbuje się właśnie uwolnić ekranowa Monika Brzozowska

Na własny rachunek

Fot. Wojtek Olszańka/East News

eprasa.pl 31955fcd36

JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Komisarz Brzozowska z trzymającego w napięciu thrillera „Układ" w reż. Leszka Dawida, emitowanego właśnie na antenie AXN, z trudem wpisuje się w galerię postaci pozytywnych. Jednocześnie – i to wielka zasługa grającej ją aktorki – nie pozwala widzowi oderwać od siebie oczu. Może go irytować, może oburzać, zwłaszcza gdy jej bezwolność daje z początku przewagę niosącym śmierć przestępcom, ale widza przy sobie zatrzymuje. Zmusza do bycia z sobą, towarzyszenia jej w najgorszych i najtrudniejszych momentach. Gdy zmanipulowana i zmaltretowana życiem, po traumie finału „Rysy" („Układ" jest kontynuacją tamtej historii) powraca do zgubnego nałogu, ale przede wszystkim gdy próbuje wydobyć się z matni, po raz kolejny odciąć od narkotyków oraz osaczającej ją kryminalno-politycznej sieci.

KLUCZ DO SUKCESU

Monika Brzozowska wypełnia sobą sceny i kadry. Nie daje szansy innym postaciom. I ich odtwórcom. A galeria aktorska jest imponująca. W obsadzie „Układu" znaleźli się m.in. Dawid Ogrodnik, Kinga Preis czy Adam Woronowicz. Tajemniczą kobietę, która już w „Rysie" siała zło, gra Sylwia Juszczak-Krawczyk. Jednak to Julia Kijowska jest kluczem do sukcesu ekranowych wersji powieści Igora Brejdyganta (obie książki, z serialowymi okładkami, trafiły znów do czytelników).

Pracę przy najnowszych realizacjach aktorka nazwała zawodowym maratonem. W wywiadzie dla magazynu „K MAG" mówiła: „Zrobiłam dwa sezony właściwie jeden po drugim, angażując się w kolejne etapy produkcji. Uczyłam się odpowiednich proporcji w tak gęstej i długiej opowieści – które sceny pielęgnować, a które warto odpuścić. Zaskoczyło mnie, jak gęsto trzeba grać, jak precyzyjnie i jak daleko sięgać, żeby osiągnąć zadowalający efekt po montażu. Serial kryminalny to konwencja i w wirze opowieści ginie masa szczegółów, które z mojego zawodowego punktu widzenia wydają się najciekawsze. To trzeba wiedzieć i o tym pamiętać, bo dużo materiału to wcale nie lepiej poprowadzona historia. Ja walczyłam praktycznie o każdą scenę, bo wiedziałam, że masa z nich nie zmieści się w ostatecznej układance".

W GŁĘBOKIEJ WODZIE

Oszczędna w gestach, introwertyczna... Julia Kijowska stała się specjalistką od ról trudnych. Potrafi zaintrygować, w niektórych aktorskich wcieleniach niemal zahipnotyzować widza. Taka była jako zachłanna na życie Chaja w filmie Agnieszki Holland „W ciemności"; molestowana przez szefa młoda żona z „Miłości" Sławomira Fabickiego czy umierająca na raka studentka w serialu „Bez tajemnic". W zdominowanych przez mężczyzn filmach Wojciecha Smarzowskiego „Drogówka" i „Pod Mocnym Aniołem" stanowiła wyrazisty kobiecy kontrapunkt.

W czołówce „Układu" jej bohaterka opada bezwładnie – samotna, zdana tylko na siebie – otoczona głęboką wodą. Kijowska od początku aktorskiej drogi rzucana właśnie na głęboką wodę bynajmniej nie była w niej bezwolna.

Starała się pracować na własny rachunek, nie podpierając się rodzinnymi koneksjami (jest córką reżysera Janusza Kijowskiego i siostrą operatora Jakuba Kijowskiego). – Nigdy nie czułam się faworyzowana ze względu na to, czym zajmował się mój ojciec. Na wszystko zapracowałam sobie sama – zapewnia.

16 marca tego roku obchodziła 40. urodziny. Zawodowy „Egzamin z życia", ze świeżo zdobytym dyplomem w ręku, zaczęła zdawać na planie serialu, który wystartował w roku 2005.

Duży ekran upomniał się o nią w 2008 r. – zagrała w „Boisku bezdomnych" Kasi Adamik. Tu pierwszy raz spotkała się przed kamerą z Marcinem Dorocińskim. Po czterech latach stworzyli przejmującą małżeńską relację w „Miłości" Fabickiego, a po kolejnych dwóch u Jana Jakuba Kolskiego w „Sercu, serduszku" (2014) zagrali dwójkę outsiderów, których łączy samotna dziewczynka. Kolski powierzył aktorce główną kobiecą rolę, zapamiętawszy ją z wcześniejszej o cztery lata „Wenecji".

PRZESUWANIE GRANICY

Chwalona za kreacje tworzone w kinie i na scenie, także w serialach „Głęboka woda" czy „Bez tajemnic", podobnie jak w „Rysie" i „Układzie", pokazała, że mały ekran nie musi umniejszać rangi zagranej roli. Że bohaterki, którym – coraz lepiej operując aktorskim warsztatem – oddaje swój umysł, emocje i ciało, mogą być równie wielowymiarowe i przejmujące jak w kinowych fabułach: „Pod Mocnym Aniołem" (2014), „Zjednoczone stany miłości" (2016), „Żelazny most" (2019) czy „Fisheye" (2020).

Od pierwszych zawodowych prób w każdym kolejnym zadaniu Julia Kijowska udowadnia, że potrafi znaleźć przestrzeń do podniesienia aktorskiej poprzeczki i przesuwania granicy pełnego oddania się roli. Świadomego wejścia w nią.

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl 31955fcd36

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Stara Kobieta nadal wysiaduje

Stara kobieta wysiaduje" – ten dramat Tadeusza Różewicza Teatr Telewizji zrealizował z okazji jego roku. Dzieło powierzono Andrzejowi Barańskiemu, 80-letniemu reżyserowi, który zaledwie przed rokiem zrobił dla TVP fenomenalne „Badyle", też częściowo według tekstów tego autora. Tamten spektakl był realistyczny, choć i poetycki. Tu zaś mamy jedną z najbardziej metaforycznych sztuk Różewicza, właściwie groteskowy strumień świadomości bazujący na lękach przed końcem ludzkiej cywilizacji.

Nie mogłem widzieć prapremiery „Starej kobiety...". Wystawił ją mistrz sensów wszelkich Jerzy Jarocki w roku 1968. Widziałem za to 10 lat późniejszą inscenizację Helmuta Kajzara w Teatrze Narodowym. Rolę tytułową zagrał mężczyzna – Wojciech Siemion. Krytycy przyjęli tę wersję chłodno, zarzucając reżyserowi wypaczenie rozmaitych Różewiczowskich znaczeń. Ja, w pierwszej klasie liceum, niewiele zrozumiałem. Ale pozostał we mnie obraz sceny zawalonej śmieciami i brodzący w nich Andrzej Łapicki jako Ślepiec, postać w czarnych okularach. To przerażało.

Pandemia przyniosła erozję krytyki teatralnej, a produkty TVP są dodatkowo pomijane przez część mediów. Trafiłem na e-teatrze na trzy recenzje. Jeden autor twierdził, że tekst jest może bardziej aktualny teraz niż wtedy, pełen odniesień do zanieczyszczeń ziemi i zapaści demograficznej. Ale Barański miał według niego wyprodukować obraz chybiony i pusty. Przypominam, że mowa o twórcy, który wychował się artystycznie w pobliżu Różewicza, robił już jego sztuki, i którego rodzina zmarłego uznała za godnego tej inscenizacji. Nie byłbym tak pochopny w orzekaniu (bez konkretów), że się zasadniczo pomylił.

Dwie inne recenzje były laurkami, ale głównie dla aktorów. Nie mierzyły się za to specjalnie z wymową, z intencjami Różewicza i ich współczesnym odczytaniem. Ja doznałem wrażenia, choć brzmi to jak bluźnierstwo, że niektóre partie tego dramatu brzmią dla mnie odrobinę archaicznie. Te przestrogi przed III wojną światową, to zderzenie biologii, macierzyństwa i młodości z przemocą – trochę to przynależy do odleglejszych epok. Choć pozostaje zawsze sugestywne przeczucie apokalipsy i potem świata na wpół postapokaliptycznego. Kiedy Ślepiec opowiada, pośród stert nawet nie śmieci, lecz złomu, o pięknej drodze nad morze, czujemy dreszcz. Nawet jeśli popkultura pojęcie apokalipsy tak bardzo zbanalizowała.

Barański ścisnął tekst, wyrzucił część wypowiedzi i postaci. Zmienił odrobinę zakończenie, tu tylko dorozumiane. Ale oglądając ogród botaniczny, pochłaniany z woli scenografa Andrzeja Halińskiego wraz z kawiarnianymi stolikami przez złomowisko, ciekawie filmowany przez Grzegorza Kędzierskiego, zaczynamy się wsłuchiwać w te strzępy zdań. One się jawią jako kolejne śmietnisko. „Badyle" i to przedstawienie łączy Ewa Dałkowska. Tu niezależnie od tego, co tak naprawdę Stara Kobieta symbolizuje, czujemy siłę jej osobowości wyłaniającą się z niemądrego, a czasem prawie obscenicznego pleplania o rodzeniu, ciele, jedzeniu, świecie.

Dopełnia obrazu fenomenalny Jan Frycz jako Pan będący uosobieniem degeneracji dawnej elity (ma go definiować zapomniane określenie „kozer", stosowane wobec ludzi elokwentnych). Grzegorz Mielczarek i zwłaszcza Vova Makovskyi (wbrew pozorom absolwent warszawskiej Akademii Teatralnej) w rolach kelnerów, starego i młodego, dobrze czytają zawikłane sygnały poetyckiego wielosłowia Różewicza. A Jarosław Gajewski jest wstrząsający jako Ślepiec. Nawet jeśli to opowieść pełna bardziej wrażeń niż znaczeń (choć znaczenia też są), warto się jej poddać.

Piotr Zaremba

prasa.pl 65fcd36

ROBERT TEKIELI

3 MIŁOŚCI

Posępne postępy postępu

Jedno z rewolucyjnych mediów marksistowskich ogłasza: Nastolatki na całym świecie chcą uciec z szufladki z napisem „chłopak" lub „dziewczyna". To proces, który widać już gołym okiem, chociaż nie został jeszcze zbadany. Wygląda na rewolucję na miarę rewolty z lat 60.

Jak robi się taką rewolucję? Kanadyjska Izba Gmin uchwala ustawę kryminalizującą terapię konwersyjną. Projekt ustawy zaproponowany przez rząd Trudeau grozi karą więzienia do pięciu lat tym, którzy pomagają nieletnim z dezorientacją płciową lub niechcianym pociągiem do osób tej samej płci. A w kinach już wkrótce film, w którym syn Supermana jest biseksualnym superbohaterem, zaangażowanym w walkę z pożarami spowodowanymi zmianami klimatycznymi i w protesty przeciwko deportacji uchodźców.

W Kanadzie można zabrać dzieci rodzicom, jeżeli ci nie „wspierają transseksualnego rozwoju" swoich pociech. W Wielkiej Brytanii za krytykę transaktywistów grożą kary za „zbrodnie z nienawiści". Jednocześnie w tej samej Wielkiej Brytanii w klinice dla osób transpłciowych leki blokujące dojrzewanie podawano nawet nieświadomym niczego kilkulatkom. Do kliniki trafiło 2519 dzieci, z których najmłodsze miało trzy lata.

Dla rewolucjonistów kulturowych bardzo ważny jest język. Pracownik Akademii Sztuki w Szczecinie będzie musiał się zwracać do studenta takim zaimkiem (on/ona/ono), jak sobie każdy student życzy. Linie kolejowe w Londynie wyraziły ubolewanie z powodu konduktora, który powitał pasażerów „dzień dobry, panie i panowie", obrażając osoby LGBT. W Hiszpanii nauczyciel biologii został zawieszony i pozbawiony części pensji za nauczanie, że istnieją dwie płcie biologiczne determinowane przez chromosomy XX i XY. Fakty naukowe uznano za homofobiczne, rasistowskie i patriarchalne.

Oto krajobraz już po bitwie: BBC ogłasza nabór na stanowisko stażysty ds. zarządzania produkcją. Kandydat musi być „zróżnicowany etnicznie, czarnoskóry lub Azjata". Burmistrz Chicago zadeklarowała, że nie będzie udzielać wywiadów białym dziennikarzom. Światowej sławy kompozytor i dyrygent Bright Sheng, od 26 lat profesor uniwersytetu Michigan, został wyrzucony za „rasizm". Pokazał studentom szekspirowskiego „Otella" z 1965 r., w którym Laurence Olivier ma twarz pomalowaną na czarno. Inny amerykański profesor za odczytanie studentom fragmentu powieści Marka Twaina został wydalony z uczelni, pułkownik US Army za wypowiedź o teorii rasy zakorzenionej w marksizmie został zaś pozbawiony dowództwa.

Nie wystarczy karać, amerykańska uczona Mathilde Cohen, „wykładowczyni" University of Connecticut, podczas konferencji naukowej w Paryżu oskarżyła kuchnię francuską o rasizm. Podczas tzw. tygodnia doktoranckiego w jednym z paryskich instytutów stwierdziła: „Biała zastawa stołowa jest rasistowska". „Nawyki żywieniowe Francuzów oraz innych narodowości wzorujących się na Francji są rasistowskie i kształtowane przez normy białej wyższej klasy średniej". „Wybielanie żywności" wzmacnia „dominację białej rasy".

No i jeszcze marksizm zielony. Wspierający niczym nieograniczoną aborcję ekologiczni aktywiści europejscy dążą do zakazu zabijania kurzych zarodków, gdyż mogą one odczuwać ból.

W trosce o wizerunek rekinów władze niektórych stanów Australii zakazały stosowania zwrotu „atak rekinów". Ma on zostać zastąpiony zwrotami „interakcja" lub „negatywne spotkanie". Ekomarksiści głoszą też, że wysoka trawa wychładza wyspy ciepła i zwiększa bioróżnorodność. W Poznaniu, Krakowie, Warszawie i Gdańsku od roku funkcjonuje program #OgraniczoneKoszenie.

Troszczmy się o wizerunek rekinów. Nie jedzmy rasistowskich potraw. Dbajmy o to, by w szkołach nie głoszono teorii opartych na rasowo wrogich faktach. Uważajmy, co mówimy o chromosomach. I oglądajmy telewizję. Obowiązkowo uruchomiony tydzień temu program randkowy dla gejów. Poznajmy jego wszystkich uczestników, którzy razem z szukającym tego jedynego Jackiem Jelonkiem zamieszkają w luksusowej willi. Kto okaże się wybrankiem serca dla tytułowego księcia z bajki? No kto? No i kiedy zakaz odwożenia dzieci do szkoły, który w Warszawie jest już w fazie testów?

eprasa.pl 31955fcd36

WOJNA CYWILIZACJI

Zwyczajny normalny świat składa się z setek ludzkich dziwactw – pomyślałem, oglądając serial ***„Kasztanowy ludzik"***, duński thriller psychologiczny, który jest adaptacją debiutanckiej powieści Sørena Sveistrupa, przetłumaczonej na 28 języków i opublikowanej w 50 krajach. Podobnie jak książka, również pierwszy sezon serialu wzbudził żywe zainteresowanie, doczekał się wielu recenzji, mimo że premierę miał ledwie trzy tygodnie temu. Co więcej, należy też do produkcji najchętniej oglądanych na Netflixie.

Na ekranie niehollywoodzkie twarze aktorów, ale też sztampowo niesztampowi bohaterowie. Niepasujący do siebie, skonfliktowani policjanci po przejściach. Ambitna młoda detektyw Naia Thulin (Danica Curcic) oraz jej przypadkowy, nowy partner Mark Hess (Mikkel Boe Følsgaard). Nie chcą być tu, gdzie są, nie chcą z sobą współpracować – oczywiście wielokrotnie już to oglądaliśmy. Do tego przeciętnie zagrane role drugoplanowe. Na szczęście intryga prowadzona jest sprawnie. Fałszywe tropy, kolejne warstwy opowieści komplikujące dotychczasowy obraz sprawy. I wszystko to zagmatwane w klarowny sposób, tak by zaciekawić, ale nie zmęczyć.

Na ekranie makabryczne zbrodnie i malarskie ujęcia. Z dominującym brązem van Dycka. Oglądam i wiem na pewno, że Dania to kraj, w którego lasach ciągle trwa jesień. Ale to przecież skandynawski kryminał, nordic noir, więc historia rozpoczyna się od czterech trupów, odciętej dłoni z pierścionkiem zaręczynowym i zakrwawionej siekiery obok wanny. Dla Sveistrupa i – uczciwie dodajmy – dla większości widzów rok 1984 jest zamierzchłą przeszłością. W makabrycznym prologu sprzed 30 lat zawiązany został konflikt, akcja toczy się zaś wokół historii matki, której porwano córeczkę. Kobieta jest dziś ministrem, odpowiada za politykę państwa wobec rodziny. Forsuje odbieranie dzieci rodzinom, w których dochodziło do przemocy. Albo państwo uznało, że tak było.

Z jednej strony mamy bezwzględny System, z drugiej obserwujemy, jak za fasadą pozornie idealnego skandynawskiego społeczeństwa kryją się makabryczne zbrodnie i przemoc wobec najsłabszych. Jedno słowo opisujące świat przedstawiony serialu: samotność. Rozbite rodziny, alkoholizm, molestowanie, przemoc, nieudolne, kanciaste próby nawiązania relacji między dorosłymi. Mężczyzna i kobieta poznają się w internecie i mieszkają razem, nic o sobie nie wiedząc. Brzydki, wymuszony seks przy śmietniku pomiędzy dwojgiem obcych sobie ludzi. Znęcanie się nad dziećmi, porażająca rzeczywistość. I druga jej strona: iście skandynawska troska o dzieci, a w jej efekcie szukające zemsty małżeństwo śmiertelnie skrzywdzone państwową przemocą. Mamy też donosiciela. Obrońcę dzieci – atakującego młode matki seryjnego mordercę, który wymierza swoją sprawiedliwość identycznie jak wszechmocne państwo. Dokładnie tak samo jak wrażliwa społecznie pani minister. A w dodatku cały ten kołowrót potwornych zbrodni został uruchomiony przez zwykłą zazdrość, za którą poszło kłamstwo.

„Kasztanowy ludzik" nie jest dziełem wybitnym. Nie niesie za sobą przenikliwych obserwacji ani nawet mądrości na poziomie dostępnym popkulturze. Bo za taką trudno uznać konstatację, że miarą rodzicielskiej miłości jest czas poświęcony dzieciom (detektyw zatraciła się w pracy i jej córeczka woli mieszkać u dziadka). Jednak nie żałuję czasu spędzonego na oglądaniu serialu. Miło było na przykład zobaczyć ponure osiedle bloków z wielkiej płyty w niepostkomunistycznym kraju. Miło było nie zobaczyć wątków homo/gender/feministycznych. No i jeszcze jedna zaleta serialu. Rozbija stereotypy. W takiej niby progresywnie europejskiej Danii parlament rozpoczyna pracę w pierwszy wtorek października od nabożeństwa. Dziki kraj.

Robert Tekieli
Polskie Radio

eprasa.pl 31955fcd36

Wojciech Stanisławski

Krzyżyk pod chustą pioniera

Pamięć zsyłek Polaków w kazachski step – rozpoczętych w wieku XIX, praktykowanych na gigantyczną skalę przez ZSRS, najpierw po likwidacji polskiej autonomii na Ukrainie w połowie lat 30., później w ramach wywózek po 17 września – jest w polskiej świadomości obecna. Kojarzona jest ziemia kazachska, obarczona brzmieniem bez swojej winy, egzotyczne nazwy – Jangi-Jul, Akmolińsk, Kustanaj, Szortandy – są znane z wierszy Wata, ze wspomnień żołnierzy i cywilów Armii Andersa.

Opublikowano, po latach, wiele relacji i reportaży, czasem spisanych własną ręką, częściej wysłuchanych przez reportera. Z reguły są zapisem tragedii pierwszych tygodni czy miesięcy: wojsko okrążające nad ranem wioski, gorączkowe pakowanie pod okiem enkawudzisty, wagon, mróz, śmierć, pusty step, na który trafiają rodziny z dziećmi, czasem sanie czy wóz Kazachów dzielących się sianem lub drewnem – te sceny są jak gwoździe w opowieściach, snutych przy tym niezwykłym językiem, jakby ciemne żyłki cięły bursztyn: wiejska polszczyzna kresowa, polszczyzna jak z Czernyszewicza czy Wołoszynowskiego, niesie ciężki narzut rusycyzmów, sowieckiej nowomowy i terminologii. Niektóre relacje, jak ta Stanisława Żywutskiego, opublikowana onegdaj przez LTW, od początku spisywane były po rosyjsku... Powojenne lata, odwilże i kampanie rolne kwitowane są często krótką, tragiczną formułą „przywykliśmy". Dość często pojawiają się relacje o „podziemnym kościele", o potajemnych chrztach i ręcznie spisywanych modlitewnikach, znacznie rzadziej o ścieżkach kariery, deklarowaniu narodowości rosyjskiej („ja zapisałsja russkim") w nadziei na wyrwanie się z kołchozu o glinianych ścianach.

Autorzy opracowań historycznych traktujących o Polakach w Kazachstanie starają się oczywiście zachować proporcje, syntetyzować doświadczenia. Rezultatem ich wysiłków bywa jednak w najlepszym razie opisanie polskiej społeczności jako wyodrębnionej traumą, wiarą i językiem grupy, która trafia „donikąd". Północnokazachski step nie ma w tych opracowaniach swojej historii, pełni jedynie funkcję tła, z którego, niewyraźne jak sylwetki w buranie, pojawiają się czasem drugorzędne dla tej narracji postacie: jacyś Kazachowie, urzędnicy, przemycani od kołchozu do kołchozu księża, czasem, niepojęci w tym krajobrazie, Koreańczycy czy Niemcy. Kazachstańscy Polacy pozostają zamknięci w swojej krzywdzie.

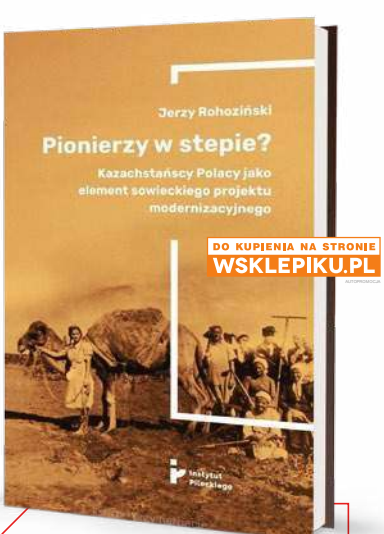

Jerzy Rohoziński, „Pionierzy w stepie? Kazachstańscy Polacy jako element sowieckiego procesu modernizacyjnego", Instytut Pileckiego, 2021

Trzeba było takiego badacza jak Jerzy Rohoziński, od lat zajmującego się Kaukazem i Azją Środkową, a szczególnie presją modernizacji, jakiej poddawany był ten obszar, żeby – nic nie ujmując polskim zesłańcom – radykalnie zmienić ramy tej opowieści. Rohoziński pokazał, w jaki sposób Polacy stali się elementem gigantycznego projektu modernizacyjnego. Projekt ten, napędzany marzeniami o „wewnętrznej kolonizacji" Rosji, podejmowany był jeszcze przez gubernatorów, marzycieli i agronomów już za czasów carskich. W stalinowskich czasach został ściśle powiązany z systemem represji, nabrał charakteru ludobójczego, by ostatecznie pociągnąć za sobą gigantyczną katastrofę ekologiczną.

Dla Rohozińskiego, autora takich prac, jak „Bawełna, samowary i Sartowie. Muzułmańskie okrainy carskiej Rosji 1795–1916" jest to okazja do przywołania dziesiątków kontekstów tego procesu, który miał swój wymiar ekologiczny i etnograficzny, wiązał się z gigantycznymi przesiedleniami, zmianą stosunków narodowościowych w Azji Środkowej i zmianą samej formuły istnienia koczowniczych plemion, wtłaczanych w ramy „narodu" pojmowanego na europejski sposób. Wielość

eprasa.pl 31955fcd36

wątków chwilami oszałamia: czytamy o sporach teoretyków kolonizacji wewnętrznej, o rozpadzie Średniego Żużu, kazachskim wariancie Wielkiego Głodu, ewolucji pobożności islamskiej w czasach sowieckich, koncepcjach sowieckich etnografów i hierarchiach, kształtujących się w „tyglu zesłanych narodów", jakim stał się Kazachstan. Również – o zjawisku bez precedensu, jakim była „ekumenia" zesłańczego stepu, o próbach legalizacji czy instytucjonalizacji podziemnej pobożności w epoce Breżniewa i dyskretnej rywalizacji różnych wyznań.

To poszerzenie kontekstu historii „polskich zsyłek" jest wyzwalające, stwarza zupełnie nowe perspektywy badawcze. Rohoziński mnoży je jeszcze, zwracając uwagę na zasoby obecne w lokalnych archiwach, na możliwość (i potrzebę!) napisania zupełnie nowej historii społecznej polskiej ludności Kazachstanu. To kolejna praca wydana przez Instytut Pileckiego, która jest czymś dużo więcej niż zwykłą monografią.

Fontanna z witriolu i sepii

21 już tom „Archiwum »Kultury«", a przecież nie tylko w tej serii ukazują się kolejne opracowania listów do i od redaktora. W miarę pojawiania się kolejnych coraz więcej satysfakcji sprawia nie tyle dociekanie na ich podstawie faktów, ile śledzenie paralelizmów i rozbieżności: jak Giedroyc poczyna sobie z Jeleńskim, Mieroszewskim i Gombrowiczem jednocześnie, którego z nich bierze pod włos, którego stara się ująć, czy pozwala sobie na konfidencje i niedyskrecje? Na podstawie „Archiwum »Kultury«" można by dziś pisać nie tylko o historii i literaturze, lecz także o dynamice grupy, o sposobach wywierania nacisku i sprawowania władzy, o całej sieci relacji między błyskotliwymi, rozgoryczonymi, mizantropicznymi autorami. Są to jednak rozrywki dla osób wtajemniczonych w kosmos „Kultury" i lubujących się w wychwytywaniu drobnych różnic odcieni w relacjach Giedroycia z poszczególnymi korespondentami. Dla większości czytelników, nawet biegłych w humanistycznych wtajemniczeniach, kolejny tom korespondencji, w wielu kwestiach pokrywający się z poprzednimi, jest dyskusyjną propozycją do lektury.

Nie Zbyszewski. Wacław Alfred Zbyszewski, konkurujący trochę przez całe życie o rozpoznawalność z o rok młodszym Karolem, który zapisał się w pamięci wielu jako autor „Niemcewicza od przodu i od tyłu". Pełna spuścizna Wacława pozostaje, jak stwierdza we wstępie do „Listów..." Rafał Habielski, w dużym stopniu nieznana; po latach nieobecności wrócił w ubiegłym roku na półki za sprawą zbioru wspomnień „Ludzi, których znałem", również wydanego przez Więź. Emigrant i obieżyświat, stary kawaler mieszkający w wynajętych pokojach nie dbał o dokumentowanie dorobku.

Jeśli kiedyś podjęty zostanie wysiłek wydania wszystkich jego pism, nie będzie problemu z określeniem autorstwa wszystkich tych listów i felietonów, pisywanych niedbale pod różnymi pseudonimami do londyńskiego „Dziennika Żołnierza..." i „Wiadomości" Grydzewskiego; również do „Kultury". Nieprawdopodobna dezynwoltura, mizantropia, zjadliwość wręcz w dostrzeganiu słabości u bliźnich, połączona z czarnowidztwem – ale i pasjami. Rozpoznać po tym można każdy jego portret, niesłychanie plastyczny dzięki nieprzemilczaniu śmieszności jego bohatera – tym bardziej zaś uderza to w listach, które i tym różnią się od większości korespondencji Giedroycia, że Zbyszewski był mu prywatnie z racji przedwojennej współpracy, urodzenia, może i innych czynników jedną z najbliższych osób. Giedroyc nie tylko akceptuje łamanie przez swego londyńskiego/monachijskiego korespondenta konwencji, zalewanie go kolejnymi plotkami i niedyskrecjami – sam nieraz odsłania nie tylko swoje kombinacje wydawnicze, lecz i dolegliwości.

Tej mizantropicznej pasji Zbyszewskiego nic nie oddaje tak, jak cytat. „Naprzeciw mnie siedzi [...] który jest, zdaje się, synem jakiejś praczki – relacjonuje swój dzień jak co dzień w monachijskiej redakcji Głosu Ameryki. – Jest tak potwornie głupi, że od dwóch lat nie zamieniłem z nim ani słowa. [...] Doprowadza mnie do takiego szału, że rozmowę z nim ograniczam dosłownie do 30 sekund dziennie, a Erdman jest jeszcze o wiele gorszy. Chrzanowski jest usypiający, Slaski impossible, taki cham. Sambor beznadziejny, [...] – no jaka beznadziejna galeria beznadziejnych typów. Słowem muszę zażywać proszków histerycznych już w momencie przyjścia do biura, bo inaczej mógłbym rzucić się przez okno (3. piętro i wysoki parter)".

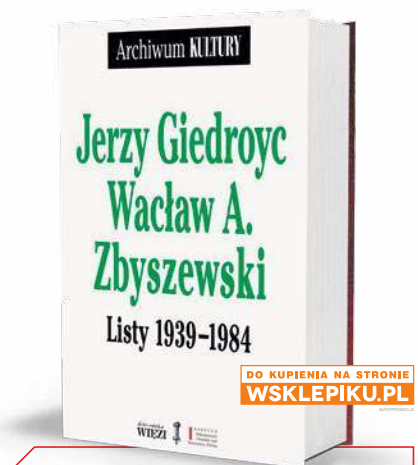

Jerzy Giedroyc, Wacław A. Zbyszewski, „Listy 1939–1984", Biblioteka Więzi, 2021

Witriol leje się strugą, inkrustowany łacińskimi i francuskimi zwischenrufami, cierpkimi uwagami o urodzie kobiet i ewolucji Kościoła, deklaracjami przyjaźni i aktami wielkoduszności; Giedroyc niknie niemal pod tym łopotem fraz i płaszcza. Temperament ten sam co u braci Mackiewiczów, braci Pruszyńskich, Melchiora Wańkowicza. I jak tu nie wierzyć w kresowy charakter? Złośliwości, szyderstwa i sarkazmy ludzi urodzonych w Wielkim Księstwie (albo, jak Zbyszewski, w ukraińskiej Bokijówce) inaczej jakoś, smaczniej brzmią niż u wychowanków Opola, Łodzi czy Piaseczna.

eprasa.pl 31955fcd36

Na dobrym kursie zmian

Prof. Adam Glapiński, prezes Narodowego Banku Polskiego, otrzymał Polski Kompas 2021 „za bezkompromisowe, przemyślane i skuteczne decyzje podejmowane przez bank centralny w czasie kryzysu, za złoto, którego wciąż przybywa w skarbcu Narodowego Banku Polskiego, za niezależność i spokój godny władzy finansowej kraju". Podczas uroczystej gali redakcja „Gazety Bankowej" i portalu wGospodarce.pl zaprezentowała siódme już wydanie „Polskiego Kompasu – rocznika instytucji finansowych i spółek akcyjnych"

Rocznik „Polski Kompas", przygotowywany przez zespół ekonomiczny Grupy Medialnej Fratria, dziennikarzy „Gazety Bankowej" i portalu wGospodarce.pl, jest niezwykłym wydawnictwem, opartym na artykułach tworzonych przez wyjątkowych autorów. Na 340 stronach, zawierających 111 tekstów 108 autorów, znalazły się artykuły premiera Mateusza Morawieckiego, wicepremierów Jacka Sasina i Piotra Glińskiego, a także ministrów, sekretarzy i podsekretarzy stanu, prezesów i wiceprezesów urzędów centralnych, profesorów ekonomii i zarządzania największych polskich uczelni, szefów branżowych organizacji biznesu i przedsiębiorców z kluczowych obszarów przemysłu i finansów. Felietony przygotowali również parlamentarzyści, wykładowcy uczelni biznesowych, szefowie fundacji, 34 prezesów, wiceprezesów i szefów rad nadzorczych największych polskich firm państwowych i prywatnych z kluczowych sektorów gospodarki.

– Dzięki nim, dzięki autorom „Polskiego Kompasu", mamy szansę poznać przekrojową, realną analizę sytuacji gospodarczej i prognozy tworzone przez uczestników rynkowej gry, którzy wskazując zagrożenia i szanse aktualnych strategii, przestrzegają przed pułapkami przyszłości – mówił Maciej Wośko, redaktor naczelny „Gazety Bankowej".

FLAGOWY OKRĘT POLSKIEJ GOSPODARKI

– Zdarza nam się snuć analogie związane z tytułem rocznika „Gazety Bankowej" – z „Polskim Kompasem". Jak już słyszeliśmy dziś, to wydawnictwo, które wskazuje drogę niczym kompas właśnie i pozwala obrać dobry kierunek zmian. Pozostając w klimacie tych dygresji i podobieństw, wręczamy dziś Polski Kompas kapitanowi flagowego okrętu polskiego życia gospodarczego. To kapitan z ogromnym doświadczeniem, który udowodnił już, że potrafi wyprowadzić statek z niejednej burzy, omijając przy tym rafy i mielizny. Kapitan podejmuje decyzje samodzielnie, bo sam odpowiada za pomyślność załogi i drogocenny towar. Oto bowiem w lukach tego statku znajduje się dziś 230 ton i 200 kilogramów złota. A kapitan płynie po więcej – kolejnych 100 ton cennego kruszcu – mówił Michał Karnowski, członek zarządu Wydawnictwa Fratria, wygłaszając laudację na cześć laureata Polskiego Kompasu 2021 prof. Adama Glapińskiego.

Prezes Narodowego Banku Polskiego, odbierając nagrodę, niespodziewanie wygłosił wyjątkowo ważny i ciekawy wykład, analizując bieżący stan gospodarki, państwa, sytuacji makroekonomicznej i międzynarodowej.

– To ogromny zaszczyt zarówno dla mnie, jak i całej załogi statku nazywającego się NBP. Czujemy się rzeczywiście bankiem narodowym. To coś innego niż bank. Nazwa jest myląca, choć rzeczywiście jesteśmy bankiem. Bankiem ostatecznego ratunku i wsparcia. Bankiem, w którym pieniędzy nigdy nie zabraknie – mówił prof. Glapiński.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 31955fcd36

– Z pandemii wychodzimy najlepiej i najszybciej. Odbudowaliśmy się najlepiej po pandemii. Jako gospodarka wyszliśmy właściwie bez strat. Straciliśmy jeden rok, ale już wróciliśmy do stanu sprzed roku. I pędzimy dalej – zapewnił.

Laureat Polskiego Kompasu nawiązał też do gorących konfliktów międzynarodowych, a dotyczących miejsca Polski na politycznej mapie Europy.

– Kiedy byłem młodszy, słyszałem pytanie czemu oni [Europa Zachodnia – przyp. red.] tak nam pomagają. Wiemy, że to nie jest pomoc. To dwustronny i dobry dla wszystkich interes. Tak się to dzieje. Im prędzej Polacy to zrozumieją, że warunkiem dobrych interesów jest nasza siła, tym lepiej. Rośniemy w siłę za szybko względem oczekiwań naszych sąsiadów. To ich niepokoi – mówił prezes Glapiński.

Prezes NBP dał jasno do zrozumienia, że Polska potrzebuje 20 lat spokoju, by stać się liderem gospodarczym w regionie, w Europie. – Pragmatyczne myślenie zawsze było nam bardzo bliskie. Unikamy ekstremów. Nie ma partii ekstremalnych w parlamencie. Polacy są pragmatyczni i chcą coraz spokojniej i bogato żyć. Przyjdzie za te 20 lat taki moment, że będzie można być bardziej odprężonym, bo będziemy w ścisłej czołówce. Trzeba będzie apelować do innych krajów, by nie traktowały wstępujących na taką drogę wtedy krajów, jak nas traktuje się obecnie, bo to jest świństwo, jak nas teraz traktują. [...] My wtedy bądźmy bardziej wyrozumiali. To, czego potrzebujemy, to 20 lat czasu spokoju. A jak nie, to się będziemy potykać – zakończył laureat Polskiego Kompasu 2021 swój wykład.

KOMPASY

Podczas corocznej gali redakcja wręcza statuetki Polskich Kompasów, które trafiają do przedsiębiorstw szczególnie zaangażowanych w rozwój polskiej gospodarki, a także osób reprezentujących świat polityki i gospodarki. W tym roku specjalne wyróżnienie Polski Kompas 2021 otrzymał minister infrastruktury Andrzej Adamczyk „za umiejętne i prowadzone z ogromną determinacją inwestycje, dzięki którym wszystkim nam łatwiej podróżować wszelkimi środkami transportu".

– Odbieram tą nagrodę w moim mniemaniu przez satysfakcję z realizowanych przeze mnie zadań. Wyobrażam sobie, że budowa infrastruktury w naszym kraju znajduje uznanie nie dla Andrzeja Adamczyka, a dla całego zespołu. Dla mnie ma szczególne znaczenie, gdyż zespół, z którym mam zaszczyt współpracować i którym kierować, budował się przez ostatnie lata przede wszystkim dzięki zaufaniu pana premiera Jarosława Kaczyńskiego, pani premier Beaty Szydło, a potem premiera Mateusza Morawieckiego. Wspólnie osiągamy sukcesy, o których była mowa. Dziękuję za wyróżnienie tym, którzy poświęcają swój czas, realizując wielkie inwestycje, drogowe, kolejowe... – powiedział minister, odbierając nagrodę.

Polskie Kompasy 2021 otrzymali w tym roku szefowie spółek reprezentujących niezwykle ważne dla wyjścia z kryzysu branże gospodarki – ubezpieczenia i bankowość, energetykę i technologię.

– Jest to bardzo ważna i cenna nagroda. Pragnę podziękować wszystkim pracownikom i menedżerom grupy PZU, bo to dzięki ich ciężkiej pracy jesteśmy właśnie tu – powiedziała, odbierając statuetkę, Beata Kozłowska-Chyła, prezes Grupy PZU. – Siła kapitałowa PZU gwarantuje, że angażujemy się w najważniejsze przedsięwzięcia gwarantujące wzrost polskiej gospodarki.

Polski Kompas 2021 dla Grupy PZU i prezes Kozłowskiej-Chyły jest, jak uzasadniał Maciej Wośko, konsekwencją działań podjętych i prowadzonych z sukcesem przez największego polskiego ubezpieczyciela, który stał się wyjątkowym koncernem multiusługowym, skupiającym tak ważne dla wszystkich branże: ubezpieczeniową, bankową i opiekę zdrowotną, łącząc je z doskonale dopasowaną technologią i zarządzaniem.

Kolejną statuetkę otrzymał prezes PGE Polska Grupa Energetyczna SA Wojciech Dąbrowski „za odważne rozpoczęcie procesu zielonej transformacji w polskiej energetyce, bezkompromisowe komunikowanie zagrożeń i potrzeb oraz inwestycje, które na zawsze zmienią źródła energii".

– Jest mi niezmiernie miło, że tak zacne grono dostrzegło rolę PGE w rozwoju polskiej gospodarki. Rzeczywiście walczymy o sprawiedliwą transformację, by nie była dzika. Jesteśmy świadomi skali wyzwań, inwestycji i transformacji, które są przed nami. Jako jedni z pierwszych w Europie Środkowej i Wschodniej ogłosiliśmy plan zeroemisyjności. Chcemy wykorzystać różne narzędzia. Do 2030 r. PGE zamierza wydać na inwestycje prawie 75 mld zł. Interes polskiej gospodarki jest najważniejszy. Kompas będzie zawsze wskazywał nam cel – powiedział prezes PGE Wojciech Dąbrowski.

Wyróżnioną Kompasem firmą technologiczną, która doradza polskim przedsiębiorstwom, została Accenture. Nagroda, jak mówił redaktor naczelny „Gazety Bankowej", jest wynikiem konstatacji, że ostatnie półtora roku udowodniło nam wszystkim – nie tylko w biznesie, lecz także w domu – że technologia nie jest jedynie techniczną nowinką, a narzędziem pracy. Doradztwo i konsulting – choćby ten związany z cyberbezpieczeństwem – to element obowiązkowy, także w życiu prywatnym. Pandemia zmieniła modele biznesowe wielu firm, a rewolucja przemysłowa 4.0 stała się teraźniejszością z dnia na dzień. Nagradzamy zatem firmę, która globalne doświadczenia implementuje na naszym, polskim rynku, przenosząc nas w chmury.

– Czuję się tylko depozytariuszem tej nagrody, bo należy się ona wszystkim naszym klientom, z którymi przemieniamy gospodarkę Polski, i zespołowi Accenture. Jesteśmy obecni w kraju od 1990 r. W trudnym okresie transformacji firma zdecydowała o inwestycji w Polskę i była to inwestycja w giełdę polską. Dla mnie więc jest to także 31 lat pracy nad rozwojem innowacyjności w Polsce – mówił Jarosław Kroc, dyrektor zarządzający i prezes Accenture w Polsce.

(AT)

Wersja drukowana rocznika w limitowanym nakładzie trafia do najważniejszych osób w Polsce, do wszystkich z ponad stu autorów, a także na biurka menedżerów kluczowych dla polskiej gospodarki instytucji i przedsiębiorstw. Wersja elektroniczna jest od dziś do pobrania na portalu www.gb.pl oraz w aplikacji „Gazety Bankowej" w App Store, Google Play i AppGallery. Relacja wideo z gali, wraz z całym wystąpieniem prezesa NBP prof. Adama Glapińskiego, dostępna jest na stronie telewizji wPolsce.pl

eprasa.pl 31955fcd36

POLSKI KOMPAS 2021

ROCZNIK INSTYTUCJI FINANSOWYCH I SPÓŁEK AKCYJNYCH

PROJEKT POLSKA PLUS
– JAK WRÓCIĆ Z KRYZYSU NA ŚCIEŻKĘ ROZWOJU

Bezpłatna wersja elektroniczna do pobrania na **gb.pl** *oraz na:*

DOSTĘPNE W Google play | Dostępne w App Store | ODKRYWAJ W AppGallery

Pobierz darmowe e-wydanie

ORGANIZATOR: GAZETA BANKOWA

PARTNER ZŁOTY: ORLEN

PARTNERZY GŁÓWNI: PWPW POLSKA WYTWÓRNIA PAPIERÓW WARTOŚCIOWYCH, PZU

PARTNERZY: Bank Pekao, TOTALIZATOR SPORTOWY, 65 LAT TOTALIZATORA SPORTOWEGO

PARTNERZY WSPIERAJĄCY: ALIOR BANK, GAZ system, PARP Grupa PFR

Autopromocja

eprasa.pl 31955fcd36

KONGRES 590

WARSZAWA, 5–6 PAŹDZIERNIKA 2021 r.

SIECI
GAZETA BANKOWA
W POLSCE/PL
wGospodarce.pl
wPolityce.pl

RELACJA Z NAJWIĘKSZEGO WYDARZENIA KONGRESOWEGO PAŹDZIERNIKA

NOWE MOŻLIWOŚCI

– tak brzmi hasło **6. edycji Kongresu 590**, która odbyła się w Warszawie w dniach 5–6 października 2021 r. To jedno z kluczowych wydarzeń gospodarczych w kraju, które skupiło się na siedmiu obszarach tematycznych: nowe państwo, nowe sektory, demografia, zdrowie, nauka wraz z sektorem badań i rozwoju oraz nowy obraz Polski.

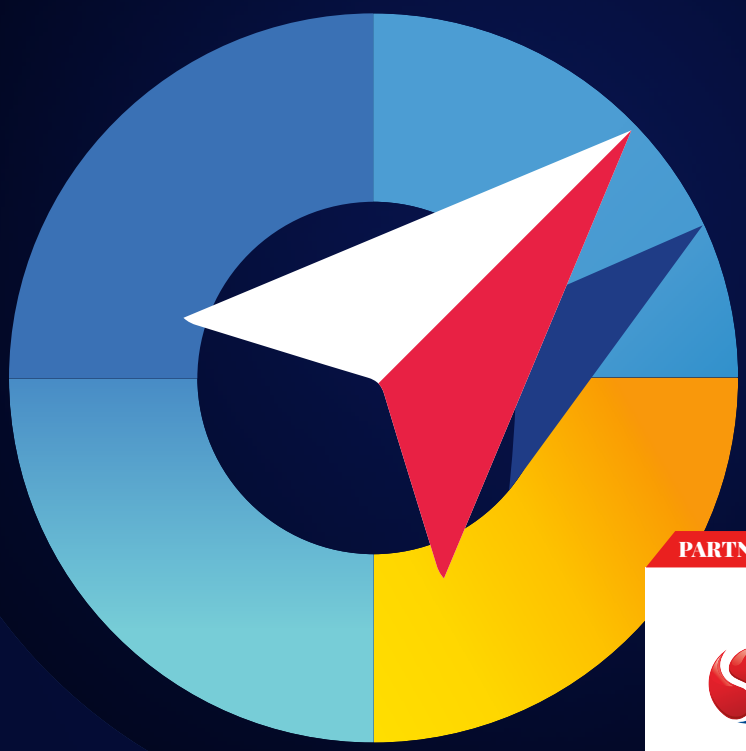

PARTNERZY DODATKU

LOTOS

ORLEN

Dokąd zmierza polska gospodarka

Kongres 590 to jedno z największych wydarzeń gospodarczych w naszym kraju. Polacy zawsze byli zaradni, zwłaszcza w czasach kryzysów. Przetrwali rok pandemiczny, a teraz, wstępując na ścieżkę wzrostu, przygotowują się do wyzwań, przed którymi staje świat po zarazie. Nic więc dziwnego, że hasłem tegorocznego Kongresu były „Nowe możliwości"

Kongres 590 w liczbach to 60 paneli dyskusyjnych w ciągu dwóch dni (5–6 października). Zorganizowano go już szósty raz. Tematem przewodnim były nowe możliwości rozwoju, które rysują się przed Polską po pandemii koronawirusa. Żeby się z nimi zmierzyć, tym razem rozbito je na siedem obszarów tematycznych. Były to: nowe państwo, nowe sektory, demografia, zdrowie, nauka wraz z sektorem badań i rozwoju oraz nowy obraz Polski. Szósta edycja w formule stacjonarnej odbyła się w Warszawie, w centrum wystawienniczym EXPO XXI. Goście mogli śledzić wystąpienia liderów oraz debaty eksperckie prezentujące najważniejsze idee na czterech scenach jednocześnie. Panele były również transmitowane w internecie. Dodatkowo przez cały czas działało studio 590, w którym goście kongresu mogli na bieżąco udzielać wywiadów, a także komentować i podsumowywać najważniejsze zagadnienia.

Jak zawsze nie zabrakło ważnych gości. Honorowy patronat nad kongresem objął prezydent RP Andrzej Duda, który wraz z prezydentem Republiki Austrii Alexandrem Van der Bellenem wziął udział w organizowanym w ramach Kongresu Polsko-Austriackim Forum Ekonomicznym „Green Future". – Austria pozostaje jednym z najważniejszych partnerów gospodarczych Polski – zaznaczył prezydent Andrzej Duda podczas Forum Ekonomicznego „Green Future". Przypomniał, że wzajemne obroty handlowe osiągnęły w 2020 r. prawie 8,5 mld euro i wskazał „zielone technologie" jako potencjalne nowe pole współpracy. Powiedział, że o dalszym rozwoju polsko-austriackich relacji politycznych miał okazję rozmawiać podczas wtorkowego spotkania z prezydentem Austrii.

– Wierzę w to, że wizyta pana prezydenta Van der Bellena w naszym kraju przyczyni się do tego, że te kontakty – i między nami jako prezydentami, i między naszymi rządami – będą jeszcze bardziej intensywne, co będzie owocowało także dla państwa jeszcze bardziej sprzyjającymi warunkami współpracy gospodarczej i na wszelkich innych polach – powiedział Duda. – Liczę, że dzisiejsze wydarzenie będzie stanowiło asumpt do dalszej intensyfikacji relacji ekonomicznych i międzyludzkich – dodał prezydent RP.

Podczas wydarzenia komentowano też korektę ratingu S&P oraz kolejne dane o polskiej gospodarce, które napawają optymizmem. Główny Urząd Statystyczny podał chwilę wcześniej, że polski PKB w 2020 r. zmalał real-

Fot. Materiały prasowe/Kongres 590

eprasa.pl 31955fcd36

nie o 2,5 proc. w porównaniu z 2019 r. Tym samym GUS skorygował swój poprzedni wynik z kwietnia tego roku, kiedy informował, że PKB realnie zmalał o 2,7 proc. rok do roku (styczniowe szacunki mówiły o spadku PKB o 2,8 proc. w 2020 r.). W poniedziałkowym raporcie agencja S&P oceniła, że odbicie polskiej gospodarki w pierwszej połowie 2021 r., po pandemii COVID-19, było szybsze, niż zakładała, w związku z czym podwyższyła swoje prognozy wzrostu na rok 2021 do 5,1 proc. We wrześniu agencja ratingowa Fitch podwyższyła prognozę wzrostu PKB Polski w 2021 r. do 5,7 proc. Wicepremier Jacek Sasin ocenił, że takie prognozy nie są przypadkowe, bo przed kryzysem spowodowanym pandemią COVID-19 polska gospodarka była w europejskiej czołówce pod względem wzrostu gospodarczego.

– Przyszedł rok poprzedni, przyszło załamanie i rzeczywiście ta skala odbicia jest bardzo duża. My się spodziewaliśmy, że tak będzie, i dlatego podejmowaliśmy takie odważne decyzje, bo żeby podejmować dobre decyzje, trzeba też dobrze analizować obecną sytuację, ale również prognozy na przyszłość. Podjęliśmy decyzje odważne, bo przecież wpompowanie do gospodarki ogromnych pieniędzy, setek miliardów złotych – to się w różny sposób oblicza, bo to nie tylko są pieniądze bezpośrednio, ale także to są różnego rodzaju gwarancje, ulgi, kredyty gwarantowane – powiedział minister Jacek Sasin, szef MAP. Podkreślał też aktywną rolę rządu PiS i Zjednoczonej Prawicy w prawidłowym zarządzaniu państwem w czasach kryzysu. – To jest tak między 100 a 200 mld zł, które bezpośrednio trafiły do firm. Myślę, że gdybyśmy nie mieli przekonania, że będzie można te pieniądze odrobić w najbliższym czasie, to byśmy pewnie tak chętnie takich trudnych i odważnych decyzji nie podejmowali – wskazał wicepremier. Zaznaczył, że zastosowano wiele mechanizmów, m.in. wykorzystano ZUS, który nie pobierał składek.

Jacek Sasin ocenił, że odbicie polskiej gospodarki jest spowodowane m.in. inwestycjami i tym, że spółki nie zwalniały ludzi ani nie wygaszały produkcji. – Była taka pokusa, żeby oszczędzać. Wielu mówiło, że to jest taki czas, kiedy musimy odkładać pieniądze, bo może być trudna przyszłość, może brakować pieniędzy na zupełnie podstawowe funkcje państwa – może przerwijmy budowę dróg, przerwijmy budowę kolei, Centralnego Portu Komunikacyjnego. Nie róbmy tych inwestycji. Niech spółki również tych inwestycji nie robią, może niech lepiej oddadzą te pieniądze do budżetu w postaci dywidendy. My powiedzieliśmy nie, nie tędy droga, bo to jest najprostsza droga do katastrofy, do zduszenia tego wzrostu również w przyszłości. Bo jeśli ma być wzrost, to muszą być inwestycje. Inwestycje były rekordowe w zeszłym roku, także jeśli chodzi o spółki. Państwo od tych inwestycji nie odeszło – dodał.

Ważnym wydarzeniem w trakcie Kongresu 590 było ogłoszenie przez Ministerstwo Finansów listy największych płatników podatku od korporacji (CIT). Tadeusz Kościński podziękował podczas wystąpienia na Kongresie firmom zaliczonym do 10 największych płatników CIT w Polsce. Jak wskazał, zwracając się do przedstawicieli firm, wpływy z podatków CIT, PIT i VAT to trzy główne źródła finansowania usług dla społeczeństwa, czyli klientów.

– Cenię sobie tych, którzy są fair, płacą uczciwie podatki, nie uciekają się do żadnych księgowych sztuczek. To dzięki podatkom Polska się zmienia, a rząd może realizować wiele społecznych i prorodzinnych projektów na co dzień. Korzystamy choćby z coraz lepszych dróg, nowocześniejszej infrastruktury kolejowej czy większego poczucia bezpieczeństwa. I za to jako podatnik, obywatel i minister finansów bardzo wam dziękuję. Wasze pieniądze mają ogromny wpływ na rozwój naszego kraju. Napędzają go, i to efektywnie – mówił Tadeusz Kościński, minister finansów.

Grupa PZU przygotowała wiele paneli dotyczących ochrony zdrowia w Polsce. Aleksandra Agatowska, prezes zarządu PZU Życie, zaprezentowała raport: „Masz wpływ na swoje życie". Dokument powstał we współpracy z PZU Zdrowie, a patronatem objęło go Ministerstwo Zdrowia. Przedstawia najciekawsze wnioski z „Badania o życiu i zdrowiu Polaków" przeprowadzonego w maju 2021 r. na zlecenie PZU Życie przez agencję badawczą IQS na próbie 1,5 tys. Polaków w wieku 18–65 lat. Wynika z niego m.in., że co piąty Polak nie robi badań profilaktycznych, a tylko połowa z nas przestrzega prawidłowej diety. – Mam nadzieję, że przyczyni się on do zmiany naszych nawyków społecznych. Każdy ma wpływ na swoje zdrowie, ale i zdrowie całego społeczeństwa. Jeżeli będę dbała o moje zdrowie, to będzie dbała o nie także moja rodzina, bo funkcjonujemy w określonym środowisku – powiedziała Agatowska.

W dyskusjach paneliści podkreślali m.in. wagę wyzwania, jakie obecnie stoi przed polską gospodarką – czyli transformacji energetycznej w celu osiągnięcia zeroemisyjności. Marcin Chludziński, prezes zarządu KGHM Polska Miedź SA, stwierdził, że choć mamy ogromne zadania związane z transformacją energetyczną, to jest ona dla nas jednocześnie szansą, bo zapotrzebowanie na miedź w Europie w kontekście tej transformacji sięga ok. 22 mln ton, czyli mniej więcej tyle, ile wyniesie produkcja miedzi w KGHM przez 25 lat.

Beata Kozłowska-Chyła, prezes PZU SA, stwierdziła, że Grupa PZU aktywnie wspiera proces zielonej transformacji, udzielając finansowania choćby na farmy wiatrowe czy inwestując w obligacje ESG (środowisko, społeczna odpowiedzialność i ład korporacyjny). PZU przystąpiło niedawno również do państwowego programu rozwoju morskiej energetyki wiatrowej.

Wojciech Dąbrowski, prezes zarządu PGE Polska Grupa Energetyczna SA, wskazywał, że PGE jako największy producent ciepła i energii elektrycznej w Polsce rok temu ogłosił bardzo odważną strategię osiągnięcia neutralności klimatycznej do 2050 r., którą cały czas konsekwentnie realizuje. Podkreślał, że firma rozpoczęła inwestycję na Morzu Bałtyckim wspólnie z duńskim partnerem – budowę 2,5 GW morskich farm wiatrowych. Jak stwierdził, to właśnie będzie narzędzie dla PGE do osiągnięcia neutralności klimatycznej, a w 2026 r. do odbiorców powinien stamtąd popłynąć pierwszy prąd. Firma rozwija także fotowoltaikę i wiatraki na lądzie.

eprasa.pl 31955fcd36

Od lewej: Karol Wolff, dyrektor Biura Strategii i Projektów Strategicznych, PKN Orlen, Krzysztof Nowicki, wiceprezes zarządu ds. fuzji i przejęć Grupy Lotos, Artur Cieślik, wiceprezes zarządu ds. strategii i regulacji w PGNiG, Dawid Piekarz, wiceprezes Instytutu Staszica

Nowy koncern multienergetyczny będzie w stanie realizować duże inwestycje

Nowy podmiot po połączeniu PKN Orlen z Grupą Lotos i PGNiG będzie w stanie realizować duże inwestycje, pozyskiwać nowe technologie i wdrażać je w polskiej gospodarce – powiedział Karol Wolff z PKN Orlen podczas panelu „Zielona transformacja: wyzwanie dla nowego, silnego koncernu multienergetycznego", który odbył się w ramach Kongresu 590

W 2020 r. Europejczycy po raz pierwszy uzyskali więcej energii elektrycznej ze źródeł odnawialnych niż z paliw kopalnych. Także Polska coraz bardziej obiera kurs na zieloną energię. Odnawialne źródła energii – fotowoltaika, wodór, biogaz – już teraz stają się istotnym elementem polskiego systemu energetycznego. Pełna transformacja energetyczna to jednak proces skomplikowany zarówno pod względem technologicznym, jak i społecznym oraz ekonomicznym i prawnym. Wszystkie rynkowe strony muszą dzisiaj odpowiedzieć na pytanie, jak sprawnie i bezpiecznie przeprowadzić polski sektor energii ku coraz większemu udziałowi źródeł odnawialnych z korzyścią dla konsumentów i klimatu. Tym wszystkim wyzwaniom ma za zadanie sprostać koncern multienergetyczny utworzony po połączeniu PKN Orlen, Lotosu i PGNiG.

BUDOWA KOMPETENCJI

– PKN Orlen zadeklarował zmiany w swoim biznesie. Rozwijając segmenty zero- i niskoemisyjne, nasza działalność będzie się wiązała z coraz mniejszym obciążeniem dla środowiska naturalnego. Jednym z głównych projektów

Rynek biopaliw

PKN Orlen wdroży w Zakładzie Produkcyjnym w Płocku nowoczesną technologię uwodornienia olejów roślinnych (HVO – hydrotreated vegetable oil). To ekologiczne i innowacyjne rozwiązanie, zgodnie ze strategią ORLEN2030, wzmocni pozycję koncernu na rynku biopaliw. Będzie też odpowiedzią na unijny pakiet „Fit for 55", stawiający przed przemysłem rafineryjnym kolejne wyzwania w zakresie ograniczenia emisyjności paliw transportowych. Realizacja inwestycji, której wartość szacowana jest na ok. 600 mln zł, planowana jest w połowie 2024 r.

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 20/1021/F

eprasa.pl 31955fcd36

jest offshore, czyli budowa farm wiatrowych na morzu. Tempo zmian w systemie transportowym w dużej mierze jest uzależnione od naszych możliwości. Wymaga to m.in. umiejętnego podejścia do budowy kompetencji – powiedział podczas debaty na Kongresie 590 Karol Wolff, dyrektor Biura Strategii i Projektów Strategicznych, PKN Orlen.

Jak podkreślił, nowy podmiot biznesowy, który powstanie z połączenia PKN Orlen, Lotosu i PGNiG, będzie stać na jeszcze większe inwestycje, a do tego każda z firm będzie się koncentrować na tym, co robi najlepiej. Jest to właściwa droga do optymalizacji biznesowej. Połączenie PKN Orlen z Energą pokazało, że to przynosi dobre efekty.

– Po fuzji nowy podmiot będzie jednocześnie w stanie poukładać nowe i dotychczasowe obszary biznesowe. Chodzi o to, żeby z jednej strony optymalizować funkcjonowanie zakładów produkcyjnych czy linii biznesowych, a z drugiej – żeby istniały centra w ramach grupy, które będą rozwijać nowe obszary, takie jak biogaz, wodór czy paliwa alternatywne – dodał Karol Wolff.

– Przed naszą branżą w zakresie transformacji energetycznej stoją największe wyzwania. PGNiG pokłada nadzieje w gazie jako paliwie przejściowym. Tak powinno być do roku 2050. Pozwoli to naszej spółce i otoczeniu na odpowiednie przekształcenia. Małe lokalne elektrociepłownie muszą przechodzić na silniki gazowe. Widzimy naszą przyszłość w biogazie, metanie i wodorze. Te gazy odnawialne będziemy przesyłać siecią, którą dysponujemy. W pierwszym okresie będziemy się starali blendować metan z biometanem, a w dłuższej perspektywie z wodorem – powiedział Artur Cieślik, wiceprezes zarządu PGNiG ds. strategii i regulacji.

– To są m.in. te elementy, które wniesiemy do koncernu multienergetycznego. Nasze kompetencje to przesył gazów oraz magazynowanie. Zapewnimy możliwość przesyłania gazów odnawialnych sieciami, które istnieją – zaznaczył Artur Cieślik.

Jego zdaniem w perspektywie średnioterminowej swoje kompetencje PGNiG widzi w obszarze biogazu. – W perspektywie długoterminowej będziemy stawiać na wodór – dodał.

Technologia wodorowa

PKN Orlen konsekwentnie rozwija technologię wodorową w transporcie. Koncern w ramach współpracy z PESA Bydgoszcz planuje zakup nowoczesnej lokomotywy, która będzie pierwszym w Polsce pojazdem szynowym wykorzystującym napęd wodorowy. Jej oficjalna prezentacja odbyła się podczas 14. Międzynarodowych Targów Kolejowych TRAKO w Gdańsku. Rozwój przyjaznych środowisku technologii wodorowych wpisuje się w strategię ORLEN2030 zakładającą wzrost znaczenia paliw alternatywnych.

Projekty offshore

Pięć spółek z Grupy Orlen zaangażowanych w projekty energetyczne na Bałtyku podpisało tzw. umowę sektorową. Przyjęty dokument to efekt prac ministerstw, administracji rządowej, inwestorów, przedsiębiorstw, instytucji i organizacji zaangażowanych w rozwój polskiego sektora morskiej energetyki wiatrowej, wyznaczający kierunki rozwoju branży w Polsce.

REWOLUCJA CZY TRANSFORMACJA

– Gdyby zieloną transformację każda ze spółek miała przeprowadzać oddzielnie, trudno byłoby osiągnąć założone cele. Do tego potrzebny jest koncern multienergetyczny, wspólne działanie. Funkcjonujemy w szalenie dynamicznym otoczeniu i musimy być konkurencyjni. Tylko jako jeden silny koncern osiągniemy sukces – stwierdził Krzysztof Nowicki, wiceprezes zarządu Grupy Lotos ds. fuzji i przejęć.

– Multienergetyczny koncern, który powstanie z połączenia Orlenu, Lotosu i PGNiG, będzie w początkowym okresie dysponował kwotą ok. 200 mld zł przychodów i 20 mld zł EBITDA – poinformował Krzysztof Nowicki.

Zdaniem Artura Cieślika w krajach na zachodzie Europy odbywa się rewolucja, ale my musimy tę transformację robić w ramach ewolucji. Dlatego gaz powinien być dłużej użytkowany.

Jak podkreślił Dawid Piekarz, wiceprezes Instytutu Staszica, ogłoszony w tym roku program „Fit for 55" nadał zielonej transformacji nowej dynamiki. – Żeby temu sprostać, trzeba już teraz budować zasoby siły. Nowy koncern multienergetyczny w tych przekształceniach musi być przede wszystkim podmiotem. Małe elektrociepłownie już teraz mówią – dajcie nam ten wodór, dajcie biogaz. A na czym się będzie zarabiać? To właśnie biogaz i wodór będą kolejnymi źródłami przychodów – zaznaczył.

– Współpraca w ramach koncernu multienergetycznego będzie pozwalała na zajęcie się tym tematem – skomentował Karol Wolff.

Krzysztof Nowicki dodał, że w tym kierunku będzie się przesuwał strumień pieniędzy stanowiących przychody koncernu multienergetycznego.

– Zainwestujemy w to, co będzie przynosiło zysk. Trzeba pamiętać, że koncern i jego otoczenie doprowadzą do tego, że ktoś dostarczy surowce, ktoś inny rynki, jeszcze ktoś technologie, a ktoś kapitał – stwierdził Krzysztof Nowicki.

REGIONALNY CZEMPION

Zdaniem Dawida Piekarza my mamy doprowadzić do transformacji całego regionu Europy Środkowej i Wschodniej, bo tutaj jesteśmy najwięksi. Jeżeli będziemy istotni dla regionu, to będziemy liczącym się podmiotem w skali całej Europy.

– Będziemy w europejskiej pierwszej lidze. Na poziomie hiszpańskiego Repsola, więksi od MOL-a i OMV – podkreślił Artur Cieślik.

Zdaniem Krzysztofa Nowickiego na zieloną transformację trzeba patrzeć szerzej niż tylko przez pryzmat ograniczenia emisji dwutlenku węgla. – Nie możemy zawężać horyzontów. Należy dokonywać starań w kierunku maksymalnie korzystnego środowiskowo przerobu ropy naftowej. Jestem pewien, że powstaną także technologie pozwalające w nowych warunkach na wykorzystanie węgla.

– Biogaz i metan to nowy sektor w ramach odnawialnych źródeł energii. Potrzebne w tym zakresie są odpowiednie regulacje i nad tym resort klimatu pracuje – powiedział Artur Cieślik.

Robert Olesiński

Fot. Materiały prasowe Kongres 590

eprasa.pl 31955fcd36

Czas na edukację finansową, oszczędzanie i inwestycje

Pandemia zwiększyła zainteresowanie instrumentami finansowymi, które pozwalają zabezpieczyć przyszłość naszą i naszych bliskich. Czy zmiana, jaka dokonała się w wyniku COVID-19, jest trwała? Instytucje finansowe – od banków po firmy ubezpieczeniowe – mają nadzieję, że tak. Być może zostanie z nami nawet na stałe

Myślenie o bezpieczeństwie finansowym jest w znacznej mierze cechą społeczeństw zamożnych, dysponujących wystarczającymi zasobami kapitału. Jak to wygląda w Polsce – w kraju w szybkim tempie nadrabiającym zaległości wobec społeczeństw zachodnich? Dyskutowali na ten temat podczas szóstej edycji Kongresu 590 uczestnicy panelu „Profilaktyka ubezpieczeniowo-finansowa". Polski rynek finansowy dysponuje coraz większą paletą narzędzi pozwalających na ochronę zdrowia, majątku i stabilnej przyszłości własnej i swoich bliskich.

Ostatnie półtora roku zmodyfikowało sposób myślenia Polaków na tematy związane z osobistym bezpieczeństwem. Czy z sytuacji, jaką stworzyła pandemia i wynikające z niej ryzyka i ograniczenia, wyciągnięto odpowiednie wnioski? – Wydaje się, że tak. Znaczna część Polaków chce oszczędzać. Czy nie skończy się to jednak na deklaracjach? – mówiła Agata Strzelecka, wiceprezes Alior Banku. Według niej konieczna jest edukacja Polaków w zakresie oszczędzania. Należy robić to od najmłodszych lat. Pod względem doświadczeń związanych z kapitalizmem jesteśmy jeszcze młodym społeczeństwem, nie to co gospodarki

Fot. materiały prasowe

eprasa.pl 31955fcd36

zachodnie, materialnie bardziej rozwinięte, w których oszczędzanie i inwestowanie stało się nawykiem. – Jesteśmy krajem starzejącym się, to ostatni moment na edukację. Jest to też trochę rola banków, które taką edukację realizują, oferując na przykład konta dla młodych, uczące odkładania pieniędzy – mówiła Agata Strzelecka.

BOGATSI, BARDZIEJ DOŚWIADCZENI

Według Jerzego Kwiecińskiego, wiceprezesa Banku Pekao SA, nasze społeczeństwo się bogaci, czego wyrazem są takie wskaźniki jak rosnący dochód rozporządzalny Polaków czy PKB per capita. Pod tym względem mamy się lepiej niż Grecja czy Portugalia, coraz bliżej nam do innych krajów Zachodu. COVID-19 wymusił znaczne zmiany w naszych zachowaniach. – Wynikały one z pandemii, dodatkowo mieliśmy do czynienia z kryzysem, który powodował ograniczenia funkcji społecznych – mówił Jerzy Kwieciński. Zwiększyły się obawy Polaków o zdrowie własne i swoich bliskich, pojawiła się też wysoka inflacja, która zmusiła wiele osób do szukania nowych możliwości inwestowania. – Mamy więcej pieniędzy, więcej oszczędności, jesteśmy w stanie inwestować, ale również zabezpieczyć się przed niepożądanymi skutkami utraty zdrowia. My, jako banki, współdziałamy z instytucjami ubezpieczeniowymi, by dać Polakom możliwość inwestowania swoich środków, a także by ich zabezpieczyć – mówił Jerzy Kwieciński.

Według Marcina Żółtka, wiceprezesa TFI PZU, takie instytucje finansowe jak fundusze inwestycyjne zmagają się z dominującą w polskim społeczeństwie bieżącą konsumpcją. – Pierwszym zachowaniem jest kupienie nowego samochodu czy kolejnej konsoli – mówił Marcin Żółtek. – Przyrost bogactwa to dopiero ostatnie lata. Proces oszczędzania znajduje się na samym końcu. Musimy wykształcić w sobie nawyk oszczędzania, przekonać ludzi, że nie trzeba mieć gigantycznych pieniędzy, by oszczędzać. Ważna jest systematyczność. Planowanie finansowe trzeba zacząć bardzo wcześnie – dodał.

KRYZYSY EDUKUJĄ

Agnieszka Stefaniuk, autorka bloga Family Fun by Mum, mówiła o budowaniu bezpieczeństwa finansowego w rodzinie i konieczności przeprowadzenia czegoś w rodzaju audytu, by określić jej potrzeby. Według niej portfel polskiej rodziny nadaje się do inwestowania, choć nie jest zbyt zasobny. – Nie jest to kwestia grubości portfela, ale mentalności, świadomej decyzji – stwierdziła Agnieszka Stefaniuk.

– Kryzysy edukują – mówił Krzysztof Szypuła, członek zarządu PZU SA i PZU Życie SA. Edukują od strony planowania, ale także wtedy, gdy to planowanie się rozpada, gdy dzieje się coś, czego nie byliśmy w stanie przewidzieć. – Rolą ubezpieczenia jest ochrona tych planów. Ta refleksja narodziła się po okresie pandemii – dodał Krzysztof Szypuła. Na rynku pojawiło się większe zainteresowanie ubezpieczeniami ochronnymi, na wypadek ciężkich chorób. Według niego audyt, o którym wspominała Agnieszka Stefaniuk, powinien polegać na zdefiniowaniu, z czym jesteśmy w stanie sobie poradzić sami, a z czym nie, czy godzimy się na ponoszenie ryzyka, czy wolimy się jednak przed nim zabezpieczyć.

ZWYCZAJ OSZCZĘDZANIA

– Produkty bankowe i ubezpieczeniowe są synergiczne. Często ubezpieczenia zabezpieczają nasze produkty bankowe, np. kredyt hipoteczny – mówił Jerzy Kwieciński. Pandemia spowodowała zwrócenie większej uwagi na obsługę online. – Zmienia się format naszej sprzedaży. Dzisiaj dostęp do konta bankowego nie polega już tylko na sprawdzeniu stanu naszych funduszy. Za jego pośrednictwem możemy aktywnie inwestować. Technologie zmieniają sposób oszczędzania, inwestowania, a także ubezpieczania się. Razem z PZU nie tylko sprzedajemy, lecz także wzajemnie korzystamy z oferowanych przez nas produktów. Korzystają na tym nasi klienci i korzystamy my jako instytucje finansowe. Nam się to opłaca – mówił Jerzy Kwieciński.

Czy nowoczesne technologie oraz potężne możliwości internetowe sprzyjają dobrym wyborom inwestycyjnym? – Nasz klient się zmienia, jest świadomy swoich potrzeb. Pytamy go, jakiego potrzebuje portfela: czy ma on ochronić jego oszczędności pod kątem zagrożenia utraty pracy? Jeżeli tak, wówczas ryzyko na takim portfelu jest bardzo małe. A może chodzi o pomnożenie pieniędzy na przyszłoroczne wakacje, może na mieszkanie, które chce kupić za dziesięć lat – mówił Marcin Żółtek. – Staramy się rozmawiać nie o tym, jaki zysk możemy obiecać, ale jakie są potrzeby naszego klienta, jakie jest akceptowane przez niego ryzyko. Według Marcina Żółtka istotna jest gotowość na „zapomnienie" o zainwestowanych pieniądzach. – Skonstruowany przez nas portfel, np. na najbliższe trzy lata, osiągnie swój cel w takim właśnie horyzoncie inwestycyjnym – mówił Marcin Żółtek.

Ubezpieczenia grupowe są w Polsce najpopularniejszymi formami ubezpieczenia. Zmieniają się, choć być może powinny się zmieniać jeszcze bardziej. Według Krzysztofa Szypuły powoli przychodzi czas na modyfikację tych ubezpieczeń. Ubezpieczenie grupowe jest dobrą bazą, jednak ubezpieczony powinien sprawdzić, czy jest ona wystarczająca, czy nie należałoby do niej dołożyć kolejnych zabezpieczeń.

Oszczędzanie i inwestowanie powinno się stać pewnego rodzaju nawykiem. – Kiedyś byliśmy biedni, nie myśleliśmy o takich sprawach jak oszczędzanie czy inwestowanie. W tej chwili pewne rzeczy stają się standardem dla znacznej części polskiego społeczeństwa. Takie programy jak 500+ zmieniły nasze funkcjonowanie, większość wyjeżdża na wakacje zimą i latem, chodzi regularnie do kina, do restauracji. To wszystko wiąże się z wydawaniem pieniędzy. Są to już pewnego rodzaju nawyki. Umówmy się, że co miesiąc będziemy odkładali pewną kwotę, będziemy inwestować w fundusze albo w inne instrumenty inwestycyjne. Niech to stanie się naszym zwyczajem. Każdy z nas może mieć różne potrzeby, niezależnie od wieku, musi myśleć o inwestowaniu na przyszłość – mówił Jerzy Kwieciński.

sk

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 83/0921/F

eprasa.pl 31955fcd36

O przyszłości Polski i Europy w Chorzowie

Świat zmienia się coraz bardziej, a państwo i gospodarka muszą za tymi zmianami nadążać. By przyjrzeć się ewoluującej przyszłości, politycy, menedżerowie i eksperci spotkali się w Chorzowie podczas pierwszego Europejskiego Forum Przyszłości

Europejskie Forum Przyszłości odbyło się pod honorowym patronatem prezesa Rady Ministrów Mateusza Morawieckiego oraz Parlamentu Europejskiego. Forum odbywające się w nowoczesnym obiekcie, jakim jest Stadion Śląski, było znakomitą okazją do wymiany doświadczeń i kreowania rozwiązań.

– Województwo śląskie jako Europejski Region Przedsiębiorczości stawia sobie ambitne cele w zakresie gospodarki i nowoczesnych technologii. Śmiało patrzymy w przyszłość, przygotowując się do transformacji. Stoimy przed wyzwaniami, które zdefiniują nasze miejsce w zmieniającej się globalnej rzeczywistości. Decyzje dotyczące likwidacji przemysłu wydobywczego powodują, że stoimy przed koniecznością redefinicji gospodarki regionu. Chcemy, żeby Śląsk był jednym z liderów tych zmian – mówił podczas otwarcia Forum Jakub Chełstowski, marszałek województwa śląskiego.

Forum poświęcone było najistotniejszym wyzwaniom cywilizacyjnym, społecznym i gospodarczym współczesnego świata. Organizatorem wydarzenia, pretendującego do miana najważniejszego eventu tego typu w tej części Europy, był Śląski Fundusz Rozwoju. Odbywało się w formule hybrydowej – stacjonarnie z udziałem gości na stadionie wraz z możliwością udziału zdalnego. Wszystko z zachowaniem obowiązujących standardów bezpieczeństwa epidemicznego.

– Aktualne doświadczenia, ogólnoświatowa pandemia, zatrzymanie gospodarki czy praca zdalna na szeroką skalę doprowadziły do konieczności wyciągnięcia wniosków i konieczności przygotowania się do nadchodzącej przyszłości. Obecna sytuacja jest doskonałą okazją do zrewidowania poglądów i nowego spojrzenia na najważniejsze aspekty funkcjonowania gospodarek europejskich, również w wymiarze wspólnoty. Transformacja energetyczna, która pociągnie ogromne zmiany na rynku pracy, nowe technologie cyfrowe oddziałujące na niemal wszystkie gałęzie gospodarki. To tylko kilka kwestii, które znajdą odzwierciedlenie w programie wydarzenia – mówił Marcin Wilk, prezes Śląskiego Funduszu Rozwoju.

Podczas Forum sporo czasu poświęcono przemianom gospodarczym – także energetycznym. Wymogi narzucone Polsce przez Unię Europejską, ale też zmieniająca się sytuacja klimatyczna sprawiają, że nasz kraj i, przede wszystkim, Śląsk stoją przed wielkim wyzwaniem. Wyzwaniem, ale i szansą.

To właśnie ten temat – wpływ transformacji na region, ale i cały kraj – zdominował dyskusję podczas pierwszego panelu „Europa: bariery, wyzwania i cele, czyli przyszłość Starego Kontynentu" w trakcie Europejskiego Forum Przyszłości w Katowicach. Jak wskazał Jakub Chełstowski, marszałek województwa Śląskiego, transformacja to uczestnictwo w pewnym ekonomicznym wyścigu, jednak nasz kraj, ze względu na historyczne zaszłości, ma trudności z osiągnięciem przewagi w tym wyścigu: „Polska z uwagi na komunizm w sztafecie ekonomicznej startuje z pozycji minus 200 metrów i nie jesteśmy w stanie zbyt znacząco przyspieszyć, ale to właśnie jest wyzwanie! Śląsk zawsze był miejscem pracowitych ludzi i rozwoju technologicznego". Jak dodał Chełstowski, cele klimatyczne stawiane są bezwzględnie, ale „musimy dochodzić do nich mądrymi etapami. Nasza strategia oparta jest właśnie na zielonych innowacjach". „Musimy mówić twardym, mocnym językiem, stawiać nasze interesy, jednocześnie dążąc do zdrowszego, zielonego środowiska" – wskazywał marszałek.

Podobnego zdania była eurodeputowana Jadwiga Wiśniewska. Europosłanka celnie wskazała, że województwo śląskie, tak jak UE, jest zjednoczone w różnorodności. – To miejsce, czyli Katowice, jest do dyskusji o przyszłości UE bardzo trafnie wybrane – mówiła, dodając, że transformacja energetyczna może być szansą, wyzwaniem, ale stwarza też zagrożenia. Dlatego akcentowaliśmy te zagrożenia – transformacja musi być uczciwa i uwzględniać rozmaite miksy energetyczne krajów UE.

Zmiany będą dotyczyć nie tylko energetyki, lecz także transportu. W tym zakresie to rozwój elektromobilności może być czynnikiem odmieniającym energetyczną rzeczywistość. – Czy to jest szansa dla Polski? Jesteśmy rozwijającym się krajem, mamy coraz więcej

eprasa.pl 31955fcd36

dróg szybkiego ruchu, to powoduje, że coraz więcej przeznaczamy na zakup paliwa do samochodów. Elektromobilność niesie za sobą nie tylko ochronę środowiska, ale zarazem zmniejszenie kosztów transportu. To nie tylko brak paliwa, ale mniejsze zużycie klocków hamulcowych, tym samym mniejsze użycie toksycznych smarów, które dostają się na drogi. To także mniejsze zużycie ogumienia. O tym normalnie się nie mówi. Ale to niesie za sobą elektromobilność – mówił podczas debaty dotyczącej właśnie zagadnienia innowacji w transporcie poseł Grzegorz Gaża.

– Mam okazję przyglądać się rozwojowi elektromobilności od wielu lat. Pierwsze działania w tym obszarze nastąpiły już koło roku 2010. Pewnie to będzie dla wielu osób zaskoczeniem, ponieważ taki dynamiczny rozwój datujemy na dużo późniejszy okres. Wtedy miałem przyjemność współpracować z prezydentem miasta Jaworzna. Ówczesny kandydat na urząd po raz pierwszy umieścił w programie elementy rozwoju elektromobilności. Dlaczego o tym wspominam? Dzisiaj Jaworzno jest postrzegane jako lider. Stąd też nie przypadkiem tam ulokowano fabrykę Izery. Pamiętam początki, gdy wiele osób kwestionowało w ogóle zasadność tego kierunku. Nawet przedstawiciele różnych poważnych instytucji. Pewnie dzisiaj by się czerwienili, gdyby wspomnieć im te początki. Determinacja, konsekwencja doprowadziła Jaworzno do miejsca, w którym jest – zaznaczył z kolei Dariusz Starzycki, wicemarszałek województwa śląskiego.

Ostatni dzień Forum minął pod hasłem innowacyjności i e-sportu. Ostatniego dnia poznaliśmy chociażby Narodową Drużynę Esportu, która będzie reprezentować Polskę podczas prestiżowych międzynarodowych zawodów w stolicy Węgier – Budapeszcie – V4 Future Sports Festival.

Podczas briefingu prasowego Łukasz Trybuś, prezes Esports Association, przekonywał, że e-sport powoli wychodzi z cienia, a Stadion Śląski może już wkrótce stać się jego wizytówką. – To świetne miejsce i przestrzeń dostosowana do naszych potrzeb. Stadion Śląski może być przyszłością i wizytówką branży e-sportowej – ocenił.

Podczas ostatniego dnia Forum odbył się także specjalny panel: „Europejski transport kolejowy 2050". Wydarzenie uświetnił udział przedstawicieli Kolei Śląskich, którzy przedstawili uczestnikom główne założenia Europejskiego Zielonego Ładu w dziedzinie transportu. Poznaliśmy też plan kolei na lata 2022–2027 oraz spojrzenie na rozwój technologii i innowacji dla całej branży.

Na finiszu EFP mieliśmy też okazję udziału w konferencji Śląskiego Klastra Lotniczego. Panel uświetnił pokaz dronów, które stanowiły ważny element dyskusji na temat rozwoju technologii na Śląsku.

Energetyka, transport, e-sport, innowacje – to wszystko było tematem wydarzenia, które pozwoliło spojrzeć na te sprawy w nowym świetle. Przyszłość jest niepewna, a zmiany dynamiczne, jednak jedno jest pewne – wydarzenia takie jak Europejskie Forum Przyszłości będą przynosić odpowiedzi na najtrudniejsze pytania.

Arkady Saulski

eprasa.pl 31955fcd36

Czy nadal potrzebujmy specjalnych stref ekonomicznych?

Odbywająca się w ramach Europejskiego Forum Przyszłości dyskusja panelowa zatytułowana „Przyszłość specjalnych stref ekonomicznych" przyniosła jednoznaczne wnioski: dziś strefy są nam potrzebne równie mocno, jak w minionym 30-leciu, ale będą się zmieniać pod wpływem innowacyjnych oraz „zielonych" technologii

EFP zostało zorganizowane przez Śląski Fundusz Rozwoju w dniach 6–8 października na Stadionie Śląskim w Chorzowie. Wśród poruszanych tematów znalazło się szerokie omówienie specjalnych stref ekonomicznych. Okazją było m.in. 25-lecie Katowickiej SSE, która jest największym tego typu obszarem inwestycyjnym w Europie.

W panelu o przyszłości SSE administrację reprezentowali: Grzegorz Piechowiak, sekretarz stanu w Ministerstwie Rozwoju i Technologii, poseł Robert Warwas, wojewoda śląski Jarosław Wieczorek, a także Izabela Domogała z zarządu województwa śląskiego. Ponadto eksperci: Zdzisława Dacko-Pikiewicz, rektor Akademii WSB, oraz Krzysztof Drynda, prezes Polskiej Agencji Inwestycji i Handlu. W dyskusji uczestniczyli: dyrektor Biura Koordynacji oddziałów w Agencji Rozwoju Przemysłu SA Zbigniew Bednarski oraz prezesi kilku SSE: katowickiej – Janusz Michałek, pomorskiej – Przemysław Sztandera, oraz łódzkiej – Marek Michalik.

Najważniejsze wyzwania, jakie stoją dziś przed SSE, scharakteryzował minister Grzegorz Piechowiak: „Dziś inwestorzy, z którymi rozmawia Ministerstwo Rozwoju, często pytają, czy na danym obszarze inwestycyjnym występują ekologiczne źródła energii. Tym samym jako kraj musimy rozwijać zieloną energię i odpowiadać na te potrzeby".

O współpracy z Ministerstwem Rozwoju w tworzeniu nowych obszarów inwestycyjnych mówił z kolei Zbigniew Bednarski: „Jako ARP staramy się wchodzić w obszary, w których potrzebna jest pomoc państwa. Razem z Ministerstwem Rozwoju pracujemy nad tworzeniem parków inwestycyjnych. Szukamy terenów od stu do tysiąca hektarów".

Zbigniew Bednarski zwrócił także uwagę, że istniejące w Polsce SSE wykształciły swoje własne specjalizacje.

„Śląsk zmierza w kierunku specjalizacji motoryzacyjnej. Łódź to silnie rozwijający się rynek start-upów i technologii 5G. Mielec to słynna dolina lotnicza. Naszą perłą pozostaje strefa w Kobierzycach, gdzie znajduje się największa na świecie fabryka akumulatorów do aut elektrycznych, firma LG Energy Solution. Po zakończeniu czwartego etapu inwestycji ma to być fabryka o mocy dwukrotnie większej niż fabryka Tesli w Nevadzie" – mówił Bednarski.

Bednarski podkreślał, że globalni inwestorzy postrzegają Polskę jako atrakcyjne miejsce do inwestowania, głównie z uwagi na wysoko wykwalifikowanych pracowników, ale powinniśmy w Polsce przyspieszyć możliwość realizacji projektów. „Inwestorzy są zgodni, że fakt, iż dana fabryka w Polsce mogłaby powstać dwa lata szybciej niż gdzie indziej, oznacza dla nich znaczącą przewagę inwestycyjną. Dlatego jako ARP staramy się wspierać rozwój owej przewagi".

Z kolei jeśli chodzi o firmy sektora MŚP, kluczowe jest powstanie Polskiej Strefy Inwestycji.

„Od powstania PSI obserwujemy bardzo dynamiczny przyrost decyzji o wsparciu i idący za tym wzrost inwestycji ze strony sektora MŚP. Tym samym dziś wspierany jest rozwój wszystkich firm w Polsce" – podsumował Bednarski.

Przedstawiciel ARP zwrócił także uwagę, że dziś potrzebne są zmiany legislacyjne pozwalające na szybsze procedowanie tworzenia przyłączy energetycznych czy ułatwiające zamówienia publiczne. To podstawowe warunki zwiększenia dynamiki rozwoju SSE.

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 16/1021/F

eprasa.pl 31955fcd36

Hit tygodnia

Kamera GoPro Hero 10 Black

Firma GoPro zaprezentowała najnowszy model swojego sztandarowego produktu, jakim jest kamera GoPro Hero. Urządzenie nazywa się GoPro Hero 10 Black i wg producenta jest to „najwydajniejsza, najszybsza, najlepsza kamera GoPro w historii". Trudno się dziwić firmie, że zachwala swój produkt, ale nie da się ukryć, że kamerki GoPro wyznaczyły pewne standardy, jeśli chodzi o nagrywanie. Urządzenie zapewnia nagrywanie w rozdzielczości: 5,3K w 60 fps, 4K w 120 fps oraz 2,7K i 1080p w 240 fps, a to oznacza, że można nagrywać filmy w 8-krotnym zwolnieniu (slow motion) w rozdzielczości 2,7K, 4-krotnym w 4K oraz 2-krotnym w 5,3K. Kamerka wykonuje zdjęcia w rozdzielczości 23 MP oraz umożliwia przechwycenie pojedynczych klatek z filmu o rozdzielczości 15,6 MP. Obudowa jest wytrzymała, tak by sprawdzić się w nagrywaniu sportów ekstremalnych, kamera jest w pełni wodoszczelna do 10 m. GoPro Hero 10 Black ma do dyspozycji dwa ekrany: główny, dotykowy o wielkości 2,27" umieszczony z tyłu kamery oraz drugi, mniejszy, podglądowy o wielkości 1,4" znajdujący się zaraz obok obiektywu. Jak podkreśla producent, wszystkie akcesoria od GoPro Hero 9 Black są kompatybilne z GoPro Hero 10 Black, podobnie jak każdy element montażowy, np. wysięgniki lub innego rodzaju uchwyty. Cena urządzenia to 2599 zł. **premiera**

Plusy i minusy

+ dla osób korzystających z tego typu urządzeń – must have, czyli nie można nie mieć
– duża konkurencja na rynku

Konsola Steam Deck

Rynek konsol to bardzo dochodowa gałąź elektronicznej rozrywki. I wiele firm przekonało się już, że nie tak łatwo wykroić coś dla siebie z tego tortu. Valve, twórca Steasm, platformy dystrybucji cyfrowej gier, postanowił sprawdzić swoje siły na polu konsol i niedawno zaprezentował urządzenie Steam Deck, czyli przenośną konsolę, która, jak się wydaje, ma głównie konkurować z Nintendo Switch. Co ma oferować konsola Valve? Przede wszystkim dostęp do biblioteki gier użytkownika, które ma na Steamie. Będzie można także grać wymiennie: na konsoli i komputerze w tę samą grę. Choć do premiery zostało jeszcze trochę czasu, to znamy już polskie ceny: Steam Deck 64GB eMMC – 1899 zł, Steam Deck 256GB NVMe SSD – 2499 zł, Steam Deck 512GB NVMe SSD – 3099 zł. **zapowiedź**

Okulary Xiaomi Smart Glasses

Takie okulary to pewnie każdy chciałby mieć, ale będzie musiał się uzbroić w cierpliwość, bo to na razie tylko koncept. Ale za to jaki! Chiński producent deklaruje, że jego okulary będą mogły służyć do... dzwonienia, przeglądania wiadomości, robienia zdjęć, nawigacji. Chciałoby się zapytać pół żartem, pół serio, czy da się w nich czytać jeszcze tradycyjną książkę, czy tylko wersję elektroniczną? Technologicznie: w oprawkach ma być umieszczony wyświetlacz, który będzie pokazywał informacje jak powiadomienia ze smartfona czy podgląd zdjęcia w trakcie fotografowania. Poczekamy, zobaczymy. **zapowiedź**

Przygotował ***Paweł Gadaczek***

eprasa.pl 31955fcd36

Wierzymy, że propozycja akcyzy to „wypadek przy pracy”

Na temat nowego projektu podatku akcyzowego od wyrobów tytoniowych, o inwestycjach w Polsce i nowatorskich wyrobach tytoniowych – z *Andrzejem Skubiszewskim*, prezesem JTI Polska, rozmawia Bartosz Życiński

W tym tygodniu swoje rekomendacje zmian w podatku akcyzowym przedstawiło Forum Akcyzowe powołane przez Ministerstwo Finansów jako ciało doradcze ministra. Zanim jednak Forum zakończyło swoje prace, na stronach rządowych pojawił się projekt zmian w akcyzie, który ma się nijak do rekomendacji Forum. Jak rozumieć tę sytuację?

Andrzej Skubiszewski: Bardzo cieszyliśmy się na inicjatywę, jaką jest Forum Akcyzowe, zainicjowane przez samo Ministerstwo Finansów. To był jasny sygnał, że jako branża jesteśmy traktowani po partnersku i że po stronie rządzących jest chęć wypracowania rozwiązań porządkujących politykę akcyzową w Polsce w taki sposób, który pomoże maksymalizować wpływy budżetowe, nie wypchnie najmniej zarabiających do szarej strefy, będzie sprawiedliwy z punktu widzenia konkurencyjności firm i nie przyczyni się do podnoszenia inflacji.

Tymczasem jeszcze przed zakończeniem prac Forum ukazał się projekt zmian w ustawie akcyzowej, co bardzo mnie zaskoczyło. Nie mniejszym szokiem było dla mnie to, że niemal wszystkie propozycje MF są sprzeczne z rekomendacjami uczestników Forum i, co dla nas szczególnie niepokojące, faworyzują jedną firmę w dwóch głównych kategoriach: wyrobów tradycyjnych i nowatorskich.

Trzy koncerny tytoniowe obecne na polskim rynku, w tym JTI Polska, alarmują, że przyjęcie propozycji ministerstwa podniesie ceny jedynie najtańszych papierosów, nie wpłynie za to na cenę najdroższych. Powinniśmy chyba wyjaśnić czytelnikom mechanizm tzw. minimalnej akcyzy, by dobrze zrozumieli istotę zaproponowanych przez resort zmian.

Ministerstwo proponuje podniesienie minimalnej stawki akcyzy z obecnych 100 proc. do 105 proc. Taka wysokość minimalnej akcyzy nie występuje nigdzie w Europie z wyjątkiem Belgii – ale tam jest zupełnie inna struktura akcyzy na papierosy. Podniesienie tej stawki oznacza, że podwyżka ma dotyczyć tylko papierosów z dolnego segmentu cenowego, a w ogóle nie obejmie papierosów droższych. To z kolei oznacza, że za podwyżkę akcyzy zapłacą najmniej zarabiający. Ta propozycja najbardziej dotyka trzy z czterech największych firm tytoniowych działających w Polsce. Nie wierzę w zbiegi okoliczności. Nie ma żadnego uzasadnienia, dlaczego lepiej zarabiający mają nie brać na siebie podwyżki akcyzy. Dlatego jako trzy firmy tytoniowe apelujemy do ministerstwa o wycofanie się z tej propozycji.

Ministerstwo argumentuje, że projekt powstał jako odpowiedź na konieczność dopasowywania podatków nakładanych na papierosy do standardów unijnych. Nie jest bowiem tajemnicą, że kierownictwo UE chce bardzo odzwyczaić jak największą liczbę ludzi od palenia i dlatego wymaga, by wszystkie używki, w tym tytoniowe, były drogie. Czy rzeczywiście dostrzega pan, że przyjęcie akcyzy w zaproponowanym kształcie zbliża nas do standardów europejskich w tym zakresie?

Dopiero toczą się dyskusje o rewizji tzw. dyrektywy akcyzowej, a ewentualne zmiany wejdą w życie najpewniej najwcześniej w 2024 r. Obecnie minimalna stawka akcyzy na papierosy narzucona przez UE wynosi 90 euro/1000 szt. W Polsce spełniamy ten obowiązek z nawiązką, ponieważ minimum wynosi ok. 104 euro. Dodatkowo, w większości krajów w UE minimalna stawka akcyzy jest na poziomie równym lub mniejszym niż 100 proc. średniej ceny, w tym w krajach, takich jak Austria, Niemcy, Hiszpania, Czechy. W Polsce proponuje się 105 proc. w oderwaniu od średniej unijnej, która wynosi 98 proc.

Nie jest tajemnicą, bo widać to zwłaszcza w dużych miastach, że wiele osób porzuca tradycyjne papierosy na rzecz tzw. wyrobów nowatorskich, czyli podgrzewaczy tytoniu. Projekt zmian w akcyzie przewiduje jej zwiększenie na tego typu wyroby aż o 100 proc. Jak pan oceni ten zapis?

Trzeba zdawać sobie sprawę, że obecnie podgrzewacze są opodatkowane o 80 proc. niższą akcyzą niż papierosy. Dziś

eprasa.pl 31955fcd36

z paczki wyrobów nowatorskich, która kosztuje 15 zł, do budżetu państwa trafia jedynie 1,70 zł, a z paczki papierosów w tej samej cenie – blisko 10 zł. Rząd proponuje wzrost stawki akcyzy na wyroby nowatorskie z obecnych 1,70 zł do 2,50 zł. To wciąż oznacza dużą preferencję! Rynek tych wyrobów dynamicznie się rozwija. Szacujemy, że w 2020 r. nastąpił niemal 120-proc. wzrost ich sprzedaży względem 2019 r. Przy obecnej stawce więcej do budżetu państwa trafia z podatku VAT od tych wyrobów niż z samej akcyzy, co stanowi swoiste zaprzeczenie samej funkcji podatku akcyzowego, nakładanego na używki.

Wynika z tego, że producenci wyrobów nowatorskich nie mają powodów do narzekań, mimo iż np. Ministerstwo Zdrowia rekomendowało obłożenie tego segmentu rynku taką samą akcyzą jak papierosów tradycyjnych. Państwo wyliczyli, że gdyby resort finansów opodatkował te wyroby, tak jak jest w Niemczech, to do budżetu Polski w latach 2022–2024 trafiłoby dodatkowe 8,6 mld zł. Ale ministerstwo chce zwiększyć wpływy budżetowe w tych latach w inny sposób – stale podnosząc akcyzę. Jak ocenia pan zaproponowaną w projekcie tzw. mapę akcyzową, czyli plan podwyżek tego podatku do roku 2027?

Nie jesteśmy za tak drastycznym rozwiązaniem dla wyrobów nowatorskich, na jakie zdecydowali się Niemcy. Niech będą opodatkowane preferencyjnie w stosunku do papierosów, ale ta kategoria musi mieć swój sprawiedliwy udział we wpływach do budżetu państwa. Mówię to z perspektywy firmy, która jako jedyna produkuje w Polsce te wyroby. Mój zespół analityków policzył, że gdyby wyroby nowatorskie były opodatkowane na poziomie 70 proc. papierosów (co i tak stanowiłoby dużą preferencję!), to tylko w 2022 r. do budżetu trafiłoby dodatkowe 2 mld zł, a w ciągu trzech lat 7,7 mld! Porównując to z obecnym kształtem ustawy, budżet państwa tylko w przyszłym roku straci w stosunku do naszej propozycji 1,2 mld zł, a w ciągu trzech lat aż 5 mld zł.

Jeżeli chodzi o samą ideę mapy akcyzowej, to stanowczo popieram takie rozwiązanie. Mam natomiast zastrzeżenia co do wysokości zaproponowanych podwyżek. W przypadku wyrobów tradycyjnych ministerstwo już podnosiło akcyzę o 10 proc. rocznie w latach 2011–2014. Skończyło się to załamaniem legalnego rynku i spadkiem wpływów budżetowych. Szkoda, że jako państwo nie uczymy się na własnych błędach. Plan zakładający 10 proc. podwyżki akcyzy będzie także czynnikiem napędzającym inflację, co przyczyni się do dalszego zubożenia gospodarstw domowych o najniższych dochodach. Dlatego twierdzę, że lepiej podnosić akcyzę dla wyrobów nowatorskich, gdzie jest na to duża przestrzeń.

Jak słychać, JTI Polska ma wiele zastrzeżeń co do przedstawionego projektu zmian w akcyzie i zapewne liczą państwo na to, że uda się go jeszcze poddać modyfikacjom, zwłaszcza że koncern regularnie otwiera kolejne duże inwestycje w Polsce. Jak wygląda zaangażowanie JTI w naszym kraju?

Powiem wprost – Polska jest kluczowym krajem pod względem inwestycji dla JTI. Pod Łodzią znajduje się nasze największe centrum produkcyjne na świecie, w Warszawie rozwijamy właśnie Globalne Centrum Usług Biznesowych, w którym pracę znajdzie ponad 900 osób. Zatrudniamy już powyżej 3 tys. osób i zainwestowaliśmy w Polsce przeszło miliard dolarów. Takie zaangażowanie to był efekt dobrej współpracy z rządem centralnym i władzami lokalnymi, dlatego wierzymy, że osiągniemy kompromis w tej kluczowej dla branży sprawie, i że ogłoszony projekt był raczej „wypadkiem przy pracy", a nie zamierzoną strategią. Nie może być tak, że rząd sięgnie do kieszeni najuboższych konsumentów, a jednocześnie (dzięki proponowanym przepisom akcyzowym) da przywileje wielkiej firmie.

eprasa.pl 31955fcd36

Przepis na Nobla

Nie jest tak, że Noble dostaje się za to, co jest modne, jak mogłoby się pozornie wydawać po tegorocznych nagrodach, gdy wyróżnienie trafiło do fizyków zajmujących się zmianami klimatycznymi. Jest na odwrót

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Zwykłe życie, nauka i Nagrody Nobla tworzą konglomerat. Kiedy przy rodzinnych obiadach ludzie rozmawiali o tym, jak niezwykłą sprawą jest zajrzenie w głąb człowieka za sprawą specjalnego promieniowania, Nobla dostała Maria Skłodowska-Curie za odkrycie promieniotwórczych pierwiastków. Gdy w sierpniu 1945 r. oczy świata zwrócone były na Hiroszimę i Nagasaki, Otto Hahn czekał na odebranie Nagrody Nobla za rozszczepienie jądra atomu. W czasach, gdy klonowanie i eksperymenty genetyczne nie schodziły z pierwszych stron gazet, Nagrody Nobla otrzymywali chemicy specjalizujący się w biochemii: Berg, Sanger i Gilbert za badania kwasów nukleinowych (1980) oraz Smith i Mullis za badania, najogólniej mówiąc, DNA (1993).

Technologie i rozwiązania, które trafiają do mas w formie gotowego produktu, swój początek mają w laboratoriach naukowców. Dzięki wdrożeniom (oby nie tak niszczycielskim jak bomba atomowa) ludzie mogą poznać, korzystać i omawiać osiągnięcia nauki. Nie jest więc tak, że Noble dostaje się za to, co jest modne, jak mogłoby się pozornie wydawać po tegorocznych nagrodach, gdy wyróżnienie trafiło do fizyków zajmujących się zmianami klimatycznymi (Syukuro Manabe i Klaus Hasselmann). Jest na odwrót. Nauka jest awangardą wszelkich ruchów na świecie i poprzedza wszelką aktywność: przemysł, medycynę, zbrojenia, ochronę klimatu itd. To, o czym się aktualnie mówi lub ze zdziwieniem odkrywa, z pewnością dziesięć lat wcześniej stało się już obiektem badań naukowych.

NOBEL ZA WSZY

Jest i tak, szczególnie w przypadku medycyny, że Nagrodą Nobla honoruje się tych, którzy znaleźli rozwiązania na trapiące ludzkość problemy. W 1928 r. wyróżnienie trafia do rąk pracującego w Tunisie francuskiego lekarza Charles'a Julesa Henry'ego Nicolle'a. W tym czasie populacje miast całego świata są już bardzo duże. Za duże z punktu widzenia bakteriologicznego. Miesiące dzielą biologów od wynalezienia antybiotyku. Jednak ludzkość będzie musiała czekać jeszcze ponad dekadę, zanim antybiotyki się upowszechnią. Epidemie tyfusu od lat dziesiątkują miasta wyniszczonej wojną i biedą Europy. Rozwiązaniem jest poznanie mechanizmu rozprzestrzeniania się choroby. Odkrycie, którego dokonał Nicolle, umożliwia profilaktykę, a w efekcie znaczące ograniczenie zarazy. Francuz łączy z sobą fakty: ugryzienia przez wszy i zakażenie chorobą. Za dostrzeżenie tego powiązania i odkrycie, że tyfus przenoszony jest przez wszy, otrzymał Nagrodę Nobla.

W tym miejscu konieczne jest przytoczenie losów niezwykłej postaci, bardzo interesującej właśnie w kontekście Nagrody Nobla. Polak, profesor Uniwersytetu Lwowskiego Rudolf Weigl był kolegą Nicolle'a. Z urodzenia był Austriakiem, wybrał jednak bycie Polakiem. Pracował we Lwowie, od początku kariery naukowej zajmując się tyfusem. Kierował laboratorium badawczym, którego osiągnięcia były prawdziwą sensacją. Weiglowi udało się bowiem stworzyć szczepionkę przeciw tyfusowi. Akcja szczepienia jego preparatem uratowała w Chinach tysiące istnień. Sam osobiście pojechał w 1939 r. szczepić ludzi w Abisynii, gdzie wybuchła epidemia.

Podczas wojny, ryzykując życie, odmówił podpisania volkslisty, podkreślając swoją polskość. Pracował wówczas w Instytucie Badań nad Tyfusem Plamistym i Wirusami, choć nie bez dylematów moralnych – placówkę przejęli Niemcy. Jego postawa była jednak poza jakimikolwiek zarzutami: zatrudniał, chroniąc przed śmiercią, wybitnych polskich matematyków, nigdy nie wchodził w układy z Niemcami – wręcz przeciwnie – narażał im się swoją niezłomnością, odmówił objęcia placówki naukowej w Berlinie. Prace nad leczeniem tyfusu kontynuował z myślą o uratowanych ludziach. Jego szczepionka trafiła za mury getta warszawskiego, do partyzantów, w ręce ludności cywilnej. Weigl do Nagrody Nobla zgłaszany był wielokrotnie. Przeciwko przyznaniu jej naukowcowi występowali zarówno Niemcy, jak i władze komunistyczne, które po wojnie cały czas szykanowały naukowca.

TYLKO HARVARD

Zdecydowanie łatwiej mają Amerykanie. Bycie naukowcem na Uniwersytecie Harvarda zwiększa szansę na Nobla w stosunku do pracownika innej uczelni o 1000 proc. Przez ostatnie 20 lat Nobla otrzymało sześciu harwardzkich fizy-

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 31955fcd36

ków, dziewięciu chemików, siedmiu medyków i jedenastu ekonomistów! Od początku istnienia nagrody aż 165 osób z tej amerykańskiej uczelni otrzymało Nobla. Za Harvardem, w kategorii największej liczby laureatów, jest brytyjski Cambridge – 121 osób.

Warta przyjrzenia się jest uczelnia zlokalizowana w tym samym stanie co Harvard – Massachusetts Institute of Technology. W rankingu Nagród Nobla ma szóste miejsce. Jednak jeśli weźmie się pod uwagę XXI w., jest prawdziwą potęgą: zajmuje drugie miejsce, z liczbą 47 laureatów. Naukowcy z Massachusetts specjalizują się w zdobywaniu Nagród Nobla z ekonomii: 24 osoby w ostatnich dwóch dekadach! W tym czasie sześciu naukowców z tej uczelni otrzymało Nobla z chemii, dziesięciu z medycyny i sześciu z fizyki.

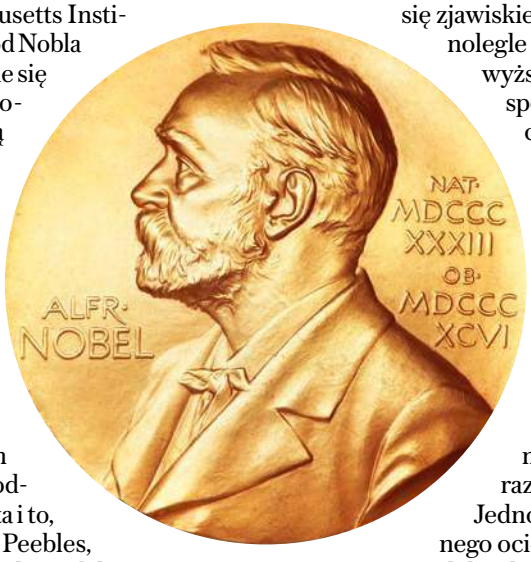

Jeśli chodzi o fizykę, to największą kuźnią talentów z tej branży, obok Harvardu, jest Uniwersytet Princeton zlokalizowany w New Jersey. To tam odkryto naturę początków Wszechświata i to, jak wyglądał Wielki Wybuch (James Peebles, Nobel 2019) – Princeton przoduje w badaniach kosmologicznych. Również badane od lat fale grawitacyjne, będące odkształceniem czasoprzestrzeni, właśnie na tej uczelni doczekały się wynalezienia dla nich detektora.

W Europie najwięcej noblistów ma uniwersytet Cambridge (121), Oxford (72) i Uniwersytet Humboldta w Berlinie (57). Niemniej jednak, jeżeli weźmie się pod uwagę wyłącznie XXI w., to na prowadzenie wysunął się, tuż za Cambridge, Uniwersytet Paryski, który w ostatnich dwóch dekadach miał 12 noblistów różnych kategorii. Najlepsze pod względem liczby laureatów uczelnie azjatyckie to: uniwersytety z Kioto (19 laureatów) i Tokio (18 laureatów) oraz Uniwersytet Hebrajski w Jerozolimie (16 laureatów).

FIZYKA 90-LATKÓW

Wracając do tegorocznych nagród. W dziedzinie chemii Nobel powędrował do Benjamina Lista (Instytut Maxa Plancka) i Davida MacMillana (Uniwersytet Princeton) za badania nad symetryczną organokatalizą. Metoda ta ma zastosowanie m.in. w produkcji leków, w agrochemii czy chemii materiałowej.

W dziedzinie fizyki wyróżniono dwa tematy. Pierwszy, zgłębiany przez Giorgia Parisiego z Uniwersytetu Rzymskiego „La Sapienza", dotyczy złożonych systemów fizycznych i wzajemnego oddziaływania nieporządku i fluktuacji w układach fizycznych. Drugi temat Królewska Szwedzka Akademia Nauk określiła jako „fizyczne modelowanie klimatu Ziemi, kwantyfikację zmienności i wiarygodne przewidywanie globalnego ocieplenia". Jego badaniem zajmowało się dwóch fizyków Japończyk Syukuro Manabe (znów Uniwersytet Princeton!) i Niemiec Klaus Hasselmann z Instytutu Maxa Plancka.

To, co obecnie jest medialnym tematem, a przez niektórych kwestionowaną sprawą – ocieplenie klimatu i rola w tym procesie działalności człowieka – było dziesiątki lat temu udowodnione przez tych dwóch naukowców, obecnie 90-latków (jedni z najstarszych laureatów). Obaj tworzyli fizyczne modele klimatu Ziemi w czasach, kiedy nikt jeszcze nie przejmował się zjawiskiem zmian klimatycznych. To oni równolegle w latach 60. i 70. odkrywali, że podwyższona temperatura w atmosferze jest spowodowana emisją dwutlenku węgla, co również przekłada się na zwiększenie temperatury na powierzchni Ziemi, oraz że emisja CO_2 ma źródła antropogeniczne.

Jak ważny jest tegoroczny Nobel z „klimatu", pokazuje postawa innego noblisty. Kontrowersyjny biochemik Kary Mullis, surfer, zwolennik LSD i astronomii zdobył Nagrodę Nobla w dziedzinie chemii w 1993 r. za to, że wynalazł przełomową metodę reakcji łańcuchowej polimerazy, czyli powielania łańcuchów DNA. Jednocześnie zaprzeczał istnieniu globalnego ocieplenia i dziury ozonowej. Gdyby żył (zmarł dwa lata temu), być może werdykt akademii noblowskiej przekonałby go, że klimat faktycznie się zmienia i człowiek ma w tym udział.

Jeszcze bliższe człowiekowi zagadnienia badali dwaj amerykańscy biolodzy. Pochodzący ze wspomnianego Massachusetts Institute of Technology David Julius oraz Ardem Patapoutian z Uniwersytetu Kalifornijskiego w Los Angeles otrzymali Nobla w dziedzinie medycyny i fizjologii za odkrycie receptorów temperatury i dotyku. Szczególnie atrakcyjne do prześledzenia dla szerokiej publiczności badania prowadził Julius. Wykorzystywał kapsaicynę – bardzo piekącą substancję obecną w papryczkach chili, aby zidentyfikować receptory czuciowe reagujące na ciepło w zakończeniach nerwowych skóry. Dzięki temu udało się zidentyfikować najważniejsze brakujące ogniwa w zrozumieniu złożonej interakcji między zmysłami człowieka a środowiskiem zewnętrznym.

BEZKONKURENCYJNA MARIA

Może polskie instytucje naukowe nie mają osiągnięć na niwie noblowskiej, jednak Maria Skłodowska-Curie rekompensuje ten brak. Ona wraz z członkami swojej rodziny: córką, mężem i zięciem, mają w sumie pięć Nobli. Skłodowska jest jedyną podwójną noblistką wśród kobiet, jedną z czterech osób posiadających więcej niż jednego Nobla, jest także laureatką w dwóch różnych kategoriach (chemia i fizyka). Jako jedyna osoba na świecie ma córkę, która też otrzymała Nobla. Wraz z mężem są pierwszym z sześciu tandemów mąż–żona, który otrzymał Nobla, drugim jest jej córka ze swoim mężem. Jest pierwszą kobietą, która otrzymała tę nagrodę i jedną z czterech kobiet laureatek w dziedzinie fizyki.

eprasa.pl 31955fcd36

OLGA BORYS | AKTORKA

Życie na walizkach

Z racji licznych wyjazdowych spektakli często jestem w podróży. Tydzień w tydzień dojeżdżam też do Olsztyna, gdzie mam zajęcia ze studentami. Można powiedzieć, że prowadzę życie na walizkach.

Uwielbiam być w drodze. Dużo we mnie z nomada, ale też ogromnie jestem wdzięczna Tomkowi Dutkiewiczowi, dzięki któremu w warszawskim Teatrze Komedia gram dwie role. Od czasu do czasu mogę więc w tzw. kapciach pojechać na próbę, potem na spektakl i wrócić na noc do domu.

Moje podróże – czy to zawodowe, czy prywatne – łączą się z odkrywaniem nowych smaków (albo powrotem do tych wcześniej sprawdzonych). Mam wrażenie, że niektóre miejsca przyciągają ludzi z kulinarnym talentem. Tak jest w Łodzi. Dokądkolwiek trafię, by coś zjeść, jest dobrze, ale najczęściej wybieram zaułek przy ulicy Piotrkowskiej, gdzie obok siebie ulokowały się knajpki: libańska, włoska i japońska. W tej ostatniej podają cudowny ramen.

Z kolei na Śląsku wcinam dania lokalnej kuchni. Nawet nie trzeba miejsc z polecenia, bo wszędzie, gdzie podają zrazy z kluskami i modrą kapustą albo karminadle, będzie pysznie. Jak jadę na Śląsk, wiem, że głodna nie będę.

W Katowicach chętnie wracam do Nikiszowca, malowniczej dzielnicy całej w cegle. Filmy można tam kręcić, ale też pospacerować, poczuć atmosferę i, oczywiście, coś dobrego zjeść.

W Olsztynie też mam swoje kulinarne przystanie. Związane przede wszystkim z wodą, bo to miasto jezior. W bliskim sąsiedztwie Teatru im. Stefana Jaracza leży Jezioro Długie, a zaraz za nim największy i najgłębszy akwen w mieście – Ukiel, zwany też Jeziorem Krzywym. Bliskość wody oznacza dostęp do wszelkiego rodzaju ryb. Uwielbiam je w panierce, ale z chęcią zjadam też zupę rybną. Muszę przy tym wspomnieć, że rewelacyjną robi mój mąż. Jakby białą, z kolendrą i mlekiem kokosowym.

Smakują mi różne gatunki ryb, ale najbardziej lubię mazurskie sielawy. Na smażoną rybę jadę najczęściej do hotelu Przystań nad jeziorem Ukiel, za to gdy jestem w pobliżu teatru, zaglądam do maleńkiej knajpeczki, gdzie podają przepyszne pielmieni. Jestem wielką fanką tych pierożków, sama zresztą też je robię.

Z dzieciństwem kojarzy mi się smak i zapach drożdżaków – chlebów mojej babci Zosi, ale też jej rewelacyjne mielone. Wspominam również czereśnie zrywane prosto z drzewa (wdrapywałam się po nie na najwyższe gałęzie) i jeżyny. Byliśmy pokłuci – z czarnymi ustami i paznokciami, których nie dało się domyć, ale szczęśliwi.

Urodziłam się w Gubinie – mój tata pracował w nim jako żołnierz zawodowy (znajdowało się tam sporo jednostek wojskowych) – wyjechaliśmy w połowie mojej podstawówki. Ostatnio wróciłam do Gubina z młodszą siostrą, która zupełnie nic nie pamiętała. Musiałam jej pokazywać: „Tutaj widziałam cię w oknie szpitala, w którym się urodziłaś". Albo: „Tutaj był kiedyś basen...". Po tym, jak wojska opuściły Gubin, miasto podupadło. Pamiętam fabryki obuwia i mebli. Jakieś cementownie, dwa kina... A teraz w sali, w której oglądałam „Imperium kontratakuje", jest knajpeczka.

Jeżdżę nie tylko po Polsce. Wszędzie tam, gdzie dotarłam, lubiłam sięgnąć po lokalne dania. Do Japonii mnie jeszcze nie zagnało, ale na Karaibach, na Gwadelupie, wypożyczyliśmy z mężem samochód i pojechaliśmy przed siebie, kiedy nagle zobaczyliśmy dym i poczuliśmy niesamowity zapach. To był kreolski przydrożny grill. Smak opiekanych na nim krewetek i wołowiny... rewelacja. Jedliśmy rękami, nie zważając, że jesteśmy cali osmoleni.

Ostatnio cudowne wakacje spędziliśmy na Majorce, gdzie na każdym kroku kuszą tapasy i rybne przekąski. I nawet zwykłe śniadanie – francuskie tosty z pomidorem (ale dojrzałym na słońcu, pachnącym), na dodatek podane na łodzi – smakuje fantastycznie.

Kiedy jestem w Stanach, muszę zjeść stek. Taki prawdziwy, amerykański, z frytami. Ameryka daje jednak o wiele więcej. Jeśli okoliczności i okrojone przez pandemię zasoby pozwolą, marzy mi się wyjazd z rodziną do Nowego Jorku. Żeby pozwiedzać muzea, spotkać się ze znajomymi, połazić po Central Parku, pójść do teatru... Takie były plany na 2020 r. Nie udało się.

Zaraz przy Cenral Parku jest niewielki Wellington Hotel, w którym zwykle mieszkamy, jak jeździmy ze spektaklami. Menedżerką jest Polka, w restauracji też pracuje Polka i konsjerż jest Polakiem. Można się swojsko poczuć, ale przede wszystkim wszędzie jest blisko – i Guggenheim Museum, i MoMA, i Broadway (raptem dwie przecznice dalej). Jest więc super.

Jolanta Gajda-Zadworna

Fot. Baranowski/AKPA

eprasa.pl 3195556d36

SŁODKO-SŁONY

Japońskie zauroczenie

ANNA MONICKA

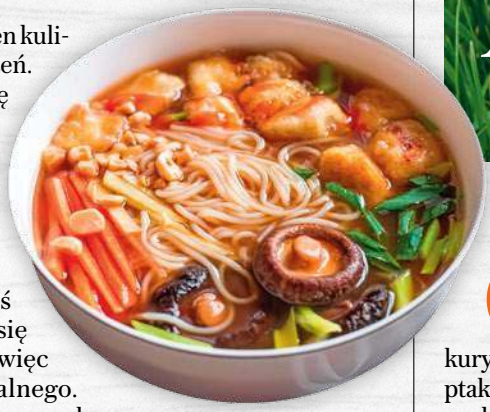

To był czas pełen kulinarnych wrażeń. Wybrałam się na weekend japoński do warszawskiej Hali Gwardii i przepadłam z kretesem. Zwabiło mnie oczywiście stoisko z jedzeniem, bo od jakiegoś czasu zakochałam się w ramenie, szukam więc mojego smaku idealnego. I oto ja, kobieta urodzona w krainie schabowego z kapustą, chyba go wreszcie znalazłam.

Po pierwsze, kupiłam najlepsze miso, jakie dotychczas udało mi się odkryć, nazywa się Hikari Organic i jest wegańskie, tylko soja, fermentowany ryż, sól i drożdże. Ma smak, który uzależnia, słodko-słony, aksamitny. Nie dziwię się, że Japończycy jedzą ramen, którego podstawą jest miso, od rana do wieczora.

Po drugie, najlepsze tofu pod słońcem, czyli torebki do inarizushi – wegański przysmak w sosach sojowym i słodko-kwaśnym mirin. Torebki można faszerować ryżem, warzywami, krewetkami, kurczakiem albo pokroić w paseczki i dodać do ramenu.

Po trzecie, makaron. Patrzyłam nieufnie na kostki ze sprasowanymi karbowanymi nitkami, przypominające „chińskie zupki", ale okazało się, że odkryłam prawdziwy smakołyk. Miyakoichi to tradycyjnie przygotowany według japońskiej receptury makaron ramen, zagniatany wyłącznie z pszennej mąki, soli i wody alkalicznej kansui. Jest sprężysty, pyszny i żółciutki, chociaż powstaje bez jajek. Woda alkaliczna pomaga odkwasić organizm, więc liczę na to, że nie przypłacę zdrowiem nadmiernej fascynacji japońską kuchnią. Zwłaszcza że śliczne niteczki można dodawać także do naszych zup.

Po czwarte, grzyby i wodorosty. Mam zapasy na kilka lat.

Po piąte, absolutny hit, czyli strączki młodej soi edamame. Skosztowałam w jednym ze stoisk i doszłam do wniosku, że to warzywo może zdetronizować bób. Kupuje się u nas zamrożone i krótko gotuje w osolonej wodzie, a następnie wyłuskuje ze strączków soczystozielone fasolki. Są słodkie, chrupkie, bogate w białko, wapń i żelazo. Można je jeść na zakąskę (po prostu z solą, całe strączki w misce: łuskanie pomaga na nerwy, gdy oglądamy mecz w TV), a można wsypać do ramenu. Sama nie wiem, co lepsze. Makaron i młoda soja śnią mi się po nocach.

Fot. Shutterstock (2x)

WILCZYM OKIEM

Kawia – medium na talerzu

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Odkąd kilka tysięcy lat przed naszą erą udomowiono kura bankiwa *Gallus gallus*, dzikiego kuraka z południowo-wschodniej Azji i przodka kury domowej, stadko brązowych, grzebiących i gdaczących ptaków stało się nieodzownym elementem obejścia w różnych, odległych od siebie zakątkach świata. Kury – poza tym, że po prostu dają się lubić – są niewymagające i dostarczają rozmaitych pożytków, przede wszystkim pożywienia.

Poza prozaicznymi zajęciami polegającymi na wydziobywaniu ziarna, wygrzebywaniu dżdżownic i znoszeniu jaj, w historii ludzkości kury pełniły też szacowniejszą funkcję. Z czasów legendarnych początków Rzymu wywodzi się zwyczaj wróżenia z zachowania tych ptaków.

Po drugiej stronie Atlantyku, w równoległym świecie inkaskiej Ameryki Południowej, miało miejsce zadziwiająco podobne zjawisko. Podobne, lecz na specyficzny, oryginalny sposób południowoamerykański. Wokół tamtejszych domostw również hasały stadka niewielkich zwierząt. Łatwych w hodowli, szybko rozmnażających się, pożywnych – i podobnie jak rzymskie kury – wpływających na decyzje ludzi jako przekaźnik woli starożytnych bogów. Były to kawie domowe *Cavia porcellus*, jak od pewnego czasu nazywają się świnki morskie.

Wróżeniem z zachowania świnek zajmował się odpowiednik rzymskich augurów, kapłan nazywany *hacarícuc* lub *cuyrícuc*. Świnka morska wykorzystywana była także jako medium, po przyłożeniu do ciała wskazujące źródło choroby; była też zwierzęciem ofiarnym. O ile jednak wróżenie z kurzego zachowania było w Rzymie domeną wysokiego kolegium augurów i kwestią wagi państwowej, o tyle obrzędy z udziałem świnek miały rangę spraw domowych. Ze świnek składano także ofiary (podczas oficjalnych uroczystości zastępowały je lamy).

Chociaż nam to arcymiłe zwierzątko domowe nie kojarzy się z pożywieniem, na terenach dawnego Imperium Inków świnki vel kawie chowano także w celach konsumpcyjnych. I to się nie zmieniło.

Świnki, podobnie jak kury, nie są już zwierzętami wróżebnymi. Ptak i gryzoń nie utraciły jednak swej zasadniczej roli i wciąż – podobnie jak u nas kurze udko lub skrzydełko – w peruwiańskiej restauracji, barze czy ulicznym straganie można kupić pieczoną świnkę morską.

eprasa.pl 31955fcd36

W ŚWIECIE LUSTER

HANNA KARP

Kanzlerin Zelig

Kiedy Angela Merkel nie była jeszcze niemiecką mutti, tylko jak ją nazwała jedna z biografek, nowicjuszką w prowincjonalnym kostiumie, kanclerz Helmut Kohl wręczył jej 100 marek i prosił, by wydała je na fryzjera. Do dziś jednak nie wiadomo, na co przeznaczyła wówczas tę kwotę. Tyle anegdota. Wokół niemieckiej polityk krąży wiele opinii. Jedni nazywają ją żelazną kanclerz, inni nieszczęściem Niemiec. Po 16 latach urzędowania odchodzi bezpowrotnie na emeryturę. W jakim stanie zostawia Niemcy i Europę? Jakie zostawia owoce? Ewangelia wszak powiada: „Po owocach ich poznacie".

To, co uderza w tej postaci, to jej wycofanie i stała gra, jakby z drugiego planu. Oględna w słowach i gestach. Od początku nieczytelna i taką chcąca pozostać. Choć to ona podejmowała decyzje. Jej niejasny sposób działania – jak podkreślali później obserwatorzy – wywoływał wrażenie, jakby rządziła z ukrycia. Jakby planowała decyzje, których nikt by nie zaakceptował, gdyby zostały podane do publicznej wiadomości. Upatrywano w tym wręcz jakiegoś rodzaju dywersję – pisała jedna z głośnych krytyczek Merkel, doradczyni kanclerza Helmuta Kohla, Gertrud Höhler.

Nieufność Merkel okazała się bardzo skuteczna. Wciąż jednak niepokoją pytania, skąd wzięła się na czele rządu i czyje cele realizowała. Odpowiedzi wydają się oczywiste. Zawsze stała na straży niemieckiej racji stanu. Jednak kurs, jaki obierają obecnie Europa i Unia Europejska po jej odejściu, może bardzo niepokoić.

Merkel lubiła zawsze zaskakiwać. „Nie sądzę, bym w realiach Zachodu kiedykolwiek zajęła się polityką" – mówiła w 2009 r., cztery lata po objęciu kanclerskiego stanowiska. Przyznała, że jest politykiem, gdyż zdecydował o tym, jak to nazwała „splot wydarzeń", czyli przypadek. Zdradziła, że w Niemczech Zachodnich byłaby pewnie wówczas nauczycielką albo tłumaczką. Jednak każdy, kto otarł się jakkolwiek o politykę, wie, że na tych poziomach nie ma miejsca na tzw. przypadki.

MERKEL? POZNAJMY JĄ PO OWOCACH

Po 16 latach władania Niemcami i Unią, bo w praktyce do niemieckiej kanclerz zwykle należał głos rozstrzygający, Europa jest rozbita i coraz bardziej skłócona. Po wrześniowych wyborach w Niemczech scena polityczna została całkowicie zdominowana przez lewicę, zielonych i skrajną lewicę. CDU, rodzima partia Merkel, otrzymała najgorszy wynik od 30 lat. W Europie zalew uchodźców. Wielka Brytania poza Unią. A nad Europą złowrogie widmo potencjalnych szaleństw pułkownika KGB Władimira Putina, czyli Nord Stream 1 i Nord Stream 2. Niemcy gospodarczo niepodzielnie zdominowały coraz słabszą UE i wszystko wskazuje na to, że ich potęga jeszcze będzie rosnąć. Jak zauważył w 2012 r. prof. Zdzisław Krasnodębski, Europa już wtedy myślała i działała po niemiecku. Za sprawą polityki Angeli Merkel. Nawet decyzja o budowie unii monetarnej, mająca teoretycznie zapobiec dominacji ekonomicznej zjednoczonych Niemiec, przez poddanie kontroli Bundesbanku, szybko okazała się kolejnym narzędziem dominacji gospodarczej Niemiec.

W Polsce w okresie rządów Angeli Merkel zdarzyła się rzecz najgorsza w całej współczesnej historii. Katastrofa w Smoleńsku. 10 kwietnia 2010 r. położył się cieniem na całą kolejną dekadę życia Polaków. Merkel nie zjawiła się jednak na pogrzebie Lecha Kaczyńskiego w Krakowie. Była jedną z wielkich nieobecnych. Zawinił, przypadkiem, islandzki wulkaniczny pył.

Po wyborach w Niemczech na Polskę ruszyła nawała ze wszystkich stron. Dziś biurokracja unijna nasila niemal z dnia na dzień szantaże, tłamsząc w kraju wolność sumienia, wyznania i prawo do przekonań. Szajka białorusko-kremlowska napiera zaś nieustannie hybrydowymi atakami od wschodu, sprowadzając na granicę polsko-biało-

eprasa.pl 31955fcd36

ruską nachodźców z Syrii i Dalekiego Wschodu. Aby wywrzeć większą presję na polską opinię publiczną, na bagna przygraniczne zwozi nawet dzieci, kobiety i kobiety w ciąży. To znamienne, że szaleństwa Łukaszenki rozpoczęły się w chwili, gdy po sfałszowaniu wyborów na Białorusi Merkel powiedziała, że jeśli Rosja wmiesza się w sprawy białoruskie, będzie to „problematyczne". Miękki ton kanclerz zapewne mógł prezydenta Rosji bardzo ośmielić i skierować w stronę działań radykalnych.

PUNKT ZWROTNY: PRZEGRANA TRUMPA

Wcześniejsza przegrana Donalda Trumpa dodała Merkel wiatru w żagle i skłoniła do coraz bardziej ostentacyjnych ukłonów w stronę Rosji i Putina. Dziś niemal każdego dnia widać, jak wypychane są amerykańskie interesy z Europy. Już nikt nie pyta o aneksję Krymu ani o to, co się dzieje na wschodzie Ukrainy. Piętrzą się kryzysy, w tym załamanie w Afganistanie po wyjściu wojsk amerykańskich. Unijna biurokracja zamilkła też w sprawie szaleństw Aleksandra Łukaszenki.

Załamanie demokracji europejskiej obserwatorzy polityki niemieckiej opisywali z niepokojem już w pierwszych latach rządów Merkel. W 2011 r. opiniotwórczy szwajcarski tygodnik „Die Weltwoche" alarmował, że Europa demontuje demokrację, Unia Europejska jest coraz potężniejsza, a unijni politycy chcą ratować kontynent drogą łamania prawa i naruszeń konstytucyjnych poszczególnych państw.

Krytycy polityki Angeli Merkel bili na alarm, podkreślając jej fatalną politykę, gdy chodzi o sprawy podstawowej aksjologii. Gertrud Höhler pisała, że Merkel sprawuje swój urząd tak, jakby „prowadziła sklep wielobranżowy, w którym wycofuje niechodliwe towary, a do oferty wprowadza podróbki cieszących się popytem produktów stworzonych przez konkurencję. Widzi siebie jako straganiarkę na politycznym targu, gdzie o wartości rynkowej towarów decydują względy klientów".

Po powrocie Donalda Tuska „na 100 procent" do krajowej polityki widać, jakim był pojętnym uczniem niemieckiej kanclerz, gdy z dnia na dzień, z brukselskiego nihilisty, zmienił się w nobliwego ojca rodziny. Polityka, który przed partyjnym zgromadzeniem na otrzymanym chlebie kreślił znak krzyża, choć ruch, jaki wykonywał przypominał bardziej paniczne odganianie much.

Okazało się, że podobnie jak Angela Merkel, uczynił z norm i wartości społeczeństwa demokratycznego masę, którą można swobodnie manipulować. Wciąż pilnie naśladuje swoją mistrzynię. Można obawiać się o skutki tego postępowania. Niemiecka kanclerz doskonale opanowała strategię Zeliga z filmu Woody'ego Allena, który cierpiał na niezbadaną wcześniej chorobę. Przebywając w otoczeniu określonej grupy, przyjmował charakterystyczny dla niej sposób zachowania i myślenia oraz upodabniał się do niej fizycznie. W efekcie wśród garbatych wyrastał mu garb, a wśród niemych tracił mowę.

DEMONTAŻ DEMOKRACJI

Gertrud Höhler podkreślała wielokrotnie, że kariera Angeli Merkel na Zachodzie nie była historią wzlotu, ale rezygnacji. „Jesteśmy świadkami tego, jak niemiecka kanclerz po cichutku odstępuje od kanonu podstawowych wartości" – zwracała uwagę Höhler.

To Merkel przypisano wykreowanie tzw. systemu M, czyli łagodnego wariantu autorytaryzmu. Polegał on na marginalizowaniu partii politycznych, tworzeniu programu będącego mieszanką zagrabionych treści, nonszalancji w stosunku do parlamentu, norm konstytucyjnych i standardów etycznych. Gertrud Höhler nazywała go autorytarnym socjalizmem bazującym na przyzwyczajeniu.

Doradczyni kanclerza Kohla mówiła wprost: „Siłą napędową kariery niemieckiej kanclerz stało się odrzucenie idei i wizji. W zjednoczonych Niemczech na szczyt polityczny trafił człowiek negujący wszelkie wartości, takie jak normy prawne, umowy, wolność konkurencji i kanon podstawowych zasad moralnych. Zauważono także, że jedną z głównych cech polityki Merkel było – zwłaszcza na początku – unikanie pierwszych protektorów w jej politycznej drodze. Część z nich była agentami komunistycznej bezpieki, w tym także jeden z jej doradców – jak się okazało agent Stasi – Lothar de Maizière, ostatni premier Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Po zjednoczeniu Niemiec minister w rządzie federalnym i deputowany.

Niemcy szybko się przekonali, że chrześcijańska i demokratyczna Merkel jest tylko w określonych sytuacjach – gdy zyskuje na tym jej kariera. Z tym, że ona nigdy nie działała na rzecz partii, a wszystkie bonusy zachowywała dla siebie. Wystartowała w roli potulnego baranka. W miarę upływu czasu zaczęła przeistaczać się w wilczycę, która stale obserwuje wroga i nie wikła się w lojalności. Unika jasnych wypowiedzi i zdecydowanych czynów. Działa pod przykryciem i ucieka przed zdemaskowaniem. A płaci za to demokracja – ostro zauważa Höhler.

Kiedy Gertrud Höhler, wieloletnia doradczyni kanclerza Helmuta Kohla, oraz prezesa Deutsche Banku Alfreda Herrhausena, profesor i ekspert w sprawach gospodarki i polityki, starała się o wydanie „Matki chrzestnej", nie znalazła w Niemczech wydawcy. Żaden nie ośmielił się opublikować monografii ze względu na jej silnie demaskatorski charakter. Już wtedy Merkel nie potrzebowała wprowadzania w Niemczech zapisów o tym, że można o niej pisać i mówić tylko dobrze. Pierwsze wydanie monografii mogło się ukazać dopiero w Szwajcarii w 2012 r., w Zurychu.

W tekście korzystano z monografii Gertrud Höhler, „Matka chrzestna. Jak Angela Merkel przebudowuje Niemcy", przekł. Ewa Stefańska, Wyd. Zyski S-ka, Poznań 2012.

Autorka jest medioznawcą, religiologiem, prof. WSKSiM w Toruniu

eprasa.pl 31955fcd36

OGNIEM NA WPROST

Ruski Bond w akcji

Dużo się mówi o Chinach, mało zaś o Tajwanie. Tymczasem na wyspie trwa cały czas analiza, kiedy Chińczycy ruszą, by ją zająć. W „Dzienniku Gazety Prawnej" ukazał się wywiad z Wang Ting-yu, tajwańskim politykiem, posłem rządzącej Demokratycznej Partii Postępowej i współprzewodniczącym parlamentarnej komisji spraw zagranicznych oraz obrony przestrzeni powietrznej. Zdaniem Ting-yu, „to, że władze komunistyczne chcą inwazji, nie jest nowością. Gdy tylko ich wojsko osiągnie pełnię możliwości, a społeczność międzynarodowa da zielone światło, wezmą się do roboty. Najważniejsze będzie najbliższe pięć lat. Przez ten czas będą wkładać ogromne pieniądze w rozwój obronności i różnego rodzaju inwestycje militarne. Zbudują potęgę, która umożliwi im bezproblemowe przerzucenie wojsk na Tajwan". Trzeba mieć nadzieję, że do tego nie dojdzie, Tajwan odgrywa bowiem niezwykle ważną rolę w światowym systemie dostaw i wojna z Chinami oznaczałaby z dużym prawdopodobieństwem kryzys światowej gospodarki.

Jak podają brytyjskie media, ruski James Bond wykradł formułę szczepionki AstryZeneki prosto z laboratorium. Kontrwywiad Zjednoczonego Królestwa nie jest tylko pewien, czy szpieg wyniósł dokumentację, czy też fiolkę gotowego produktu, która została następnie przemycona do Rosji, a tam preparat skopiowano. Okazuje się, że technologia szczepionki Sputnik V jest bardzo podobna do tej zastosowanej przez firmę AstraZeneca. W dodatku eksperci wskazują na zbieżność czasową między komunikatem o rozpoczęciu w Wielkiej Brytanii testów na ludziach a podaną przez Rosję informacją o opracowaniu szczepionki – jak podaje portal rmf24.pl. I tak wiele wskazuje na to, że słynny Sputnik – efekt myśli technicznej Rosji – to plagiat, owoc kradzieży intelektualnej. Ale cóż nauka radziecka (przepraszam rosyjska) zna takie przypadki. I to wiele.

Willkommenspolitik Angeli Merkel wyhodowało sobie nowego wroga. To deportowany z Niemiec Afgańczyk 35-letni Sanger Amadi, bandzior i szef gangu. W nagranym gdzieś na antypodach wideo grozi śmiercią niemieckim funkcjonariuszom policji, także tym ze specsłużb. „Mam wystarczająco dużo Afgańczyków we Frankfurcie i okolicy, którzy są na listach do deportacji. Są gotowi na wszystko. Jak będziecie nas wkurzać" – rzekł boss podziemnego świata, jaki rozwinął się wśród imigrantów w Niemczech. Amadi był w Niemczech szefem gangu Kartel Lwów, teraz się domaga, by policja zaprzestała dochodzeń wobec pozostałych członków grupy. Policja traktuje poważnie groźby. Takie wideo to „wstyd dla naszego państwa i udręka dla policjantów i ich rodzin", mówi przewodniczący niemieckiego związku policjantów Rainer Wendt. Uważa, że policjanci powinni być chronieni kompleksowo przed takimi zagrożeniami. Żeby było śmiesznej, deportacji gangstera usiłowała zapobiec w 2017 r. lewicowa polityk partii Zielonych i działaczka proazylowa Claudia Roth. Napisała list w sprawie jego i 13 innych Afgańczyków do ministra spraw wewnętrznych, to jednak nie zatrzymało wydalenia. Dziś, patrząc z perspektywy na politykę imigracyjną Merkel, można trawestować staropolskie powiedzenie: mądry Niemiec po szkodzie, natomiast co do lewej strony politycznej naszego zachodniego sąsiada właściwe wydaje się stwierdzenie, że po szkodzie i przed szkodą głupi.

Agencja RIA Nowosti poinformowała, że pododdziały rosyjskiego specnazu w czasie ostatnich trzech lat otrzymały partię podwodnych skuterów Seabob Black Shadow 730. Informacja jest o tyle niepokojąca, że pojazdy te znacząco podnoszą możliwości bojowe podwodnych dywersantów. I nie chodzi tu tylko o to, że pozwalają one na transport większej ilości ładunku oraz zwiększają zasięg i szybkość działania płetwonurków. Maszyny zostały wyprodukowane w niemieckiej firmie Rotinor ze Stuttgartu. Pewną ciekawostką jest to, że umowę niemiecka firma zawarła z Rosjanami w 2013 r., czyli na rok przed aneksją Krymu. Pierwsze dostawy sprzętu musiały się rozpocząć już po aneksji w 2014 r., a więc miano pełną świadomość, że Rosjanie mogą wykorzystać nowy nabytek np. do ataku na ukraińskie porty w Mariupolu lub Odessie. Wprowadzone przez UE sankcje dotyczą – formalnie – umów podpisanych po ich wejściu w życie. W sumie podpisano później jeszcze dwa kontrakty, unowocześniając słabo wyposażony morski specnaz. I tak Rosjanie, mimo sankcji, dostają najnowocześniejszą zachodnią technologię. Powtórka z Rapallo jak się patrzy!

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 31955fcd36

Nie mam kompleksów – byłem w UE, zanim to było modne

Samuel Pereira

W przestrzeni publicznej unosi się kilka balonów, z których część należałoby przebić, a pozostałe przynajmniej sprowadzić na ziemię. Na jednym z nich widzimy Unię Europejską jako macochę poślubioną Niemcowi po zniszczeniu Europy, która łaskawie wzięła pod opiekę osierocone dzieci, czyli „nowe kraje" wspólnoty, które – w domyśle – są mniej rozwinięte od reszty. Niby równe „starszym", ale jednak nie do końca, bo przecież jesteśmy „brzydką panną bez posagu", która ma się uśmiechać i pamiętać o miejscu w szeregu.

Druga prawda objawiona, jaką próbuje się nam zaszczepić, to kompleks Zachodu jako elitarnego klubu, do którego pozwolono nam dołączyć, a nawet dano kartę VIP do korzystania z siłowni, basenu i spa, dlatego cieszmy się, że tam w ogóle jesteśmy, nie „marnujmy okazji, żeby siedzieć cicho", i tańczmy, jak nam zagrają. Dziś to poczucie niższości nosi w sobie część starszego pokolenia, ale młodym jest ono całkowicie obce. I słusznie, bo nie mamy żadnych powodów do kompleksów. Tak się składa, że mam podwójne obywatelstwo, od urodzenia jestem Polakiem i Portugalczykiem, tak że w momencie gdy wstąpiliśmy do Unii Europejskiej, mój paszport unijny miał już 16 lat. Doskonale pamiętam, jak sprawdzano naszą rodzinę na niemieckiej granicy, gdy jadąc na kraniec Europy, przejeżdżaliśmy na polskich paszportach (nasi zachodni sąsiedzi umieli pokazać swój stosunek do Polaków w czasie kontroli), a jak to wyglądało, gdy tę samą granicę przekraczaliśmy na portugalskich dokumentach (pełen luz).

Jestem w stanie zrozumieć, że u niektórych ludzi to poczucie niższości pokutuje w podświadomości do dzisiaj, ale nie powinniśmy się tym kierować w ocenie obecnej rzeczywistości. Polska była, jest i będzie w Europie. Nie tylko nie mamy się czego wstydzić, lecz patrząc na historię naszego kraju, mamy wiele powodów do dumy. W demokracji Polak może krytykować polskie władze, jeśli jest za co, i może je zmieniać, a w demokratycznej UE Polska ma prawo się nie zgadzać z kierunkiem działań brukselskich władz. Wbrew forsowanej prounijnej propagandzie komisarze nie są nietykalnymi bogami z Olimpu, tylko ludźmi, czynnymi politykami, podlegającymi krytyce. Szczególnie w momencie, gdy zapominają, że Unia to wspólnota suwerennych i równych sobie państw.

Autor jest szefem portalu tvp.info

Tajfun na scenie

Z aktorką Aldoną Jankowską rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

W urokliwym stołecznym Teatrze Kamienica źle się dzieje? Ktoś tu naciąga „Metodą na wnuczka"?

Aldona Jankowska: Ależ dzieje się jak najlepiej. Bo jak pojawiają się burze, niespodziewane sytuacje – niczym w przywołanej przez panią premierowej sztuce, gdzie jeden odebrany telefon sprowadza na bohaterów tajfun (na szczęście komediowo przedstawionych perypetii) – to jednak prowadzą one do szczęśliwego finału.

Perypetie są komediowe, ale w tle jest jednak poważna sprawa i realne niebezpieczeństwo.

Wielkim walorem naszego spektaklu jest to, że oprócz zabawy, rozrywki niesie mądry przekaz. Jest o czym pomyśleć, zastanowić się, dlaczego i w jakich okolicznościach jesteśmy w stanie uwierzyć w najbardziej nieprawdopodobne historie. Choćby w nagle objawiających się krewnych w potrzebie. Ufam, że nasi widzowie, jeśli zdarzy im się odebrać od obcej osoby telefon o wnuczku w opałach, nie podejmą pochopnych decyzji.

Daje pani swoim bohaterkom dużo pozytywnej energii. Gdzie jeszcze, jako widzowie, możemy panią zobaczyć?

Zapraszam do oglądania seriali: „Na dobre i na złe", „Leśniczówka", „Papiery na szczęście". W Teatrze Kamienica gram jeszcze w sztuce „Zacznijmy jeszcze raz". Jestem też w obsadzie kilku spektakli stołecznego Kwadratu oraz w dwóch – jubileuszowych – krakowskiego Teatru Stu: „Trzech siostrach" i tragikomedii „Kiedy sobie znowu umierała". To szczególny czas: scena obchodzi w tym roku 55. urodziny.

Fot. Podlewski/AKPA

eprasa.pl 31955fcd36

Obrona polskości

Alina Czerniakowska

Wśród znajomych, ludzi różnych zawodów, często z poważnymi osiągnięciami, nie zauważam żadnego zainteresowania Donaldem Tuskiem, w przeciwieństwie do tego, co uskuteczniają niektóre media, dziennikarze, celebryci, biznesmeni itd. Zwykle gdy wymieniam jego nazwisko, słyszę: człowiek, który na niczym się nie zna, nic nie potrafi, kłamca, niemoralny, służy różnym układom agenturalnym, pociągany za sznurki ze Wschodu i Zachodu, człowiek, który powinien odpowiadać za Smoleńsk, za korupcyjną wyprzedaż majątku narodowego, za wszystkie oszustwa, za Amber Gold, za mnóstwo afer, w których wyniku państwo polskie straciło miliardy, za to wszystko, co ujawniono w nagraniach restauracyjnych, za „polskość to nienormalność", za działanie na szkodę interesów Polski w Unii, za zdradę i wszelkie zło wyrządzane Polsce. I dodają – przecież wystarczy popatrzeć, kto go wspiera, kto za nim stoi, i już wiadomo, o co chodzi. Inni konkludują krótko: dawno powinien siedzieć, a znamienity naukowiec, profesor historii nauki polskiej, powiedział spokojnie i kategorycznie: przed wojną Tusk dostałby karę śmierci. I to nie są słowa mówione pod wpływem emocji, złości, by spowodować agresję, ale spokojne, konkretne opinie oparte na gruntownej wiedzy historycznej i świetnej orientacji w obecnej sytuacji w Europie i na świecie.

Słysząc to wszystko, pytam, jak jest naprawdę? Zostawiam jednak to pytanie na boku i robię swoje. Kiedyś na targach książki w Warszawie wielki humanista, włoski pisarz Umberto Eco, podpisywał swój bestseller „Imię Róży". Ustawiła się ogromna kolejka, mnóstwo dziennikarzy z mikrofonami i ktoś zapytał go, jak postrzega Polskę? Umberto Eco z lekką ironią odpowiedział: „Polska to jest taki kraj, który miał tak niezwykłe miasto Lwów, a teraz go nie ma i nic nie mówi". Lwów, miasto szczególne dla Polski i Polaków, przedmurze chrześcijaństwa, Lwów Semper Fidelis, zawsze wierny Polsce, miasto Konopnickiej, Bełzy, Zapolskiej, Fredry, Staffa, Makuszyńskiego, Herberta, Grottgera, miasto słynnych polskich wynalazców na czele z genialnym matematykiem Stefanem Banachem – można byłoby tak wyliczać jeszcze długo. Warto o nich poczytać w książkach Witolda Szolgini, architekta, wielkiego patrioty, lwowianina, który o swoim ukochanym mieście wiedział wszystko i pięknie opisał prozą i wierszem. O Lwów, polski gród, od stuleci walczyli Polacy z urodzenia i ci z wyboru patrioci, wystarczy poczytać tablice na cmentarzu Łyczakowskim i przylegającym do niego cmentarzu Obrońców Lwowa – Orląt Lwowskich. To właśnie stąd zostały zabrane prochy 14-letniego obrońcy Lwowa i 2 listopada 1925 r. złożone w powstałym Grobie Nieznanego Żołnierza pod kolumnadą Pałacu Saskiego w Warszawie. „Prowadź Panno Święta/ Walczą Lwowskie dziś Orlęta/ Przysięgają Tobie święcie/ Polski Lwów na wieki będzie" – śpiewali młodzi obrońcy Lwowa. W 1920 r. Józef Piłsudski odznaczył Lwów Orderem Virtuti Militari jako jedyne miasto na świecie. Cmentarz Obrońców Lwowa przetrwał II wojnę światową, kłamali komuniści rozpowszechniając plotkę, jakoby uległ wojennym zniszczeniom.

Dopiero po wojnie niszczono wszystko, co polskie z niezwykłą zaciekłością. Dokładnie 50 lat temu, w sierpniu 1971 r., wjechały na cmentarz Orląt Lwowskich buldożery i czołgi sowieckie, rozpoczęło się burzenie tego Campo Santo – miejsca świętego dla Polski i Polaków, ale też wielkiego światowego zabytku architektury, kultury i historii. Ale świat milczał, podobnie jak wtedy w Teheranie i w Jałcie, gdy Stalin zagarnął polską ziemię za przyzwoleniem Roosevelta i Churchilla. Dwie potężne kolumnady oparły się bolszewickiemu barbarzyństwu, uszkodzone, z poszarpanym napisem – Mortui sunt, ut liberi vivamus (Umarli, byśmy mogli żyć jako wolni ludzie) – głosiły światu prawdę o tym szczególnym miejscu.

Aż wydarzył się rok 1989, wówczas w schyłkowym okresie ZSRR, kontrakt na budowę elektrowni atomowej na Ukrainie wygrała polska firma Energopol. Widząc, co się dzieje z polskim dziedzictwem, pracownicy firmy – dyrektor Józef Bobrowski, jego zastępca inżynier Jan Wingralek – przystąpili do działania i potajemnie, po godzinach pracy, rozpoczęli żmudny proces odbudowy. Inżynier Jan Wingralek na koniec napisał gorzkie słowa: „W 2005 r. strona ukraińska przekazała Polsce »odbudowany« cmentarz Obrońców Lwowa – cmentarz Orląt Lwowskich (wykonawcami były polskie przedsiębiorstwa, na koszt Polski, wbrew konwencjom genewskim). To formalne przekazanie jest uznaniem kłamstwa historycznego. Wyraża się ono licznymi nieodbudowanymi elementami cmentarza, sfałszowanymi treściami napisów na mogiłach i pomnikach nagrobnych. Dziesiątki tysięcy odwiedzających cmentarz jest karmionych tym kłamstwem. Należy pamiętać, że trzeba dokończyć odbudowę i zmienić napisy na tabliczkach mogił i pomnikach nagrobnych zgodnie z historycznym tekstem, tak jak nakazują konwencje podpisane i ratyfikowane przez wszystkie państwa Europy. Problem odbudowy cmentarza Orląt we Lwowie jest jednym z wielu problemów, z którymi Polska musi się zmierzyć".

Autorka jest reżyserem filmowym, scenarzystką i dziennikarką

eprasa.pl 31955fcd36

PRZEZ ŚWIETLIK

Źli i brzydcy

Wiktor Świetlik

Bardzo się cieszę, że Wydawnictwo Poznańskie opublikowało książkę „Czas wilka" napisaną przez znanego niemieckiego dziennikarza Haralda Jähnera. Opowiada o tym, co działo się w Niemczech zaraz po wojnie, kiedy wypełniało je morze gruzu i gigantyczny chaos. Czyta się lekko i ciekawie, bo pisać Jähner potrafi. Ale tak naprawdę jestem wdzięczny za to, że dowiedziałem się z tej książki bardzo dużo na temat naszych współczesnych sąsiadów z jej autorem włącznie.

Książka przede wszystkim jest o Niemcach. Odgruzowują swój kraj, potem tworzą podstawy partnerstwa publiczno-prywatnego, które buduje siłę przyszłego RFN. Wspaniale prezentują się niemieckie kobiety. Gdy ich mężowie leżą w ziemi pod Stalingradem albo siedzą za amerykańskimi czy sowieckimi drutami, one biorą sprawy w swoje ręce. Wieczorami bawią się w gruzowisku, by nie poddać się marazmowi, ale w dzień pracują jak kołchoźnice z sowieckiej propagandy. Z pieśnią na ustach. Dzielne tramwajarki pacyfikują młodzież, która ma jakieś tęsknoty za Hitlerjugend. W powojennych Niemczech pojawiają się i sentymenty za złą przeszłością, i prostytucja, i traumy, i wszechobecne złodziejstwo, jak to w zrujnowanym kraju. Niemcy muszą to wszystko przepracować, także swój stosunek do Żydów. Wielki naród, który popełnił tragiczne błędy, ale sam się z nimi rozprawił. Ale w książce pojawiają się też Polacy, i to ich wątek mnie oczywiście najbardziej zainteresował.

Przecież w powojennych Niemczech były setki tysięcy pracowników przymusowych, zbiorczo zaliczanych do kategorii dipisów, czyli osób przymusowo deportowanych i wypuszczonych więźniów obozów koncentracyjnych. Ich los jeszcze jakiś czas temu był trwałym elementem historii rodzinnych. Także ten powojenny, gdy nie mieli jak wrócić, byli wiezieni w wagonach bydlęcych, padali ofiarą napadów, czasem umierali z nabytych wcześniej chorób czy zimna, zanim wolni wrócili do domu. Jähner też ich odnotował. Mianowicie grupkę zbójów, którzy wyszli z obozu przejściowego i napadli na niemieckie gospodarstwo, mordując kilkanaście osób. Gospodarz, jedyny, który przeżył, potem im przebaczył, co z dumą odnotowuje niemiecki dziennikarz. O polskich dipisach możemy się też dowiedzieć tego, że trzeba było ich oddzielać od Żydów, by ich nie pomordowali. Jest też o pogromie kieleckim.

Tyle Jähner ma do powiedzenia o cierpieniu tych setek tysięcy osób i milionów Polaków w ogóle. Dowodząc tym samym, że wbrew temu, co pisze, wielu Niemców specjalnie się nie zmieniło, a on jest tego najlepszą egzemplifikacją.

RZECZY POSPOLITE

Lis i dziecko

Tomasz Łysiak

W tym roku w listopadzie minie 190 lat od śmierci Georga Wilhelma Hegla. Być może więc to dla uczczenia tej rocznicy redaktor Tomasz Lis postanowił tak obejść się z faktami w imię „celu uświęcającego środki", by zastosować myśl heglowską: „Jeśli fakty nie zgadzają się z teorią, tym gorzej dla faktów", i opublikował zdjęcie dziecka w lesie.

Widać na nim dziewczynkę śpiącą wśród drzew, co szef „Newsweeka" skomentował: „Polska 2021 – Bóg, honor i dziczyzna". Fotografia budzi emocje, komuż by serce nie drgnęło, gdy patrzy się na biedne dziecko w leśnej głuszy. Problem jest jednak taki, iż kadr ten pochodzi z cyklu zdjęć zrobionych dzieciom syryjskich uchodźców w roku 2015 i z Polską ma to tyle wspólnego, ile Zurych ze Szwajcarią Kaszubską lub nawet mniej, gdyż między Zurychem a Szwajcarią Kaszubską da się jeszcze zbudować skojarzenie oparte na nazwie. To jednak nie koniec sprawy, ale raczej jej początek. Otóż można nawet zrozumieć, że dziennikarz w ferworze zajęć popełnił błąd, nie sprawdził (chociaż z zawodowego obowiązku powinien!) źródła i tematu zdjęcia, a kierowany polemicznym animuszem wrzucił coś szybko na Twittera. Pod jego wpisem pojawiła się natychmiast lawina komentarzy, a ludzie masowo zaczęli się upominać o sprostowanie i zamieszczali screeny z portali anglojęzycznych, na których owa fotografia funkcjonuje od wielu lat. Mimo tego szef „Newsweeka" nie usuwał kłamliwego tweeta aż do chwili, gdy o sprawie zaczęły pisać prawicowe portale. Wtedy postanowił zareagować. Czy skasował zmanipulowaną treść? Ależ skąd! Po prostu odpowiedział w stylu: „Pozostawienie dzieci w lesie, na chłodzie, to nie fake news, goebbelsiaki" oraz „Serbia czy Polska, istoty sprawy to nie zmienia. Barbarzyństwo to barbarzyństwo".

Czyli, uwaga, zdjęcie podpisane „Polska 2021", a pokazujące np. „Syrię 2015" jest według Lisa dopuszczalną metodą stosowania przekazu publicznego przez redaktora jednego z największych w kraju tygodników, nie wymaga przeprosin czy najprostszego wyjaśnienia.

Gdy Heglowi kiedyś zarzucono, że jedna z jego teorii astronomicznych „nie zgadza się z przyrodą", odparł: „Tym gorzej dla przyrody". Idee Hegla odcisnęły się w znaczący sposób na Karolu Marksie, wpłynęły na kształt jego koncepcji przebudowywania świata i ludzkiej świadomości. Zdaje się, że heglowska rocznica inspiruje i dzisiaj naczelnego „Newsweeka".

eprasa.pl 31955fcd36

Męstwo i pragmatyzm

Lech Makowiecki

Finlandia uwolniła się spod dominacji Rosji nieco wcześniej niż Polska, niepodległość odzyskała w 1917 r. Tajny pakt Ribbentrop–Mołotow uznał ją (i państwa bałtyckie) za strefę wpływów sowieckich. Już 30 listopada 1939 r. – bez wypowiedzenia wojny – prawie półmilionowa Armia Czerwona uderzyła na ten słabo zaludniony (5,5 mln) kraj. I tu podobieństwa się kończą. Zmobilizowani do obrony swej ojczyzny „fińscy myśliwi" niespodziewanie stawiają Sowietom twardy opór. Sprzyja im wszystko: korzystne do obrony ukształtowanie terenu, walka na własnym terytorium i wyjątkowo mroźna (nawet dla Rosjan) zima. Na bezdrożach Finlandii grzęźnie ciężki sprzęt, zamarzają i czerwonoarmiści, i paliwo. Od koktajli Mołotowa płoną sowieckie tanki, fińscy snajperzy dziesiątkują oficerów wroga, a fińscy dowódcy łatają wątłą linię frontu ochotnikami z rezerw... I zaczynają przeprowadzać skuteczne kontrataki! W obronie kraju stanęli nawet miejscowi socjaliści (w Polsce – nieprawdopodobne!).

Dzielnym Finom kibicuje prawie cała Europa, wysyłając broń i ludzi. Stalin – przerażony stratami (prawie milion zabitych i rannych!), w obawie przed utratą sojuszu z Niemcami – podpisuje traktat pokojowy. Finlandia ocaliła niepodległość, a umiejętnie prowadzona po 1945 r. polityka zagraniczna zapewniła jej stabilny rozwój. I to mimo tak toksycznego sąsiedztwa.

Jakie stąd płyną nauki? Trzeba być i mocnym (patriotycznie, militarnie), i mądrym (fińska edukacja plasuje się dziś w światowej czołówce). Tymczasem nasza młodzież nie ma pojęcia o klasycznych i hybrydowych zagrożeniach. Dość! Przywróćmy do szkół przysposobienie obronne. Zablokujmy zieloną i genderową utopię: brońmy kopalni Turów, chrońmy małolaty przed ideologią LGBT. Sami strzeżmy naszej wschodniej granicy, ale zażądajmy sfinansowania przez UE płotu na niej. I traktujmy wreszcie Polaków poważnie. Czas na atrakcyjną edukację tożsamościową, bo wyrośnie nam pokolenie bezmyślnych konsumentów.

Śniadanie u Forsytha

Piotr Cywiński

Czego to o nas nie powiedziano: żeśmy mądrzy, głupi, pracowici, leniwi, z kulturą i bez... – opinie o naszych jakoby narodowych cechach są od Sasa do Lasa. Ale wszystkie łączy wspólny mianownik: wręcz podziwiana waleczność, niezłomność i nasze umiłowanie wolności. „Zostawcie to Polakom. Dla nich nie ma nic niemożliwego", mawiał Bonaparte. „Znam tylko dwa typy Polaków: tych, którzy się zbuntowali przeciwko mnie, i tych, którzy pozostali mi wierni – jednych nienawidzę, drugimi gardzę", wywodził car Mikołaj. „Istnieje jedna tylko alternatywa dla Europy: albo azjatyckie barbarzyństwo pod przywództwem moskiewskim zaleje ją jak lawina, albo Europa musi odbudować Polskę, stawiając między sobą a Azją 20 milionów bohaterów", snuł Marks. „Gdyby Spartanie odżyli, to przed wami, Polacy, pochylilibyśmy czoła", wyraził swój podziw świadek ataku Niemiec na Warszawę, amerykański dokumentalista Bryan. „Odległości z Warszawy do Moskwy i z Warszawy do Brukseli są identyczne. (...) Polska jest centrum cywilizacji europejskiej. Wniosła rzeczywiście wiele w kształtowanie się tej cywilizacji. Czyni to i dzisiaj w sposób znaczący, nie godząc się na uciemiężenie", wyszczególniał prezydent Reagan. „Bez męstwa Polaków wszystkie dyplomatyczne zabiegi i międzynarodowe negocjacje z końca lat 80. nie przyniosłyby przemian w Europie", sumował jego następca, senior Bush. „Jest u nas powiedzenie: Jeśli muszę pójść do dżungli, to najlepiej, gdy będę miał za towarzysza Polaka. [...] Starsze pokolenie Anglików zaświadczy, jak świetnymi jesteście żołnierzami", to historyk Davies. „Żadna klęska, a doświadczyli ich wiele, nie osłabiła ich patriotyzmu i nie stłumiła pragnienia narodowej niezależności", pisał o nas jego amerykański kolega po fachu i piórze Watt.

Ostatnio głos w naszej sprawie zabrał Frederick Forsyth, kiedyś pilot, korespondent wojenny, agent wywiadu brytyjskiego, wysłany z misją do wschodniego Berlina, obecnie autor książek znanych na całym świecie, dość wymienić jego „Dzień Szakala". „Polacy to raczej nieustraszony ludek, czego doświadczyli pewni osobnicy noszący swastyki", nawiązał w „Daily Express". Do czego nawiązał, wyjaśnia tytuł jego felietonu: „Polska pokonała nazistów i Stalina, prześladowców z UE zjedzą na śniadanie".

Usiłująca wziąć nas głodem Niemka Barley, wygrażająca nam Czeszka Jourová, Belg Reynders i im podobni unijni paladyni raczej nie czytali Forsytha, a już z pewnością nie znają Sienkiewicza. Gdyby Heniek żył, pewnie opisałby ich w ten sposób: oto ci, którzy jeszcze dziś rano mniemają się być najwięksi ponad wszystkie mocarze świata...

eprasa.pl 31955fcd36

Michał Korsun prezentuje:
Przelotne opady nad boiskiem w Tiranie...

Wycinki z przeszłości

Na krańcach widnokręgu łuny, rozpłomienione żagwią wojny. Bliżej – płonąca wieś. Na polach, zrytych pociskami, porzucone armaty. Krwawy odblask pożarów pada na mury rozbitego kościoła, smutnemi ruinami boleściwie sterczącego ku niebu, na rzekę, na pola, na drzewa i na białą szatę Chrystusa. Biały Chrystus stoi na tej ziemi, czerwonej od krwi pożogi i z rąk Swych wypuszcza gołębia Pokoju" – to opis powyższej ilustracji w „Przewodniku Katolickim" z października 1935 r.

Redakcja podkreślała: „Nie stworzyły pokoju zwycięstwa wojenne, bo ucisk i nienawiść zwyciężonych stawała się zarzewiem nowych wojen. Nie utrwaliły go układy pokojowe, bo wnet pokonani uznawali je za świstki papieru. Nie zabezpieczyły go przymierza narodów, bo sprzymierzeni zdradzali sprzymierzonych. I nie zaszczepi go Liga Obrony Praw Człowieka, bo milczy wobec mordów dokonywanych w Rosji, Meksyku czy Hiszpanii. Pokój nakazać, dać, zabezpieczyć i utrwalić może tylko Miłość".

Święta chrystusowa prawda.

(mk)

Instrumentacje jesieni

Leszek Długosz

To też stanowiło temat... Znaczący problem poetycki – opis jesieni? Próba oddania w słowach walorów, kolorów, nastroju, ewentualnych związków i następstw? Spora biblioteczka by się uzbierała z takich jesiennych wierszy. Czy to przeszłość, anachronizm już? Niewystarczający to powód dla dzisiejszych obszarów i problematów poetyckich? A ja tam wzruszam się, uśmiecham, podglądając, jak tę jesień w słowach malowano, oddawano. I chwalę sobie te „anachronizmy".

Kazimierz Wierzyński (1894–1969)

„Etiuda na jesień"

Zaczerwieniło się, pojesienniało
I zadziwiło się i odleciało
I tylko jedna popielata
Jaskółka szuka jeszcze lata

I tylko jedna ciemna róża
Więdnie o cały świat za duża
I tylko jeden słoneczniczy
Zegar pamiątki jeszcze liczy

I tylko oczy, gęste oczy,
Wzrok za szybami, w zapatrzeniu,
Wiatr powłóczyny drzewne troczy,
Na płocie gra jak na grzebieniu
I skrzypią z nim staruchy domy
I wrony lecą niską smugą
A wzrok wciąż milczy, nieruchomy,
Coś wypatruje i coś bada,
Stoi przy oknie długo, długo,
Od września aż do listopada.

Czemu on z liśćmi nie chce śniedzieć,
Za czym on błądzi, co chce wiedzieć?

Że zadumało się, pojesienniało,
Nikogo nie zadziwiło
I odleciało?

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	75 zł	139 zł	245 zł
wSIECI HISTORII	–	29 zł (3 wydania)	54 zł (6 wydań)
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	158 zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	280 zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

**dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl 31955fcd36

OD A DO ZYBERTOWICZA

Dwie twarze Unii

Sporo jest osób, które mają problem z wyciągnięciem wniosku z tego, że Unia E. jest jednocześnie słodka i gorzka

Dziwi kogoś formuła, że każda moneta ma dwie strony? Ciągle jednak nie mogę ochłonąć ze zdziwienia, jak wiele osób w Polsce zdaje się zupełnie nie dopuszczać do swojej świadomości, że reguła dwóch stron: dobrej i złej, jasnej i ciemnej, korzystnej i niekorzystnej, wygodnej i niewygodnej, odnosi się także do Unii Europejskiej.

ORGANIZM WYMYŚLONY PRZEZ LUDZI

Unia E. to nic innego jak organizm wymyślony i wprowadzony w życie przez ludzi. Pewne rozwiązanie instytucjonalne. Ideowe i praktyczne zarazem. Wielowymiarowe. Mające swoje pozytywy i negatywy.

Naprawdę tak trudno to zrozumieć? A jednak gdy obserwuję dyskurs polityczny wobec Unii i naszej w niej obecności, to mam wrażenie, iż przyjęcie do wiadomości czegoś, co powinno być naturalne dla każdego zwykłego dojrzałego człowieka, dla tak wielu jest za trudne. (Problem, czy przypadkiem nie żyjemy już w warunkach niedoboru ludzi dojrzałych, teraz pominę).

ROMANTYCZNIE I PRAGMATYCZNIE

Unia E. ma dwie strony: romantyczną i pragmatyczną. Dlatego możemy *patrzeć* na nią w sposób słodki i gorzki (czyli bez sentymentów).

Unia *słodka* to unia wspólnych wartości, niemal powszechnie przestrzeganych zasad moralnych i prawnych, to organizacja państw i środowisk ze sobą solidarnych, kierujących się zasadami wrażliwości społecznej, praw człowieka, obrony najsłabszych.

Unia *gorzka* to zaś pole gry interesów, często zamaskowanych, prowadzonych za kulisami. Zabieganie, nie zawsze uczciwe, o największe zamówienia publiczne, lobbowanie na rzecz potężnych korporacji, przedstawianie partykularnych interesów i ideologii jako uniwersalnych ludzkich wartości.

W tej pierwszej Unii o przebiegu sporów decydują konsensualnie przyjęte zasady – zwłaszcza zaś te zapisane w traktatach i innych aktach prawnych. W Unii drugiej rozstrzygają presja i sprawność działania najpotężniejszych graczy; skryte koalicje podporządkowanych im wasali, grup i krajów kolonizowanych przez dyktat najsilniejszych.

DWOJAKA JEDNOCZEŚNIE

Ciekawe jest, że nawet w gronie osób wykształconych – i wśród polityków (wszelakich ugrupowań) i np. moich akademickich koleżanek i kolegów – sporo jest osób, które mają problem z wyciągnięciem wniosku z tego, że Unia E. jest jednocześnie słodka i gorzka. I co za tym idzie uznania, że z naszej obecności w UE płyną dla Polski (i pewnie wszystkich innych krajów) zarówno pożytki, jak i zagrożenia.

Że nasi politycy czy urzędnicy, jeśli mają być skuteczni, prowadząc unijne negocjacje, muszą się odwoływać do szczytnych zasad i *jednocześnie* pamiętać, że znajdują się w polu bardzo nieraz bezwzględnej, cynicznej gry. A z drugiej strony, że prowadząc twardą grę, błędem jest zapominanie o zasadach. Schematy prostolinijnego myślenia czarno-białego w przypadku Unii E. zupełnie się nie sprawdzają, prowadzą na manowce, do pułapek, z których niekiedy trudno wybrnąć.

Niedawne orzeczenie naszego Trybunału Konstytucyjnego dotyczyło kwestii, czy Polska może w ogóle zabiegać o swą suwerenność prawną. Podkreśliło, że Polacy w kwestiach, które nie zostały uwzględnione w podpisanych przez naszych przedstawicieli traktatach unijnych, mogą samodzielnie tworzyć swój ład instytucjonalny. Wielu krytyków tego orzeczenia zachowuje się tak, jakby zupełnie nie pamiętali o podwójnej gorzko-słodkiej naturze Unii. Może gdyby pamiętali, to znacznie mniej byłoby prymitywnego, agresywnego oburzenia, a więcej spokojnej refleksji.

ZABIJANIE NIUANSOWANIA

Współczesna, zatruta infosfera zwykle dławi niuansowanie. Ciekawe, że w przypadku retoryki LGBT czarno-białe myślenie w dyskursie publicznym się tak gorliwie wyplenia, że ciągłe niuansowanie zepsuło proste rozróżnienia tam, gdzie są one naturalnie potrzebne. Tam, gdzie gra interesów wymaga niedopowiedzeń, dyplomatycznej żonglerki, eksponuje się zaś czarno-białe siermiężne uproszczenia.

Bez zdolności do niuansowania wtedy, gdy jest to naprawdę niezbędne, coraz częściej będziemy ofiarami prymitywnych manipulacyjnych sztuczek. W tym takich, którym uległ tłum zwołany na plac Zamkowy przez Donald Tuska.

Andrzej Zybertowicz

Autopromocja | Reklama 13/1021/F

eprasa.pl 31955fcd36

Magazyn z płytą w prezencie!

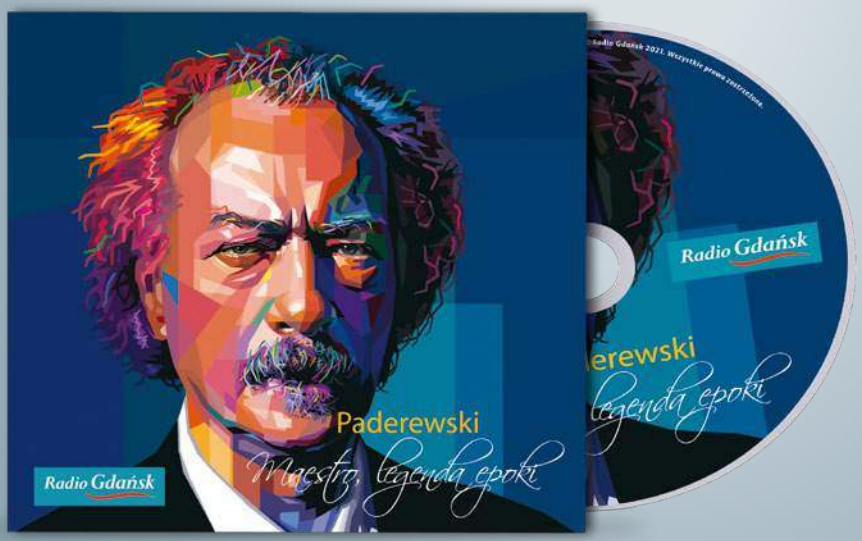

PADEREWSKI. Maestro, legenda epoki

W 80. rocznicę śmierci Ignacego Paderewskiego w słuchowisku Radia Gdańsk przypominamy nadzwyczajne życie pianisty, kompozytora, polityka, męża stanu, aktywisty, filantropa, biznesmena, mecenasa sztuki i architektury, poligloty, mówcy, hodowcy winorośli, aktora filmowego, ikony…

Kup magazyn „wSieci Historii” z płytą w prezencie!

eprasa.pl 31955fcd36

TOTALIZATOR SPORTOWY

65 LAT TOTALIZATORA SPORTOWEGO

Partner Główny

XVIII Międzynarodowego Konkursu Pianistycznego im. Fryderyka Chopina

TOTALIZATOR SPORTOWY

NAJWIĘKSZY MECENAS SPORTU I KULTURY

#WielkieChwile #GramyDlaKultury

eprasa.pl 31955fcd36